

MARTA
KISIEL

WTEM
DENAT



Copyright © Marta Kisiel, 2023

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Redakcja: Piotr Chojnacki

Konsultacja z języka czeskiego: Robert Kręć

Korekta: Krystian Gaik, Beata Wójcik

Projekt okładki i stron tytułowych: White Doe

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

© iStockphoto/stockcam, © Africa Studio/Shutterstock

Zdjęcie autorki: Wojtek Biały

Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.

03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m. 3

biuro@wydawnictwomieta.pl

www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-67690-43-0

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Stan Osobowy

Lojalne ostrzeżenie

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Podziękowania

Straconym złudzeniom

STAN OSOBOWY

W rolach głównych:

Michał Mogiła – starszy posterunkowy, chwilowo na urlopie, chociaż wcale nie chciał.

Arkadiusz Krawczyk – sekretarka z kryzysem tożsamości i planu żywieniowego.

Wojciech Szumski (Sztynny) – kierownik pecha, ulubieniec tłumów (tyle że nadal nie).

Dopust boży, czyli autorzy:

Xavier F. Wolf – syn swojej mamy, posiadacz wizerunku oraz followersów.

Tomasz Troszczaniec – literat tak prawdziwy i tak cierpiący, że NFZ ma na to odrębny kod świadczeń.

Oleńka Kulczańska – delikatny kwiatusek, jaśniejąca gwiazdeczka na firmamencie życia.

Margo Mesjasz – a dajcie jej wszyscy święty spokój...

J. Boligłowa – osoba autorska spóźniona niemożebnie, nieprzystojnie i nieoczekiwanie.

W pozostałych rolach:

Rafał Maniecki – bloger, podróżnik, influencer. Wszystko wie, wszystko robi.

Jacek Mastalerczyk – ojciec dyrektor, właściciel wydawnictwa JaMas. Lubi ciasteczka. Nie wie, co robić.

Daniela Majewska – promotorka, podwładna Szumskiego (coraz głębiej zde gustowana tym faktem). Wie, co robić.

Kasia Grzyska – świeżo upieczona kierowniczką redakcji. Robi, choć nie wie co.

Olaf Hanzel – nieustannie spłoszony młodszy redaktor. Nic nie wie.

Grzesiek Stalówka – grafik, informatyk, cudotwórca. Jedyne normalny.

LOJALNE OSTRZEŻENIE

Jeśli nie czytał_ś powieści *Nagle trup*, czyli pierwszego tomu tej serii –
zawróć, póki jeszcze możesz. W tej powieści grasują dzikie spoilery!

Oraz jeden ojciec dyrektor, podobno oswojony.

Podobno...

PROLOG

Ciemne chmury zebrały się nad wydawnictwem JaMas.

Rzecz jasna, nie zebrały się dosłownie nad pierwszym piętrem starej kamienicy przy ulicy Górniczej, gdzie znajdowała się siedziba oficyny. Skądże znowu, wszak zjawisko tak precyzyjne raczej nie występuje w przyrodzie. A gdyby nawet się przydarzyło, to z pewnością wzbudziłoby zainteresowanie służb meteorologicznych, straży pożarnej i lokalnych mediów. Niestety, nad wydawnictwem zebrały się chmury metaforyczne, choć trzeba przyznać, że tego dnia wyjątkowo dobrze zgrywały się z rzeczywistością. Jak okiem sięgnąć niebo nad miasteczkiem zapowiadało niepodzielne panowanie zestawu obowiązkowego polskiego listopada – ziąbu, pluchy i złorzeczeń. Lecz nawet aura tak ponura, tak złowieszcza nie mogła się równać z wewnętrznymi rozterkami, jakie szarpały aktualnie duszą kierownika promocji bez handlu Wojciecha Szumskiego.

Na te słowa pozostali pracownicy JaMasu zapewne podnieśliby protest, że chwila moment, jakie rozterki, jakie katusze, jaka znowu dusza?! Przecież Szumski – nie bez powodu powszechnie zwany Sztywnym – duszy nie posiadał, a zatem siłą rzeczy nic nią szarpać nie mogło. W ich pojęciu może i był młody, wykształcony i ambitny, lecz to bezduszość z elementami oschłości miał wpisaną do CV jako naczelną kompetencję twardą.

A jednak.

Minuty mijały jedna po drugiej, ulatując z porywami wiatru, ciemne chmury zaczęły się piąć deszczem, a Wojciech Szumski jak zatrzymał się pośrodku nierównego chodnika, tak sterczał tam nadal i z pustką w oczach mierzył się z faktami. Faktami oraz tym, co od kilku godzin bulgotało w nim boleśniej niż kebab dawno minionej świeżości. Niedowierzaniem. Przerażeniem. Bezsilnością.

A wszystko to za sprawą zdjęcia, które dostał późną nocą – zdjęcia, które od razu skasował z pamięci telefonu, lecz wciąż nadaremnie próbował wymazać z własnej pamięci. Zdjęcia obrzękniętej, zdeformowanej twarzy, opatrzonego podpisem krótkim, lecz jakże przemawiającym do wyobraźni:

Chyba nie chcemy, żebyś tak skończył?

Prawda?

ROZDZIAŁ 1

– Wydawnictwo nasze znalazło się nad przepaścią – rozpoczął Jacek Mastalerczyk ze stosownym namaszczeniem.

– Rany boskie... – wyrwało się komuś z gardła ściśniętego rozpaczą, a cała reszta zmartwiała zgodnie.

Po takim otwarciu mogli się spodziewać w zasadzie wszystkiego – czyli dokładnie tego, czego się najbardziej obawiali.

Gdyby w salce konferencyjnej przypadkiem stał sejsmograf, zarejestrowałby teraz drzenie dochodzące z sześciu niezależnych źródeł. Było to drzenie niepokoju, może niepozorne i nie tak efektowne w porównaniu z drganiami, jakie miała w repertuarze skorupa ziemską, za to z nie mniejszym potencjałem na erupcję i ofiary w ludziach.

Najmocniej ze wszystkich odczuł je Arkadiusz Krawczyk, pełniący w wydawnictwie funkcję sekretarki. Choć na pierwszy rzut oka dalece odbiegał od stereotypowych wyobrażeń na temat sekretarki, idealnie nadawał się na to stanowisko. Zwłaszcza w przedsiębiorstwie, które ostatnimi czasy uprawiało komunikację ze światem zewnętrznym metodą oblężonej twierdzy. Krawczyk wyrastał za kontuarem w sekretariacie wydawnictwa JaMas niczym niepokonana przeszkoda, niczym mur niebiosiężny, zaporą wręcz – potężny wyrzeźbionym ciałem, niewzruszony hartowanym duchem, o skórze ubarwionej dziarami i zroszonej łzami telemarketerów i innych natrętów, którzy ośmielili się zakłócić święty rytym dnia pracy.

Jemu też przyszło wziąć na klatę tę pierwszą, uderzeniową dawkę ojca dyrektora, kiedy w słoneczny czwartek w drugiej połowie września, tuż przed godziną jedenastą, Jacek Mastalerczyk objawił się w stanie głębokiego zafrasowania i wymemłania. Przystanął przed kontuarem w sekretariacie, mlasnął, chrząknął i przystąpił do wyluszczenia.

Otóż on by chciał, prawda, on chciałby usiąść, i mówić, kreować, rzeczywistość kreować, prawda, robić te takie tam, że się bierze te, te perły, tak, perły jedna za drugą i tak snuje, i snuje, i snuje te perły, nie, pereł się chyba nie snuje, o, niza się, tak, więc może... może pan Arek pamięta, jak to się nazywało, to coś, co on by chciał? Że on mówi, kreuje i tak dalej, z tymi perłami, a ta... ta... no... pani Basieńka

klaszcze i wspiera, a im bardziej pani Basieńka klaszcze i wspiera, tym bardziej Grażynka mówi, że nie, bo budżet i plan kwartalny, nie, bo trendy na rynku, nie, bo chyba go rozum opuścił... I są ciasteczka, takie różne takie... A tak, kolegium wydawnicze! Tak właśnie. Otóż on by chciał zwołać kolegium, teraz, zaraz, chociaż to czwartek, i może jeszcze trochę ciasteczek by chciał, czy aby mamy ciasteczka?

Arkadiusz Krawczyk właśnie rozwiązywał fascynujący quiz pod tytułem „Jakim serem jesteś” i zaczynał podejrzewać, że niekoniecznie kruchym, dojrzałym cheddarem, raczej rozmięklą na słońcu gorgonzolą, co wprawiło go w przygnębienie. Oderwał wzrok od ekranu i przesunął na rozmemłanego Mastalerczyka, który monologował do niego zza kontuaru. Będąc sekretarką ze stażem i doświadczeniem, Krawczyk wiedział doskonale, że wdawanie się w dyskusję z ojcem dyrektorem ma mniej więcej tyle samo sensu co tłumaczenie dwulatkowi, żeby wyjął palec z nosa, bo to nieestetyczne. Dlatego darował sobie wytknięcie, że wobec splotu okoliczności ani na panią Basieńkę, ani na Grażynkę nie liczyłby jakoś szczególnie, gdyż z trójcy świętej kolegialnej ostał się ino goły Stalówka; przełknął też cisnący mu się na usta komentarz, że istotnie, z tym rozumem to się chyba już dawno rozstali. Gdy tylko Mastalerczyk dobrnął do brzegu, sekretarka bez słowa sięgnął do kasetki po trzy dychy, po czym z gotówką w garści i poleceniem służbowym w sercu poszedł do działu redakcji. Ojciec dyrektor chciał kolegium, proszę bardzo, będzie miał kolegium. A jak sprężą poślady, to może dostanie jakiś srogi miks wyrobów ciasteczkopodobnych, żeby przy tym mniej gadał.

Licząca trzy osoby redakcja wykazała wobec nagłego zewu zwierzchnictwa pełen wachlarz postaw służbowych.

Największą dynamikę reakcji zaprezentował najmłodszy w rodzinie Olaf Hanzel, któremu przypadło uzupełnienie niedoborów służbowych ciasteczek. Wystartował do najbliższego sklepu spożywczego z takim zaangażowaniem, że mało nie skręcił karku. Nagły zgon sprawiłby mu ogólną przykrość, na stanowisko młodszego redaktora – na pół etatu ze skłonnością do nadgodzin – awansował bowiem z praktykanta niespełna dwa tygodnie wcześniej i jeszcze nie zdążył się wykazać ani bogatym słownictwem, ani fachowymi umiejętnościami. W ogóle niczym.

Nie był to zresztą jedyny awans, jaki nastąpił w wydawnictwie JaMas wraz z rozpoczęciem jesieni. Po tym jak pani Barbara Żywny

odeszła na emeryturę, nową kierowniczką redakcji została Kasia Grzymska. W związku z tym dotychczasowe miejsce pracy w głównym pomieszczeniu przekazała Olafkowi, a sama przeniosła się za dawne biurko swej poprzedniczki, na zacisznych tyłach. Tego przedpołudnia tak się dała pochłonać tej zaciszności, że w ogóle nie zarejestrowała przybycia sekretarki z misją. Podczas gdy Krawczyk przekazywał gotówkę wraz z życzeniem ojca dyrektora, ona żuła w zadumie kęs kanapki z hummusem i rzodkiewką, wpatrzona w przypadkową plamę na ścianie naprzeciwko. Plama kształtem przypominała jej profil osobistego narzeczonego, co z kolei nasuwało szereg myśli i skojarzeń, jakich ludzie zwykle nie życzą sobie przy jedzeniu, w związku z czym Kasia żuła ów kęs już trzecią minutę. Z punktu widzenia procesów trawiennych było to zdrowe i godne pochwały, z punktu widzenia przyszłości jej narzeczeństwa – niekoniecznie.

I jedynie Grzesiek Stalówka, który niezmiennie piastował w wydawnictwie stanowisko grafika, ilustratora i cudotwórcy, zareagował w sposób doskonale adekwatny do sytuacji. Bądź co bądź niejedno kolegium już przeżył, choć musiał przyznać, że parę razy niewiele brakowało. Dokończył teraz, co miał do dokończenia, zapisał plik, zapisał kopię pliku, przeciągnął się, przeżegnał w duchu i powędrował do salki konferencyjnej. Nie minęły jednakże nawet dwie minuty, kiedy wrócił z informacją, która wstrząsnęła wydawnictwem u samiuśkich posad.

Otóż na widok osamotnionego Stalówki ojciec dyrektor zamlaskał i zauważył z niespotykaną zwięzłością, że on by sobie jednak życzył tak w pełniejszym składzie, zamierza bowiem wygłosić odezwę do narodu.

Tym oto sposobem kwadrans później w salce konferencyjnej zebrała się cała załoga.

Ojciec dyrektor stanął u szczytu stołu, dzięki czemu symbolicznie górował zarówno nad pracownikami, jak i nad świeżo rozpakowanym pudłem ciasteczek. Po jego lewej ręce usiadł Arkadiusz Krawczyk, reprezentując godnie, acz samotnie siły sekretariatu. Dalsze dwa krzesła przypadły tak zwanemu pechowi, czyli działowi promocji i handlu w osobach Danieli Majewskiej jako szeregowej wyrobniczki oraz Wojciecha Szumskiego w roli kierowniczej. Z powodu mizernych wymiarów pomieszczenia oraz imponującej postury sekretarki – zwłaszcza na wysokości barków – po tej stronie stołu panował ścisk, wskutek czego podwładną od przełożonego dzieliły zaledwie

centymetry. Wykrzywiający twarz Daniela grymas zdradzał, że oto Majewska cierpi męczarnie, oto walczy z samą sobą, żeby się nie odwinąć, słowem albo łokciem, że wstrzymuje oddech i jest gotowa go wstrzymywać choćby i przez godzinę bądź dwie, byle nie oddychać tym samym powietrzem co ta gadzina ludzka w fazie ostrego linienia. Choć jeszcze bardziej niż fizyczna bliskość przełożonego prawdopodobnie irytował ją fakt, że Szumski miał jej fochy i funkcje życiowe w poważaniu tak głębokim, że trzeba by ich szukać metodą endoskopową.

Redakcja rozsiadła się wzdłuż przeciwnej krawędzi stołu, w składzie uporządkowanym od najmniej do najbardziej poruszonego członka. Miejsce przed Krawczykiem zajął Grzesiek Stalówka i tak we dwóch, patrząc sobie w oczy, z zimną krwią czekali na dalszy rozwój wydarzeń. Obydwaj na co dzień toczyli nierówne boje z ojcem dyrektorem, przebijając się siłą argumentu i argumentem siły przez jego budżetowo-filozoficzne wizje i inne urojenia. Dziwnym zrządzeniem losu obaj byli też zdania, że taki zjazd na desce z czynnego wulkanu to równie relaksujący sposób spędzania wolnego czasu co układanie pasjansa czy uprawianie działki.

Na krześle obok Stalówki zasiadła Kasia Grzymska. Było to nie tylko jej pierwsze kolegium wydawnicze, odkąd pani Barbara przeszła na emeryturę, lecz także pierwsze w karierze zawodowej i nie zdążyła tego dobrze przemyśleć. W jednej dłoni ścisnęła resztkę kanapki z hummusem, w drugiej garść długopisów i cienkopisów, które porwała półprzypadkowo z organizera na swoim biurku. Za to zapomniała o jakimkolwiek notatniku czy choćby pojedynczej kartce. Teraz biła się z myślami, czy się wrócić, zakłócając ojcu dyrektorowi odezwę, czy liczyć, że zapamięta kluczowe informacje i niczego nie zawali.

Na dalekim końcu przycupnął Olafek Hanzel, który nie mógł się zdecydować, czy bardziej przeżywa ekstazę z powodu udziału w omawianiu dorosłych spraw wydawniczych, poważniejszych niż wybór ciastek, czy jednak przyspieszone ruchy perystaltyczne wskutek tego, że przypadło mu miejsce dokładnie na wprost kierownika pecha.

Wojciech Szumski wyglądał bowiem, jak gdyby zachodził w głowę, jakież to tytan intelektu, najwyraźniej gnębiony ciężkimi brakami kadrowymi, postanowił zatrudnić tę bandę i powierzyć im nie tylko odpowiedzialne zadania zawodowe, ale też linijkę i zszywacz. Choć

w jego przypadku równie dobrze mógł to być typowy wyraz twarzy spowodowany przypadłością znaną jako, cóż, bycie Szumskim.

Na swoje szczęście gnębiony niejednym brakiem ojciec dyrektor pozostawał ślepy i głuchy na większość sygnałów płynących ze świata – również tych wręcz wycelowanych bezpośrednio w jego osobę. Podczas gdy widownią wstrząsały drgania i westchnienia wtórne, on przeszukiwał kieszenie bluzy. Wreszcie dogrzebał się do wymiętoszonego świstka. Rozprostował go mniej więcej, upewnił się, że pudło z ciasteczkami wciąż stoi w zasięgu ręki, odchrząknął i raz jeszcze przystąpił do wygłaszania odezwy.

– Wydawnictwo nasze znalazło się nad przepaścią. Tak właśnie... właśnie. – Mrużąc powieki, zerknął na karteluszek, podczas gdy jego wolna dłoń sama sięgnęła po pierwsze ciasteczko. – Lecz czasem – mlask – czasem jeden głąb może wszystko odmienić wbrew wszystkiemu! Wbrew potwarzom i przeciwnościom, i wyrokom, zwłaszcza wyrokom, i my tym głąbem zamkniemy usta i... – chrup – otworzymy oczy, tak, otworzymy oczy wszystkim niedowiarkom! Gdyż to głąb mały dla... głąb... a nie, nie głąb... a tak, głąb, znaczy nie głąb, choć głąb... jeden głąb białej kapusty, kilogram cebuli...

Tu ojciec dyrektor zawiesił się doszczętnie. Pomału odwrócił papierek, musnął wzrokiem przeciwną stronę, odwrócił z powrotem, po czym sapnął zafrasowany. Najwyraźniej nie spodziewał się listy zakupów w notatkach do swej wiekopomnej odezwy. Schrupał pospiesznie kolejne ciasteczko, sypiąc wokół okruszkami i jednocześnie szukając zagubionego wątku.

– Tak... tak... A nie! A tak! Lecz czasem jeden KROK! Tak, krok, jeden krok może wszystko i tak dalej, i tak dalej, prawdaż. Krok mały dla człowieka, lecz wielki dla ludzkości, tak, właśnie, byle nie patrzeć w dół, a przed siebie, z odwagą patrzeć w przyszłość! A czymże... czymże...

Naraz ojciec dyrektor znów urwał, gdyż kątem oka uchwycił coś niepokojącego, wprost niepojętego z punktu widzenia rozumu i godności człowieka. Spojrzał więc, tyle że nie w przyszłość, jak właśnie zadeklarował, a nieco bardziej w lewo.

– Czymże... – wymamrotał jeszcze siłą rozpędu, po czym umilknął, bo to, co widział, nie mieściło mu się ani w słownictwie, ani w światopoglądzie.

Jakaś cudza łapa bezczelnie grzebała mu w ciasteczkach.

Olafek wspiał się na wyżyny zarządzania budżetem i zdobył miks ekskluzywny koktajlowy. Lecz łąpa nie doceniła oszałamiającego wachlarza form i smaków. Ominęła markizy z nadzieniem orzechowym i słoneczka z marmoladowym kleksem, wzgardziła piankami na biszkopcie i rurkami z nadzieniem chałwowym, a nawet krakowskim pischingerem i piernikową krajanką w czekoladzie. Wyławiała z ciastkowej mieszanki najzwyklejsze deserowe z cukrem i pakowała do gęby pazernej, gęby nienasyconej.

Ojciec dyrektor mlasnął skonsternowany. Pierwszy raz spotykało go coś podobnego! Żeby tak łąpą! Ciasteczka! A była to łąpa bezsprzecznie wytatuowana i męska, do tego męska sugestywnie. Taka łąpa z łatwością mogłaby się odwinąć i cios jej zadany celem skarcenia oddać w sposób dotkliwy.

– ...tak. Tak – podjął, dotknięty boleśnie przykrością, jaka go spotkała ze strony tak niespodziewanej. – A czymże... że... a tak, jest przyszłość bez dzieci, tak, bo wszystkie dzieci nasze są, a niektóre to wręcz tak genetycznie są, niezaprzeczalnie, chociaż by człowiek chciał, żeby niekoniecznie, ale cóż z tego, cóż z tego, skoro się kocha jak własne. Zwłaszcza własne się kocha jak... jak własne. No. No więc. Dlatego musimy poczynić krok, krok do przodu, bo każdy krok zostawia ślad i tak zmieniamy się, wszyscy się zmieniamy, jak wszystko na tym świecie, tak, świeży twarożek też się zmienia, pleśnieje, ale pleśń, cóż, pleśń to też jest życie, niby nic, niby nic, ale jednak coś, zawsze coś, tak, i tego się trzymajmy...

Im dłużej ojciec dyrektor tak przemawiał, tym śmieiej Arkadiusz Krawczyk grzebał w ciasteczkach. A im śmieiej Krawczyk grzebał w ciasteczkach, tym bardziej ojcu dyrektorowi merdało się w notatkach, głowie i twarożku.

– Co ty robisz?! – Stalówka w końcu nie zdzierzył i nachylił się nad stołem ku Krawczykowi. – CO. TY. ROBISZ?! Opamiętaj się!

Daniela postanowiła wzmocnić apel kolegi z działu redakcyjnego i energicznie trąciła sekretarkę łokciem w żebra. Z bólu aż jej pociemniało przed oczami. Z czego on miał te żebra, na litość boską, ze stali pancernej?!

– Ty weź przyhamuj, co? – wysyczała. – Te ciastka raczej nie są keto.

– Keto-sreto – skwitował Krawczyk i bez ceregieli wsadził sobie do ust następne deserowe z cukrem.

Daniela już miała mu wytknąć przekroczenie dobowego bilansu kalorycznego o skromne dwadzieścia procent, ale po namyśle zamknęła usta. Wolała nie wiedzieć, jak wdzięcznie zdołały to zrymować w obecnym stanie umysłu. Poza tym ojciec dyrektor nabrał wiatru w wąty żagielek i znów sunął przed siebie po gładkiej tafli dygresji.

– ...pamiętajmy jednak, że życie to cel! – ciągnął, raz po raz zerkając to na świstek z notatkami i listą zakupów, to do pustoszącego pudełka. Pot perlił mu się na czole z tego nadmiaru aktywności psychofizycznej. – Znaczy, podróż, nie cel, tak, tak właśnie, miejmy więc odwagę żyć wbrew wszystkiemu, bo umrzeć potrafi każdy, a co nas nie zabije... zabije... to nas wzmocni, tak, i nieważne, ile razy upadasz, ważne, ile razy się podnosisz, tak, człowiek nie wie, kiedy umrze, a wóz, kiedy się wywróci, lecz im głębsza noc, tym bliżej świtu, dlatego... dlatego... WŁAŚNIE! – dokończył i z niewielkim opóźnieniem rozpostarł ramiona w geście tyleż zamaszystym, co bezsensownym.

Po tych słowach w salce konferencyjnej zapadła martwa cisza. Nawet sekretarka na moment przestał chrupać i skupił się wyłącznie na konsternacji.

– Czyli że... że co tak właściwie? – padło wreszcie.

Sztywny jako jedyny z zebranych miał wywalone na trącącą fiksacją relację ojca dyrektora z ciasteczkami i przez cały czas słuchał w skupieniu bez mała nadludzkiem. Dzięki temu mógł teraz wyłuskać jakiś sens z odezwy naszpikowanej bzdurami motywacyjnymi.

– Wygląda na to, że jesteśmy w dupie – podsumował sucho.

Wszyscy jak jeden mąż odwrócili głowy w stronę ojca dyrektora, czekając na wyjaśnienia lub sprostowanie śmiało postawionej hipotezy. Jacek Mastalerczyk poskrobał się po kudłatej głowie, miętosząc w palcach świstek z notatkami. Wyłowił z pudełka rurkę i przyssał się do niej, jak gdyby zamiast nadzienia o wątpliwym smaku chałwy wypływał z niej życiodajny tlen.

– Znaczy, nie do końca. – Mlasnął i zakołysał się na piętach. – To nie jest takie proste, że czarne jest czarne, a białe jest białe, ale... tak. Tak. – Mlask. – Jesteśmy tam... gdzie pan... pan... ten pan powiedział. No tak. No jakoś tak wyszło.

– Ale CO wyszło? – zapragnął uściślić Stalówka, bo minuty mijały, a Mastalerczyk, wyssawszy całe nadzienie, zamiast rozwinąć temat ich obecnego miejsca pobytu, zajął się chrupaniem samej rurki.

– No... no... no życie! – Ojciec dyrektor wyglądał na bardzo zadowolonego z tak zwięzłej i niezwłocznej wypowiedzi.

Niczym na tenisowym meczu głowy zebranych odwróciły się na powrót w stronę kierownika promocji. Sztywny przycisnął dłonie do ust i zawiesiwszy wzrok gdzieś przed sobą, w powietrzu coraz gęstszym od oczekiwań, dynamicznie przestawiał puzzle.

Zawsze oddzielał życie prywatne od zawodowego murem uprzejmej obojętności, a wydarzenia ledwie co minionego lata utwierdziły go w przekonaniu, że im mniej wie o ludziach, z którymi pracuje, tym lepiej. Żadnych plotek i pogaduszek, żadnego pokazywania sobie przy porannej kawusi zdjęć obiadu, psa czy bąbelka, żadnych prywatnych dram, składkowych opłatków czy pieczenia ciast na międzynarodowy dzień czegokolwiek. Od poniedziałku do piątku między godziną ósmą a szesnastą nie interesowało go, kto ma wrażliwe jelito, umówioną hybrydę, dziecko w przedszkolu czy kota z nietolerancją makreli. Między szesnastą a ósmą nie interesowało go to tym bardziej.

Lecz te same wydarzenia ledwie co minionego lata nauczyły go również, że czasem życie prywatne potrafi się spleść z zawodowym w bardzo skomplikowany sposób. A potem zacisnąć, odcinając dopływ krwi czy też, jak w tym przypadku – dopływ środków na konto.

Dla nikogo z zebranych nie było tajemnicą, że wydawnictwo JaMas nie zbankrutowało po pierwszym roku działalności głównie dzięki jaśnie dobrodziejce, Małgorzacie Wiłoszyńskiej, znanej czytelnikom jako siostra Apostazja, która w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym zawojowała listy bestsellerów oraz urzędy pocztowe jak kraj długi i szeroki. Mijały dekady, jeden trend wypierał drugi, lecz przepisy nieomal zakonniczy nieustannie schodziły w nakładach, od których działom handlowym robiło się mokro w Excelu. Ojciec dyrektor nosił jaśnie dobrodziejkę na rękach, w zębach nawet, sypał jej pod nogi kwiecie i obietnice, byle opromieniała jego wydawnictwo kolejnymi tytułami w sposób regularny. Nie bez powodu instalacja artystyczna ku czci autorki zajmowała poczesne miejsce w sekretariacie, płosząc interesantów na równi z praktykantami oraz przyprawiając Grześka Stalówkę o permanentną obrazę uczuć estetycznych. Grafika słowem się jednak nie zająknała, jako że była to instalacja naściennie-pośmiertna. Jaśnie dobrodziejce zmarło się w maju tego roku, cześć jej pamięci. Zanim jednak opuściła ten łez padół, zdążyła zapisać prawa do swego dorobku Jackowi Mastalerczykowi w podzięcie za lata troski, wsparcia

i terminowych przelewów. Zrobiła to jednak pod pewnym konkretnym warunkiem. Warunkiem wiążącym życie prywatne ojca dyrektora z losami wydawnictwa JaMas tak ściśle, że szpilki pomiędzy nie wetkniesz.

Kiedy ten ostatni element układanki trafił na właściwe miejsce, z gardła kierownika pecha dobiegł ledwie tłumiony bulgot.

– Niech zgadnę. – Wojciech Szumski przesunął językiem po górnych zębach, jak gdyby próbował z nich zetrzeć paskudny posmak wypowiedzanych słów. – Wieści o nadciągającym bąbelku dotarły do rezerwowego spadkobiercy?

– A to pan... pan... pan wie? – Nawet gdyby ojciec dyrektor zdołał w tym momencie zapanować nad głosem, zdradziłyby go krzaczaste brwi, które tak dynamicznie wyruszyły w górę czoła, że aż mu się okulary zsunęły na nosie o dobry centymetr.

– Niestety – wycedził Sztywny. – Nie żebym był fanem plotek, ale do moich uszu też coś dotarło. Coś o testamencie na pańską rzecz z niezwykle pobożnym zapisem oraz o bardzo niepobożnym skutku ubocznym pewnego skoku w bok, który czyni ów testament nieaktualnym. A skoro wieszczy nam pan tu przepaść i katastrofę, zakładam, że szambo oficjalnie wybiło. Stracimy prawa do przepisów siostry Apostazji, zgadza się?

– No... no... no cóż. No tak. Tak. Właśnie. No taka przykrość. Ja nie wiem.

Stalówkę zamurowało. Kasia upuściła garść cienkopisów razem z niedojedzoną kanapką, a Olafek wyglądał jak wstrząśnięta surykatka. Nawet Krawczyk zapomniał o ostatnim skradzionym ciasteczku i wpatrywał się teraz w ojca dyrektora jak wół w malowane wrota.

– O ja pierdole... – skwitowała krótko i z uczuciem Daniela Majewska.

– Lepiej bym tego nie ujął. – Sztywny zgodził się z podwładną, po czym wbił lodowate spojrzenie w bezpośredniego przełożonego. – Chociaż sam nie wiem, co się tu bardziej prosi o ciężki wpierdół. Beztroskie wpuszczenie firmy w kanał wąskiej specjalizacji czy zmajstrowanie sobie pozamałżeńskiego bobasa.

– To... to co teraz będzie? – zapytała cicho Kasia, wlepiając w zwierzchnictwo ufne zielone oczęta.

– Teraz, no cóż, teraz... – Ojciec dyrektor rozłożył bezradnie ręce i zatrzepotał nimi, aż się posypały okruszki z jego rękawa. – Teraz to ja nie wiem, co teraz. Może tak, może siak, kto to wie, cóż, ja na przykład wiem, że nic nie wiem, a wszak drogowskaz nie podąża drogą, którą sam wskazuje, prawda, zwłaszcza że błędzić jest rzeczą ludzką, tak, a nic, co ludzkie, nie jest mi obce, tak. Tak. Zwłaszcza to. A zatem. To wy się tu... wy się tu razem... nie lękajcie się! – podsumował zgrabnie, zgarnął pudło z resztką ekskluzywnych ciasteczek i wyszedł.

ROZDZIAŁ 2

– No to po nas – podsumował głucho Stalówka.

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy byli zajęci liczeniem.

Po pechowej stronie stołu konferencyjnego Daniela Majewska liczyła przychody i rozchody. Jedna pensja na jej rękę plus druga pensja na rękę mężowską. Może coś im jeszcze wpadnie za fuchy po godzinach, musi to ustalić. Okej, ogółem nie jest źle, żadnych kokosów, ale stabilnie. Minus rata kredytu hipotecznego, znowu w górę, bo czemu nie, minus opłaty stałe – no, stałe tylko z nazwy, bo z kwot to już niekoniecznie... Minus ubezpieczenie samochodu, przecież koniec polisy wypada akurat na początku października, zaraz potem przegląd gwarancyjny pieca. A tu jeszcze bąbelek bezczelnie podrósł i prezentował roszczenia: proste zęby, fachowa opieka, edukacja, co następane, może zdrowa żywność i perspektywy?! Nie, nie ma mowy, żeby udźwignęli to wszystko z jednej pensji i fuch, choćby i najtłustszych, żeby szlag trafił tego...

Grzesiek Stalówka zapewne przybiłby piątkę koleżance z pecha, gdyż właśnie obliczał stosunek budżetu domowego do liczby dzieci i innych zwierzątek domowych, z których żadne nie przynosiło pożytku finansowego, za to każde domagało się posiłków, dachu nad głową i tym podobnych atrakcji. Oraz gotówki – na radę rodziców, na wycieczki, na książki, na dodatkowy angielski, na dodatkowy basen, na dodatkowy święty spokój... Chyba powinien odświeżyć parę kontaktów zawodowych, zanim będzie zmuszony powiedzieć potomstwu, że Mikołaj nie żyje, więc w tym roku nie przyniesie im nawet skarpet.

Arkadiusz Krawczyk nie miał na utrzymaniu ani dzieci, ani zwierząt, skupiał się więc na liczeniu kilometrów, jakie razem z prawie mężem planowali pokonać jeszcze w tym sezonie w drodze na puchary i eliminacje. Do tego bramki na autostradach, opłaty, wejściówki, noclegi, wyżywienie... No i te szalowe slipy, które sprowadzili aż ze Stanów. Dwie stówy za parę, dwie stówy! A mogli się zamknąć w pięciu dychach razem z wysyłką, to nie! Sam się uparł, żeby nie kupować u Chińczyka gatek z poliestru, opisanych boleśnie połamaną polszczyzną jako „seksi męskie pozowanie tułowia sakiewka na penisa”, lecz zainwestować w szalowy nylon ze spandeksem i nadzieją, że inwestycja zwróci się w medalach i nagrodach pieniężnych. Jasne,

w najgorszym razie mógłby się zająć obsługą administracyjną siłowni, zawsze to mniej wariatów, zdrowsze środowisko pracy, utrzymać się też utrzymają, ale żeby tak pracować z prawie mężem? Nie no, to przecież niehigieniczne...

Wciśnięty w najdalszy kąt Olafek Hanzel liczył, że ktoś coś wymyśli, zanim wieść rozejdzie się po branży. Zdążył się pochwalić wszem wobec skraweczkiem etatu i nie chciał tego odszczekiwać. Możliwe też, że uczynił to z wyższością, która niechybnie odbiłaby mu się ciężką czkawką, gdyby szanowna brać studencka dowiedziała się teraz, że wydawnictwo splajtowało zaraz po tym, jak go zatrudniło. Lecz wszystkie szyderstwa i szykany tego świata byłyby zaledwie muśnięciem w porównaniu z tym, jak zapewne zareagowałyby jego osobista mamusia. Żaden tam Słowacki z testamentem i kagańcami, żadna Urszulka Kochanowska ze zniknięciem swoim, żadne *Żale Jakuba nad utratą gaci* nie wyraziłyby choćby ułamka tej rozpaczki, tej jeremiady, jaką odpaliłaby mamusia Hanzlowa na wieść o krzywdzie jedyne go syneczka. *Stabat Mater Dolorosa* w jej wykonaniu zawstydziloby całą chrestomatę staropolską. Oraz całego Olafka.

Kasia Grzymska ku własnemu niedowierzaniu podeszła do nadciągającego dramatu bardzo fachowo, mianowicie zaczęła od liczenia nakładów. Jako jedyna z obecnych wiedziała w miarę dokładnie, ile książek z przepisami siostry Apostazji na dzień dobry zjeżdżało z drukarskich maszyn. A to był tylko nakład początkowy, do którego potem, w miarę upływu czasu, dochodziły dodruki i wznowienia, wydania poprawione i rozszerzone, edycje specjalne... Na myśl o szpalerach zer zakreśliło jej się w głowie, aż musiała chwycić się blatu. Przecież nawet gdyby zebrali do kupy wszystkie pozostałe tytuły wszystkich pozostałych autorów razem, nie dobili by do nakładu najslabiej schodzącej części – tej z przepisami na pięćdziesiąt dwa dania z wątróbki na słono i na słodko.

Z czego wynikało, że Stalówka miał rację.

Już po nich.

– Nie no, chwila. – Daniela wyczuła popłoch Kasi i pospieszyła ze wsparciem, chociaż sama nie czuła się najpewniej. – Spokojnie. Bez paniki. Przecież to nie jest tak, że z dnia na dzień zostajemy z niczym, prawda? Mamy magazyn pełen wydrukowanych książek, tak? Mamy jakąś sprzedaż, wpływy, rozliczenia bieżące czy prognozowane. Zna ktoś umowy, warunki i tak dalej?

- No. – Grzesiek Stalówka w zadumie pokiwał głową. – Ktoś zna.
- Zajebicie. Kto?
- Głazina.

No tak.

Sekretarka redakcji Grażyna Sławińska, nie bez powodu ochrzczona Głaziną, przez lata dźwigała na swych barkach losy wydawnictwa JaMas. Nawet gdy komuś wydawało się przez moment, że ma tu coś do powiedzenia, jakąś wiedzę o rynku, moc sprawczą albo decyzyjną, Głazina metodycznie i bez pośpiechu wyprowadzała go z błędu. To ona ogarniała umowy i rachunki, przychody i rozchody, procesy i negocjacje. Wiedziała wszystko, znała każdego, niepodzielnie władała planem wydawniczym, kosztorysami i żywiołami, ze szczególnym uwzględnieniem ojca dyrektora. I zapewne czyniłaby to nadal, ku wspólnej glorii i chwale, gdyby okoliczności nie pchnęły jej do zbrodni.

Oczywiście ktoś mógłby wytknąć, że okoliczności okolicznościami, ale naprawdę nie musiała od razu mordować nadgorliwego redaktora współpracującego, który w przyływie praworządności zamierzał ujawnić pozamałżeńskie harce ojca dyrektora wraz ze skutkami spadkowymi tychże. Nawet jeśli owo ujawnienie skutkowałoby bezpowrotną utratą przez wydawnictwo JaMas praw do dzieł zebranych siostry Apostazji, czyli... stanem obecnie zaistniałym.

– Dobra, nie ma na co czekać – orzekł Szytwny. Nie tracił czasu na liczenie oszczędności, zamiast tego pospiesznie kalkulował. – Musimy wrzucić na rynek jak najwięcej książek, zanim tamci spadkobiercy nas zablokują sądownie. Ile tego jest? – zwrócił się do Krawczyka.

Ten wzruszył ramionami, niemal zrzucając przy tym Majewską z krzesła.

– Cholera wie. Trzeba by policzyć.

– Ale jak? – odważył się wtrącić Olafek.

– Możesz na paluszkach, jeśli masz takie życzenie.

– Mniej więcej ile? Rząd wielkości? – drążył Wojciech Szumski. – Ktoś się chyba w tym orientuje?

– No – przytaknęła Daniela. – KTOŚ POWINIEN.

Reszta przytaknęła na znak, że istotnie, ktoś powinien i oni już dobrze wiedzą, kto to taki. W odpowiedzi Szytwny raczył unieść brew.

– A na mnie patrzcie, gdyż? – zapytał tonem uprzejmie sugerującym, żeby się wszyscy z łaski swojej raczyli w te pędy odwalić.

– Gdyż podobno jesteś kierownikiem promocji i handlu – wyłożyła uprzejmie Daniela. – Z definicji powinieneś wiedzieć takie rzeczy. Szefie.

– Promocji BEZ handlu – sprecyzował. – Nie mam i nigdy nie miałem dostępu do systemu sprzedaży. Nawet nie wiem, czy w tym pierdołniku w ogóle funkcjonuje jakikolwiek system, bo może cała sprzedaż opiera się na liczydło i zeszyty w kratkę.

– Och, już nie przesadzajmy z tym czarnowidztwem. – Kasia Grzymska sięgnęła do pokładów wrodzonej naiwności, którą mylnie brała za życiowy optymizm. – Na pewno nie jest aż tak źle. Ktoś to przecież dotąd z powodzeniem kontrolował, prawda?

– No. – Stalówka pokiwał głową. – Głazina.

– Ale przecież Głazina siedzi! – poczyniła słuszne spostrzeżenie Daniela.

– No i?

Wtem Kasia Grzymska doznała olśnienia.

– To... to może księgowa? Księgowa chyba powinna coś wiedzieć, prawda? Od tego przecież są księgowe. Żeby liczyć i wiedzieć... rzeczy.

– A tak właściwie... – Daniela zawiesiła głos i rozejrzała się po salce. – A tak właściwie to gdzie jest księgowa? Przecież dziś czwartek. Dlaczego jej tu nie ma?

– A bo ja wiem... Zna ktoś numer do księgowej?

– Głazina – odparł ponuro Grzesiek Stalówka. – Głazina zna wszystkie numery.

W tym momencie Sztywny już nie wytrzymał. Wychylił się gwałtownie zza Daniela i skinął głową na sekretarkę.

– No? – warknął. – Powiesz wreszcie coś sensownego czy będziesz dalej wpięprzał ciasteczka jak mała kit? Latami pracowałeś z Głaziną biurko w biurko, musisz coś wiedzieć. Cokolwiek!

Arkadiusz Krawczyk przez chwilę wyglądał, jak gdyby rozważał, czy odpowiedzieć jaśnie panu kierownikami rzeczowo i kulturalnie, czy jednak iść w przemoc i mordobicie. Wreszcie wsunął do ust ostatnie ciasteczko, strzepnął cukier z brody i głęboko odetchnął. Rzeczywiście, coś wiedział. Tyle że wolałby się do tego nie przyznawać, by uniknąć pytań o źródło informacji. Źródło mogłoby zgłosić uzasadnione pretensje, a tego sobie nie życzył.

– Głazina siedzi w areszcie – przystąpił do dzielenia się starannie wyselekcjonowaną wiedzą – i raczej prędko nie wyjdzie. Podobno tak

odmówiła złożenia wyjaśnień, że doprowadziła prokuratora do stanu przedzawałowego, zgagi lub obydwu naraz. Podobno. I może pracowałem z nią biurko w biurko, ale pan kierownik wybacz, ja w pliki zamężnym kobietom nie zaglądam. Poza tym pochłaniały mnie osobiste obowiązki służbowe.

– Bingo to nie są obowiązki służbowe – odparował Szumski z zaczepnym błyskiem w oku. – To są jakieś żarty? Nie mówcie mi, że od aresztowania Głaziny cała sprzedaż jest wyłącznie w rękach tego... tego... – Urwał, bo na usta cisnęły mu się wyłącznie określenia, jakimi nie powinien obrzucać zwierzchnika. Przynajmniej nie przy świadkach. Wobec tego pozostało mu jedynie zawezwanie do najwyższego bóstwa opiekuńczego ze wszystkich panteonów znanych ludzkości. – Kurwa mać...

– Wyjątkowo się zgodzę – mruknęła Daniela.

– Już po nas – powtórzył Stalówka.

Zebrani wokół stołu pracownicy wydawnictwa oklapli, jak gdyby niewidzialna ręka rynku spuściła z nich powietrze.

– Poważnie? – Na widok ich postawy Wojciech Szumski skrzywił się z obrzydzeniem. – Wydawnictwo leci na czołówkę z rzeczywistością, a wy od razu puszczacie kierownicę i zamykacie oczy? Tylko na tyle was stać?

Grzesiek Stalówka odetchnął głęboko. Jak każdy zdrowy na umyśle człowiek nie przepadał za kierownikiem pecha, ale jeszcze bardziej za plajtą i bezrobociem. Dobrze rozegrany upór Szumskiego mógł uratować im wszystkim tyłki.

– Okej. Okej. – Pochylił się do przodu, wspierając łokciami o stół, i skupił uwagę na kierowniku pecha. – Możemy wyprzedać zawartość magazynu, jasne, choćby do gołego klepiska. I co to da? Odzyskamy część kasy, nie wszystko, ale część. Może do końca roku utrzymamy się na powierzchni. A potem co? Jak chcesz zapełnić ten magazyn z powrotem, czym?

– Mam taką śmiałą koncepcję, żeby może książkami.

– Fantastycznie. Czyimi?

– Bo ja wiem? Autorów?

– A tak dokładniej? – Stalówka nie odpuszczał, dziękując losowi za dwie córki w wieku nastoletnim, bo mógł tak dyskutować naprawdę długo. – Świętej pamięci siostry Apostazji czy Juchy, która właśnie

trzeci raz przełożyła deadline na drugą powieść, bo gwiazdy nie są w porządku?

– Ja już prawie skończyłem przepisywać tamten rękopis... – bąknął Olafek ze swojego kąta.

– Brawo ty.

– Ale po co ty go przepisujesz? Przecież ta książka wypadła z planu... – niezmiernie zdziwiła się Kasia.

– Kiedy?!

Ignorując bezproduktywną z jego punktu widzenia dyskusję, jaka rozgorzała gdzieś w tle między członkami redakcji, Wojciech Szumski wrócił do kalkulowania. Czyli co? Nie mieli autorów, nie mieli planu awaryjnego, tak? Zaczynali od zera. Zabębnił palcami w stół. W sumie mogło być gorzej, uznał. Zero to całkiem niezły punkt wyjścia.

– Dobra. Potrzebna nam oferta, target i świeża autoidentyfikacja – wyliczył. – Może nawet rebranding. Musimy się odciąć od trudnej przeszłości i zdefiniować na nowo. Musimy znaleźć coś, co przyciągnie do nas autorów i czytelników, i na tym zbudować nową tożsamość. Możliwie szybko.

Stalówka machnął ręką.

– Przyciągnięcie autorów to pestka, teraz więcej ludzi pisze, niż czyta. Możesz coś złowić na Wattpadzie, jeśli masz czas i cierpliwość... a raczej nie masz – dodał nieco ciszej, ale tylko nieco. – Albo iść na łatwiznę i wrzucić jutro krótkie info do social mediów, że szukamy czegokolwiek, debiutów, gorących romansów, krwawych kryminałów, powieści drogi, poezji śpiewanej. Nieważne, co to będzie, pojutrze będziesz miał skrzynkę zatkaną po korek. Zapewne w większości byle czym, ale nawet byle co to zawsze więcej niż nic – zapewnił pocieszająco. – Więc tym bym się nie martwił. Natomiast z czytelnikami już nie będzie tak łatwo.

Sztywny doskonale wiedział, co miał na myśli Stalówka. Znał statystyki czytelnictwa lepiej niż własną kieszeń. Wydawcy kłębili się na rynku niczym germańskie hordy u bram Rzymu, walcząc o uwagę i portfel ledwie trzydziestu paru procent ostatnich sprawiedliwych, dla których książki wciąż stanowiły przedmiot wart czasu, uwagi, a nawet pożądania.

– Czyli potrzebujemy czegoś, co nas wyróżni, czym rzucimy się czytelnikom w oczy. Mocnego hasła, tytułu, konceptu...

– Budżetu? – podsunął kąśliwie Krawczyk.

– Może trupa? – dobiegło nieoczekiwanie z najdalszego kąta.

Wszyscy obrócili się do Hanzla, który mało nie zemdlał z tego nadmiaru uwagi. Czyżby to było to? Moment chwwały? Przełom, który zdefiniuje na nowo nie tylko tożsamość wydawnictwa, ale też samego Olafka?!

– Trup jest konceptem – dodał, płoniąc się niczym dziewczę z ballady. – Takim niezmiernie... dystynktywnym.

– Nie no, jasne. Trup. Czemu nie? – Szumski zaśmiał się drwiąco. – Pierwszy już padł, to może idźmy w kryminał, w końcu to nam przychodzi naturalnie! Proszę bardzo, nawet mam hasło. „JaMas: nowy wymiar *true crime!*”. Albo o, proszę, idźmy na całość. „Jedyne wydawnictwo z oficjalnym bodycountem ogłasza warsztaty literackie dla śmiałków. Trzy dni w głuszy sam na sam z bezlitosnym wydawcą. Kto przeżyje, ten wygrywa debiut oraz życie!” – zakończył szyderczym zakrzyknięciem.

– Co? – Daniela Majewska drgnęła razem z krzesłem, aż zazgrzytało nogą o podłogę.

– Ty, czekaj no. – Krawczyk obejrzał się na kierownika pecha z autentycznym zainteresowaniem. – To ma sens.

– Ale to jest dobry pomysł! – zakrzyknął Stalówka z nieczęstym u niego ożywieniem. – Tego jeszcze nie było!

– Czyli taki... kryminalny survival?

– Damy im broń czy internet wystarczy?

– Ale będą pisać czy tylko walczyć o życie?

– Idziemy w streaming? To nam podbije koszty...

– Ja bym szedł. Streaming ostro zwyżkuje.

Wojciech Szumski powiódł wzrokiem po współpracownikach. Sądząc po wyrazie ich twarzy, doznawali właśnie zbiorowej ekstazy.

– Przepraszam, że tak bez ogródek, ale czy was wszystkich popierdoliło?

– Jest taka opcja – przytaknęła Daniela, nagle rozpromieniona niczym słońce na letnim niebie. – Ale to serio może chwycić. Kryminały schodzą jak dzikie.

– Ten segment rośnie od lat i nie zanosi się, żeby nagle miał przestać. – Stalówka poparł koleżankę fachowym argumentem. – Ludzie mają słabość do zbrodni, a my możemy im ją...

– Ale nie w ten sposób! – zaprotestowała Kasia. – Tak... tak... tak się nie godzi! Nie możemy się promować na czyjejs krzywdzie, co sobie

ludzie pomyśla?! Że jesteśmy jakimiś hienami?!

– A co nam szkodzi? – zapytał Grzesiek Stalówka. – Cała branża mówi o nas per „ci, co wykończyli redaktora”. I wcale nie chodzi o to, że zatrudniamy ludzi za głodowe stawki. Już i tak nikt nie chce z nami pracować, naprawdę nie mamy nic do stracenia.

– Co ty wygadujesz? – Szumski pierwsze słyszał.

– No tak. Kiedy po branżuni rozeszły się plotki, jak Głazina rozprawiła się z Chojnowskim, nasi wciąż żywi redaktorzy i korektorzy hurtem porzucili zlecenia. Kasia i Olafek ogarniają teraz wszystko własnymi siłami. Nie żeby zostało im tyle roboty, żeby we dwoje nie dali rady, ale...

Sztywny zmarszczył brwi.

– I co w związku z tym? Tamci spietrali, to znajdźcie nowych. Ty! – rzucił do Olafka, który mało nie zszedł z wrażenia. – Masz chyba jakichś bezrobotnych kolegów na roku?

– Mam! Zaiste, w rzeczy samej oraz... istotnie. To jest, mam, ale...

– Ale co?

– Ale ja ich lubię...

Kasia westchnęła głęboko, po czym położyła dłoń na dłoni młodszego redaktora i zaczęła tłumaczyć kojącem tonem:

– Jeszcze raz. Głazina siedzi w areszcie. Głazina nie może cię skrzywdzić...

Z mocarnej piersi Arkadiusza Krawczyka dobyło się głębokie, mrużące westchnienie, od którego w niejednej żyłce zawrzałyby krew.

– Musimy czymś przyciągnąć autorów i czytelników – powtórzył powoli za Szumskim. – Jasne. Ale nie mordowaniem współpracowników, jeśli pan kierownik łaskawie pozwoli. Po prostu nie.

– Gdyż?

Krawczyk najchętniej poprzestałby na „gdyż nie”, ewentualnie na energicznym wyproście ściśle wyspecjalizowanych paliczków palca środkowego. W zaistniałej sytuacji stwierdził jednak, że spróbuje przemówić do Szumskiego jak do człowieka. Wszak lubił wyzwania.

– Gdyż widzi pan, panie kierowniku, odkąd w mediach poszła fama, że u nas mordują, ciągle ktoś dzwoni. Dziennikarze dzwonią. Podcasterzy. Bloggerzy. Okej, tych jeszcze spławię. Ale dzwonią też mili zbrojeńcy, którzy bardzo by chcieli, żeby im dać zleconko, a potem osobiście ukarać ich za każdą literówkę, jaką puszczą. Zły korektor, te

klimaty. I oni dzwonią i dyszą, ja odbieram i słucham, a potem mi się po nocach śni. A jak zaczniemy promować inicjatywę zgonem Chojnowskiego, to hurtowe dikpiki mam zagwarantowane. Nie żebym nie doceniał piękna męskiej osobowości, jednakowoż co za dużo, to i świnia nie zeżre. Więc pan kierownik wybaczy, ale pierdolę taką robotę.

– Masz może lepszy pomysł?

– A tak się składa, że mam – odwierkał równie słodko sekretarka. – Lep na autorów, że mucha nie siada. I nawet będę taki miły i sam to panu kierownikowi załatwię.

– Nie – oznajmił kategorycznie Szumski. – Nie. Okej, kryminal sam w sobie ma sens, ale ten trup, te warsztaty... nie! Pal sześć, czy tak się godzi, czy nie godzi, takich rzeczy nie organizuje się w tygodni. Nawet nie w miesiąc. Zanim zdążymy cokolwiek ogarnąć, będziemy zwijać manatki.

– No bez jaj. – Daniela spojrzała na kierownika z niesmakiem. – Daj mi święty spokój i dostęp do internetu, a ogarnę ci to w tydzień.

– No co za mobilizacja, kto by się spodziewał. Nie! Nie, wykluczone. Koniec dyskusji!

I wtedy Kasia Grzymska przeliczyła wreszcie wpływ etatu w wydawnictwie JaMas na życie osobiste, jęknęła, po czym rozbeczała się na całego.

Przez następny kwadrans jednocześnie szlochała i usiłowała wyjaśnić, o co właściwie chodzi. Przez urodzaj dźwięków towarzyszących, jakie z siebie wydawała, dość trudno było uchwycić sedno jej wypowiedzi, choć niemal na pewno kilka razy posłużyła się słownictwem rzekomo nieprzystającym młodej damie o delikatnej konstrukcji. Wreszcie zdołali poskładać strzępy w mniej więcej logiczny komunikat, że jeśli Kasia straci pracę, to koniec, gdzie ona znajdzie pracę w tym powiecie, no chyba że w szkole, ale tam ją stratują podczas pierwszej przerwy, nie, ona się nie nadaje, straci pracę i wtedy koniec z hummusem, koniec z rzodkiewką, rzodkiewkę co najwyżej zobaczy przez płot, jak rośnie rażno emerytom w ogródkach działkowych, ale to nie wszystko, o nie, bo tym razem embargo na dobra luksusowe nie wystarczy, tym razem Pan Paragon na pewno będzie się chciał przeprowadzić do miasta wojewódzkiego celem maksymalizacji przychodu i zawodowych perspektyw, na co należał od dawna w sposób natarczywy.

Tego było stanowczo za dużo jak na nerwy Wojciecha Szumskiego.

Kierownik pecha przejechał dłonią po twarzy i zacisnąwszy zęby, dokonał ewaluacji światopoglądu. Okej. Dobra. Czemu nie. Będzie musiał jakoś wcielić w życie ten dumny pomysł, który rzucił w przepływie sarkazmu, mając do dyspozycji budżet najędzniejszy z nędznych oraz fatalną opinię.

– Ja ci to zrobię – zaofiarowała żarliwie Daniela, która bezbłędnie wyczuła tę zmianę nastroju u przełożonego. – Mówiłam poważnie, szefie. W ciągu tygodnia będziesz miał na biurku gotową koncepcję razem ze wstępnym kosztorysem. Ogarnę regulamin, media, miejscówkę, transport, komunikację, organizację, przysięgam. Grzesiek machnie grafiki, Kasia z Olafkiem zrobią odsiew zgłoszeń, Areczek odsiew zboczeńców. Ty musisz to tylko przepchnąć przez majestat ojca dyrektora.

– Słucham? – Szumski wybałuszył oczy na podwładną. – Że co mam zrobić?!

– A co myślałeś? Czy nam się to podoba, czy nie, to musi przejść oficjalnie przez Mastalerczyka. Możemy się ratować podręczną gotówką, powinno wystarczyć na... na co?

Obejrzała się na sekretarkę, a ten szybko oszacował moc nabywczą zawartości kasetki.

– Na piwo.

– Zawsze coś. Ale bez podpisu ojca dyrektora na dokumentach księgowy nie puści nawet pół przelewu za gumę do żucia. Więc ktoś go musi przekonać, że oto wpadł na doskonały pomysł, który odmieni całą branżę. I że wcale nie chce w tym brać osobistego udziału – dorzuciła.

– I to mam być ja? – Wojciech Szumski prychnął ze wzdrganiem. – Ty tak poważnie? Gdybyś nie zauważyła, pracuję tu od dwóch miesięcy, nie wykształciłem jeszcze odporności na to jego pierdolenie w stałych dawkach. Prędej go zatłukę dziurkaczem, niż przekonam do logicznego działania.

– Stażem może nie imponujesz, za to jesteś z nas wszystkich najwyższy szarżą – słusznie zauważył Stalówka.

– Nie widzę związku.

– No patrz. A my tak.

– Cóż począć, panie kierowniku. – Arkadiusz Krawczyk po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się radośnie i szczerze. – Padło się ofiarą własnych kompetencji.

Szumski zmeł w ustach soczyste przekleństwo. Nie. Nie da im tej satysfakcji. Wstał bez słowa, wzgardliwym gestem strzepnął paproszek ze spodni, po czym wyszedł, starannie nie trzaskając za sobą drzwiami.

– Prawie mi go żal – rzuciła Daniela i pokiwała głową w zadumie nad smutnym losem, jaki czekał jej przełożonego. Po czym rozpogodziła się jak czterolatek na widok paczki żelków. – Ale tylko prawie.

ROZDZIAŁ 3

Jakieś plus minus dwa miesiące później nadszedł ten dzień, kiedy rzucony półzartem rozpaczliwy pomysł w końcu miał się doczekać realizacji. I to takiej całkiem na poważnie.

Widmo bezrobocia i zawodowego blamażu zmobilizowało zespół do pracy ponad siły, pełny wymiar godzin i oficjalne wynagrodzenie. Zaraz po tamtym przełomowym kolegium drzwi wydawnictwa zostały zamknięte na cztery spusty, telefony wyłączone, autorespondery zaś postawione w stan najwyższej gotowości.

Najpierw jednogłośnie zdecydowali, że świętej pamięci redaktora współpracującego zostawią jednak w spokoju, i to wcale nie dlatego, że rozwiedziona wdowa mogłaby ich ciągać po sądach lub mediach, co byłoby dość kiepską reklamą. Potem przez cały weekend dyskutowali na WhatsAppie, aż wybrali hasło na świeże otwarcie: „WYDAWNICTWO JAMAS: NOWY WYMIAR ZBRODNI”. Było krótkie, chwytliwe, adekwatne do gatunku, który zamierzali od tej pory wydawać, a przy tym na tyle niejednoznaczne, żeby zagrało skojarzeniami, nie narażając ich na pozwy. Szyderczych memów krążących w internecie mogli już nie unikać, ale trudno.

Na tym zakończyła się burza mózgów i nastąpiła specjalizacja poszczególnych jednostek.

Arkadiusz Krawczyk poprzysiągł sobie i wszystkim wokoło, że oprócz ogarnięcia eksperta zdobędzie też hasła do systemów i firmowego konta, czy to podstępem, perswazją, czy też przemocą w formie dowolnej. Nikt na wszelki wypadek nie wnikał, jak dokładnie zamierzał to zrobić, brzmiał bowiem przekonująco w stopniu niepokojącym. Przez kilka dni tkwił na swoim miejscu za kontuarem sekretariatu i sprawiał wrażenie, jak gdyby sam planował zbrodnię, ewentualnie zastanawiał się poważnie nad własną poczytalnością i życiowymi wyborami, aż w środę, kilka minut przed południem rozdzwoniła się jego komórka. Po krótkiej rozmowie Krawczyk wybiegł z biura i wrócił co prawda dopiero następnego dnia, lekko wymiętoszony życiem, za to z hasłami w zębach. Podania szczegółów odmówił.

Zgodnie z obietnicą Daniela Majewska przyspawała się do komputera i w ciągu tygodnia opracowała koncepcję warsztatów

literackich z prawdziwego zdarzenia. Oszacowała budżet, rozpisała regulamin i błyskawiczną kampanię w social mediach – po kosztach lub w barterze – znalazła miejscówkę i opcje transportowe. Wyposażyła też Grześka Stalówkę w zestaw jasnych wytycznych, żeby mógł zabrać się do projektowania nowego logo na materiały promocyjne i stronę internetową, która wymagała nie tyle lekkiego odświeżenia, ile natychmiastowego zrównania z ziemią i zasypania wapnem. Grafik, choć nie przepadał za wysiadywaniem po godzinach, lkał ze szczęścia, mierząc się z zadaniem, o którym marzył skrycie od lat.

Pozostałym pracownikom działu redakcji przypadło nakreślenie nowego profilu wydawniczego od strony gatunku. Dlatego w poniedziałek równo z dzwonkiem wparowali do najbliższej księgarni sieciowej i zaparkowali w dziale z kryminałami, żeby tytuł po tytule zapoznać się z ofertą od strony fabularnej, estetycznej i typograficznej. Kasia czyniła spostrzeżenia, Olafek czynił notatki, personel księgarni zaś udawał, że nic nie widzi. Żeby nie wyjść na kompletnych pasożytów na zdrowej tkance przedsiębiorstwa, w drodze do wyjścia porwali przypadkowe książki i zapłacili w pośpiechu, dzięki czemu Olafek wzbogacił się o podręcznik biologii dla klasy drugiej liceum i technikum, Kasia zaś w kartonową książeczkę o kombajnach i coś o szydełkowaniu dla początkujących w trzystu prostych krokach.

Nie licząc krótkich przerw na udzielanie akceptów i błogosławieństw, Wojciech Szumski przez cały ten czas siedział za biurkiem, skąd wpatrywał się w przestrzeń z miną kota srającego na puszczy, i myślał. Nikt nie miał mu jednak za złe tej pozornej beczynności. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że w ten sposób zbierał siły i wytrzymałość psychiczną do przeprawy najcięższej z ciężkich, od której wyniku zależały ich dalsze losy. Kierownik pecha, przy szerokim wachlarzu jego wad na gruncie czysto ludzkim, w pracy prezentował jedną niezaprzeczalną zaletę. Mianowicie był konkretny do bólu. Dawkował argumenty precyzyjniej niż anestezjolog narkozę, skupiał się na danych i faktach, całym sobą focusował się na target, krótko mówiąc – był kompetentny, produktywny i skuteczny.

Czego nijak nie dało się powiedzieć o Jacku Mastalerczyku.

A bez wsparcia i buforu w postaci Głaziny Sztynny musiał stawić mu czoło w pojedynkę. Po rozważeniu wielu opcji postanowił ugryźć temat metodą na Indianę Jonesa: przedrzeć się śmiało przez gęstwinę dyrektorskich myśli, tę dzicz niezgłębioną, by dotrzeć do wątlego

źródła koncentracji, złożyć mu ofiarę z ciasteczek i czym prędzej, póki było, zaczerpnąć z niego pełną garścią. Lecz jak w każdej porządnej dżungli i tam kryły się pułapki i niebezpieczeństwa, przyczajone dygresje, ukryte brednie. Gdy tamtego popołudnia Szumski na miękkich nogach opuścił wreszcie gabinet ojca dyrektora, miał puls powyżej dwustu uderzeń na minutę, tulił do piersi dokumenty z podpisem niczym najcenniejszy artefakt w dziejach marketingu i mamrotał coś nieskładnie o węzach.

A teraz stał przed wydawnictwem w ten listopadowy poranek i nadal nie do końca pojmował, jak właściwie dokonał tego cudu. Choć gdyby miał wybór, czy wejść do tego gabinetu raz jeszcze, czy ponownie zobaczyć tamto...

Szumski aż drgnął, gdy niechciane wspomnienie brutalnie ściągnęło go z powrotem na ziemię, szczerze rozsoną deszczem. Otrząsnął się, podciągnął rękaw kurtki i puknął palcem w ekran smartwatcha – było trzynaście po szóstej. Umówili się na szóstą piętnaście, zatem dość niedowierzania i retrospekcji. Ogarnął się i ruszył na miejsce zbiórki.

Ledwie wkroczył w półmrok bramy, kiedy z głębi drugiego podwórka dobiegł go aksamitny baryton Arkadiusza Krawczyka, który przemawiał do kogoś kojącym tonem:

– Ale czym ty się przejmujesz? Mamy osobny pokój, ustronną dwójeczkę. Wieczorem wszyscy paciorek, ząbki i spać, a my się zamykamy i możemy sobie do woli...

W tej samej chwili jakiś kamyk zachrząścił pod podeszwą Sztywnego i baryton umilknął jak nożem uciął. Widać nie była to rozmowa przeznaczona dla obcych uszu.

– Dzień dobry – przywitał się głośno i wyraźnie kierownik pecha, wychodząc z bramy na drugie podwórko. Brev mu drgnęła, lecz w ostatniej chwili powstrzymał ją przed wygięciem się w wymowny łuk. Przysięgłby, że ułamek sekundy wcześniej dwaj mężczyźni odsunęli się od siebie pospiesznie.

W puchowej kurtce w rozmiarze potrójnego XL i zimowej czapce sekretarka mógłby uchodzić za skrzyżowanie drwała, górotworu i ucieleśnienia empatii, zaczepiającego przypadkowych przechodniów na ulicy i dopytującego z czułością, czy mają może jakiś problem. Stojący obok facet nie ustępował mu wiele wzrostem, zachowywał jednak proporcje bliższe ludzkim. Roztaczał też zgoła odmienną aurę człowieka, któremu można zaufać, wyznaczyć każdą troskę, każdy grzech,

każdy czyn karalny, a potem wyciągnąć ręce i liczyć, że nawet jeśli zatrzaśnie na nich kajdanki, zrobi to fachowo i bez niepotrzebnego bólu.

Wtajemniczony zawczasu Sztynny wcale nie był zaskoczony widokiem znajomego policjanta u boku sekretarki. Za to tamci dwaj byli bardzo zaskoczeni widokiem Sztynnego.

– O! – zakrzyknął policjant. – Pan Szumski!

Krawczyk odkaszlnął i przystąpił do zdawkowej prezentacji:

– Pan kierownik pamięta... pana władzę.

Sztynny kiwnął krótko głową.

– Pamiętam, oczywiście. Starszy posterunkowy...

Cholera jasna, jak on się nazywał? Tę informację Szumski wyparł już latem, gdy tylko obydwaj policjanci raczyli opuścić wydawnictwo wraz z Głaziną w kajdankach oraz bałwaniastym prokuratorem w ekstazie. Nie sądził, że jeszcze mu się przyda. Jak to szło? Jakoś tak cmentarnie, Grób? Kaplica? Kurhanek? Nie, kurhanek to był Maryli, on nazywał się tak bardziej symetrycznie, Michał... Michał... nie no, gdzie, przecież nie Mauzoleum...

Starszy posterunkowy Michał Mogiła odczekał kilka sekund, po czym okazał miłosierdzie i uściśnął wyciągniętą do niego kierowniczą dłoń.

– Myślę, że w tych okolicznościach wystarczy Michał.

Uśmiech, jakim Sztynny odpowiedział na tę propozycję, był równie ciepły co otaczająca ich listopadowa aura o szóstej nad ranem.

– Często pan tak jeździ, panie Michale? – zapytał. – Jako fachowiec... towarzyszący?

– A nie, nie. To mój pierwszy raz. Z początku tak... no... no nie bardzo byłem przekonany – przyznał policjant. – Ale potem stwierdziłem, że w sumie można by to podciągnąć pod prowadzenie szkolenia, a coś takiego dobrze wygląda w papierach. Wie pan. Do awansu.

– No proszę. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Bardzo efektywnie z pańskiej strony.

Do Krawczyka, który kontemplował tę scenę w milczeniu, jak gdyby dopiero teraz dotarło, że coś mu się tu nie klei. W miejscu pracy Szumski prezentował się zwykle jak wycięty z żurnala. Nienaganne płaszczyzny, idealne kanty, tkaniny pieszczące ciało i oko, a nad tym wszystkim dyskretna woń osobistego sukcesu i równie osobistej

higieny. Jego elegancja spotykała się z wyrazami uznania i docinkami w równych proporcjach, była jednakże uważana za fakt równie niepodważalny co ruch obrotowy Ziemi. Dlaczego więc kierownik pecha zjawił się tego ranka na Górnicy nie dość, że grubo przed świtem, to jeszcze w stroju – jak na standardy, do których ich przyzwyczaił – wręcz niestosownym?

W stroju, uświadomił sobie Krawczyk ze zgrozą, bezdyskusyjnie turystycznym. Garnitur i nieskazitelną koszulę zamienił bowiem na czarną kurtkę trekkingową i także spodnie, buty, które mogłyby samodzielnie zdobyć odznakę za wytrwałość w turystyce pieszej, oraz równie profesjonalny plecak do kompletu. Sztywny był zwarty i gotowy do wyprawy.

– A tak właściwie... to co pan kierownik tu robi? – zapytał ostrożnie sekretarka, wciąż pełen nadziei, że to czysty przypadek, zrządzenie losu, że Wojciech Szumski zwykł w takim stroju chadzać po bułki.

– Pracuję. Chyba widać.

– Ale przecież...

– Pracuję – powtórzył Szumski z naciskiem – i na tym zakończmy temat.

– A pani Bar... pani Baś... a Baśka?

Sztywny zmarszczył brwi. Nie od razu załapał, że Mogiła wcale nie chodzi o Barbarę Żywny, lecz o suczkę, którą Szumski przygarnął ze schroniska, noszącą przypadkiem to samo imię co dawna kierowniczka redakcji. Normalny człowiek poczułby w tym momencie szczerze wzruszenie, że starszy posterunkowy tak troszczy się o dobrostan jego pieseczka. Tyle że Szumski nie był szczególnie normalny.

– Przepraszam, czy to kolejne przesłuchanie?

– Nie, no skąd. – Mogiła zaprezentował łagodny uśmiech, wyćwiczony w niejednej konfrontacji z obywatelem nastawionym na zwarcie z władzą. – Ten etap znajomości mamy za sobą. Raczej.

– Z zasady nie wtrącam się ludziom w prywatność i oczekuję wzajemności w tym względzie. Ale zrobię dla pana wyjątek, ten jeden jedyny raz. Mój pies przebywa obecnie pod opieką mojego ojca... czy też raczej mój ojciec przebywa pod opieką mojego psa. Zapewne spędzą długi weekend na kanapie, dzieląc się kocykiem, ciepłkiem i preclami. Ten? – Szumski zmienił temat i wskazał na białego minivana zaparkowanego na drugim podwórku. Było to pytanie czysto formalne,

bo o tej porze nikt inny tu nie parkował, a na masce pyszniło się dość krzykliwe logo niedalekiej siłowni.

Dwóch przeciętnych gabarytowo facetów oraz jeden nieprzeciętny, nawet z bagażami na cztery dni i trzy noce, spokojnie zabrałoby się zwykłą osobówką. Daniela jednakże, czując presję budżetu i oczekiwań, znalazła idealny ośrodek na zaplanowane warsztaty: po pierwsze, na odludziu, po drugie, klimatyczny, po trzecie zaś – tani. Bez obsługi, bez luksusów i bez wyżywienia. Dlatego ostatecznie wybór padł na samochód, którym Krawczyk z prawie mężem zwykle jeździli na zawody, gdyż oprócz standardowych manatków i zapasowych hantli bagażnik minivana pomieścił również dwupalnikową kuchenkę turystyczną z zapasowymi kartuszami, niewielką mikrofalówkę, toster, czajnik elektryczny, komplet garnków, pięć zgrzewek wody mineralnej gazowanej i pięć niegazowanej oraz szeroko pojętą aprowizację dla dziesięciu osób na cztery najbliższe dni. Ojciec dyrektor zaoferował, że osobiście pojedzie po zaopatrzenie do hurtowni, żeby nie nadwerężyć za bardzo limitu na firmowej karcie. Koniec końców wybrał się tam razem z Kasią, która wskutek obcowania z Panem Paragonem do perfekcji opanowała sztukę robienia wielkich zakupów za małe pieniądze. No i w przeciwieństwie do Mastalerczyka była w stanie zapamiętać czterocyfrowy PIN na dłużej niż kwadrans.

Zdruzgotany Arkadiusz Krawczyk skinął głową, że istotnie, ten, a gdy kierownik pecha oddalił się, żeby zapakować plecak do bagażnika, sekretarka nachylił się ku policjantowi.

– Michaaaś – mruknął przeciągle. – A wzięłeś może broń?...

– Nie wzięłem – odparł Mogiła półgłosem.

– Mamy już pięć minut spóźnienia! – dobiegł ich zniecierpliwiony zew kierownictwa.

– Na całe szczęście nie wzięłem... – wymamrotał policjant, wznosząc oczy ku niebu, po czym ruszył za sekretarką do samochodu.

– To jak się dzielimy? – zagaił Krawczyk, gdy kwadrans później wyprowadził minivana na drogę krajową już poza granicami miasta. Wycieraczki pracowicie zgarniały z przedniej szyby przybierający na sile deszcz.

Wojciech Szumski, który samotnie siedział z tyłu, wzruszył ramionami.

– Ustronna dwójeczka podobno dla panów – rzucił kąśliwie. – A ja się gdzieś wcisnę.

Udał, że pospieszna wymiana ukradkowych spojrzeń całkowicie umknęła jego uwadze.

– Arkowi chodziło chyba raczej o podział zadań i kompetencji – wyjaśnił Mogiła, zerkając w boczne lustro, w którym widać było kawałek kierownika. – Ma pan jakiś szczegółowy plan?

– Gorzej. Mam scenariusz.

Sekretarka poruszył zaciśniętymi na kierownicy palcami i nadstawił uszu.

– Że co proszę?

– Mam scenariusz – powtórzył Szumski. – Którego słowa nie rozumiesz?

– W zasadzie to każdego.

Z tylnego siedzenia doleciało ich westchnienie tak głębokie i przeciągłe, że na moment zakłóciło cyrkulację nawiewu minivana. Komuś tu najwyraźniej było nie w smak drażnienie tego tematu.

– Daniela wspięła się na wyżyny kreatywności – zaczął Szumski, gdy pogodził się z faktem, że nie uniknie tej rozmowy. Równie dobrze mógł to już mieć za sobą. – Wymyśliła warsztaty literackie łączące teorię z praktyką, ze zbrodnią jako motywem przewodnim.

– Chyba na tym polega koncepcja warsztatów – wytknęła Michał Mogiła. – Teoria plus praktyka w jednym.

– Owszem. Tyle że Daniela postanowiła wzbogacić pracę z tekstem i ekspertem do spraw o elementy gry terenowej. Najwyraźniej tak to sobie wyobraziła, że będziemy dzielić się mądrościami, a potem... jak by to ująć... pomykać z autorami po krzaczkach w celu złapania weny. Czy tam kataru.

– Chwilunia. – Krzaczaste brwi Krawczyka zetknęły się u nasady nosa. – A kto będzie tak z tymi autorami po tych krzaczkach pomykał?...

– Wychodzi na to, że prowadzący warsztaty, czyli pan Michał i ja.

Z racji uprawianego zawodu, doświadczenia oraz bliskiej współpracy ze starszym sierżantem Jerzym Pozgonnym, który nawet cierpliwość buddyjskich mnichów wystawiłby na heroiczną próbę, starszy posterunkowy Mogiła zdołał zapanować nad odruchowym parsknięciem. Choć nie przyszło mu to z łatwością, o nie. Za to Arkadiusz Krawczyk ryknął śmiechem z taką mocą, że mało mu pas nie puścił. Z tej radości musiał czym prędzej zjechać na pobocze i zatrzymać samochód, inaczej jak nic skończyliby w rowie.

– Mam taką śmiałą propozycję – wycedził kierownik pecha, kiedy sekretarka przestał rzeźzić i mniej więcej odzyskał oddech. – Może ty byś się tym zajął, skoro daje ci to tyle szczęścia, co?

– Ja? – Krawczyk zachichotał jak mała krasnoludzka dziewczynka. – Panie kierowniku złociutki! Ja im mogę smarować kanapeczki paprykarzem szczecińskim, zdobić tosty kleksami z keczupu albo czule zalewać chińskie zupki wrzątkiem. No dobra, poświęcę się, delegację też podbiję i pomogę ze śpiworkiem, gdyby się zgubili w troczkach. Ale interakcje z autorami to nie moja broszka. Ja mam już dość zboczeńców.

– Czyli dzielimy się tak. – Michał Mogiła uznał, że to dobry moment na podsumowanie, zanim Krawczyk znów straci panowanie nad sobą i kierownicą. – Pan Wojtek zajmie się realizacją swojej części scenariusza warsztatów, Arek cateringiem i usługami administracyjno-dodatkowymi, a ja będę służył szeroko pojętą wiedzą fachową w teorii i praktyce. Oczywiście, w pewnych granicach – zastrzegł. – Zwłaszcza w części praktycznej.

– W granicach przyzwoitości? – Krawczyk puścił do policjanta oko.

– Myślałem raczej o tajemnicy służbowej i zdrowym rozsądku.

Dalsza podróż upłynęła im spokojnie. Zatrzymali się tylko raz, żeby na stacji benzynowej przyjąć na stojąco po hot dogu oraz kawie z ciasteczkami. Po dwóch godzinach wjechali w obszar parku narodowego i klucząc serpentynami, wreszcie dotarli na skraj niewielkiej wsi. Sto metrów dalej zielona tablica informowała, że tu muszą skręcić w lewo, a nawigacja potwierdziła, że istotnie. Do celu zostały im skromne cztery kilometry.

Ledwie minęli tablicę z nazwą miejscowości docelowej, gdy Arkadiusz Krawczyk zdjął nogę z gazu, przyhamował i skręcił minivanem w lewo, na skromnych rozmiarów parking otoczony niskim murkiem z kamienia. Bardzo rozsądnie otoczonym, uznał Mogiła, kiedy tylko wysiedli z samochodu. Za murkiem nagle robiło się bowiem z dobry metr w dół, jeśli nie więcej.

Oprócz minivana na parkingu stał jeszcze dżip czy coś podobnego. Na ich widok wysiadła z niego młoda żołnierka w mundurze polowym i zielonym berecie. Potwierdziła, że to oni wynajęli budynek, a nie czyhają na bezcenne mienie wojskowe, podsunęła im stosowny kwit do podpisu, przekazała klucze, udzieliła krótkich instrukcji i tyle ją widzieli.

– Chciałbym tylko podkreślić, że Daniela jest genialna – orzekł uroczyście sekretarka.

Szumski kiwnął głową, gdyż istotnie, jedynie geniusz promocji mógł sprzedać zapomniany wojskowy ośrodek szkoleniowy w dawno już wyludnionej wsi pogranicznej, listopadową słotę oraz brak ciepłej wody w kranie jako przygodę życia i wstęp do wielkiej pisarskiej kariery.

Gdy tu wjeżdżali, okazało, gęste świerki, które rosły po obu stronach drogi, przesłoniły im widok. Teraz mogli przyjrzeć się lepiej. Na prawo, może ze dwadzieścia metrów od szosy, wznosiły się dwa identyczne piętrowe budynki. Jeden stał na poziomie drogi, jeszcze na płaskim, drugi zaś wyżej, wyznaczając miejsce, gdzie zaczynał się wznosić stok jakiejś nieokreślonej góry. Żołnierka wskazała im ten pierwszy, po lewej, ruszyli więc szutrowym podjazdem do wejścia ukrytego w narożnym podcieniu.

Zamek ustąpił niechętnie pod wspólną presją klucza i Krawczyka, który musiał dość brutalnie pchnąć ciężkie drewniane drzwi, żeby raczyły się przesunąć. Poruszone zawiasy wydały z siebie potępieńczy zgrzyt.

Przez całą długość parteru biegł wąski i ciemnawy korytarz, do którego po obu stronach przylegały pomieszczenia. Pierwsze i drugie drzwi po prawej były uchylone i Krawczyk z zacięciem zajął do środka.

– No, panie kierowniku – mruknął sceptycznie. – Tu jest tak jakby... standard akademicki z elementami życia pierwotnego.

Szumski właśnie próbował ustalić metodą prób i błędów, który z pęku kluczy otwierał tu jakiś pokój, porzucił jednak na moment to fascynujące zajęcie, żeby sprawdzić, co dokładnie miał na myśli sekretarka. Tak zwane sanitariaty mogłyby posłużyć za scenę soczystego slashera. Kafelki na podłogach i ścianach były popękane i ukruszone, jak gdyby ktoś padł z wrażenia i po drodze zaczęł zębami – i tak siedem razy. Fugi w kątach porastały życiem w najrozmaitszych kolorach i formach, od pajęczyn aż po czarną pleśń. Przez szpary w oknach wdierało się do środka zimne powietrze, za to przez zamalowane białą farbą szyby dla odmiany nie wpadało nic, nawet pojedynczy snop dziennego światła. Za jedyne oświetlenie musiał wystarczyć samotny kinkiet, w którym czyjaś oszczędna dłoń zamontowała najslabszą żarówkę, jaką zdołała znaleźć. Krany chyliły się nad umywalkami pod ciężarem kamienia, a ścianki działowe

między kabinami – i prysznicowymi, i toaletowymi – nie sięgały sufitu, dzięki czemu zapewniały integrację zarówno użytkowników, jak i doznań zmysłowych.

– Da radę – orzekł Szumski z doskonałą obojętnością, na co Krawczyk uprzejmie uniósł brwi.

– No bez jaj, panie kierowniku – wyraził głębokie powątpiewanie.

– Jestem dzieckiem lat osiemdziesiątych. Bywałem na koloniach.

– Ale że karnych?...

Mogła w tym czasie przeszedł się po budynku i odkrył, że na obydwu przeciwnych końcach korytarza znajdowały się identyczne schody. Szybko sprawdził jedno z nich. Wyglądało na to, że piętro nie stanowiło dużej całości, tak jak parter, tylko było podzielone na dwie części, całkiem odrębne i dzięki temu bardziej zaciszne.

Kiedy policjant dołączył do reszty wycieczki, Szumski otwierał właśnie ostatni pokój. Zamiast łóżek w środku stały same krzesła.

– No dobra. Więc tak – zaczął. – Pomieścimy się swobodnie, mamy dla siebie cały budynek, piętro plus parter. Panowie życzą sobie spać razem, panowie są dorośli i zakładam, że wiedzą, co czynią. – Rzucił im coś w rodzaju przelotnego uśmiechu, w którym sarkazm walczył z kurtuazją i wyraźnie wygrywał. – Autorów bym jednak rozlokował pojedynczo, żeby nie marudzili bardziej niż to konieczne na niedostatek intymności kolidujący im z... z czymś. – Kiwnął głową na pokój z krzesłami. – Tutaj rozłożymy się z częścią warsztatową, a... gdzie indziej z kuchnią. No. A teraz! – Klasnął w dłonie, aż echo poniosło się korytarzem. – Nie chciało się dźwigać teczek, trzeba dźwigać woreczki.

– Skąd Daniela wytrzasnęła to miejsce? – nie przestawał się dziwić sekretarka, kiedy we trzech wyszli z powrotem na zewnątrz, żeby rozładować bagażnik minivana.

Akurat przestało padać, chociaż niebo wciąż przesłaniały ciężkie, szare chmury. Powinni się pospieszyć z tym noszeniem, autorzy mieli dotrzeć na miejsce najpóźniej o dziesiątej. Zgodnie z rozpiską, którą Daniela Majewska rozesłała uczestnikom mailem dla wygody oraz tradycyjną pocztą dla poczucia prestiżu, pierwszy punkt programu zaplanowano już na jedenastą.

– Coś wspominała, że jej ojciec jest emerytowanym wojskowym – wyjaśnił kierownik pecha, acz niechętnie. – W dzieciństwie spędzała tu z rodziną każde wakacje i ferie.

– To wiele tłumaczy...

– Komentarze na temat współpracowników może zostawmy dla siebie – uciał Sztywny sucho, piorunując Krawczyka wzrokiem. – Tak dla porządku. Stąd do najbliższych zabudowań ludzkich po polskiej stronie mamy kilka minut samochodem, godzinę piechotą, jeśli trzymalibyśmy się szosy. Ewentualnie pół godziny z buta do Czech, gdybyśmy byli zdesperowani. Tamtędy. – Wskazał w stronę szosy, którą tu dotarli.

Droga zaraz za parkingiem skręcała w lewo i opadając stopniowo, biegła dalej prosto, otulona metalowymi barierkami, by po kilkudziesięciu metrach zniknąć im z oczu pośród drzew. Teren po obu jej stronach z rzadka porastały krzaki, a rozlegający się w tle miarowy szmer sugerował, że gdzieś tam płynie strumień.

– Całkiem tu ładnie, mimo wszystko. – Mogiła z uznaniem pokiwała głową, rozglądając się po wzniesieniach pokrytych iglastym lasem. Wyglądały na dość przyjazne piechurom, nawet tym nieszczególnie zaprawionym. – Chociaż przyznam, że jednego nie rozumiem. Dlaczego postanowiliście urządzić te warsztaty akurat tutaj, i to jeszcze w listopadzie? Nie lepiej byłoby w lipcu?

– W lipcu ludzie zazwyczaj mają lepsze plany niż... cóż, to. – Szumski zakreślił ręką bliżej nieokreślony łuk. – A w taki długi listopadowy weekend jak ten nawet pogoda sprzyja wytężonej pracy twórczej.

– O proszę. Jaki zgrabny marketing, panie kierowniku.

– A dziękuję. Miewam przebłyski.

– Przyznam, że nie znam się na autorach – zaczął Mogiła ostrożnie – i być może ma pan rację, panie Wojtku, ale...

– Michaś, weź ty nie policjantuj, co? – Sekretarka wszedł mu w słowo. – Wyłącz tę wajchę od drażenia dziury w całym i zluźnij. Urlop masz.

– Mam. Chociaż wcale nie chciałem!

– Oj tam, oj tam. – Krawczyk pieszczotliwym gestem poklepał policjanta po ramieniu. – Będziesz miał do CV.

W tej samej chwili gdzieś pośród leśnej ciszy rozległ się osobliwy odgłos. W przeciwieństwie do szmerzącego strumienia nie brzmiał jak dźwięk naturalnie występujący w przyrodzie. Przypominał raczej zduszone rżenie z wyraźną sugestią rychłej agonii. Dźwięk ten narastał stopniowo, wyraźnie zbliżając się w ich stronę asfaltową

serpentyną. Aż wreszcie pod budynek, przed którym stali trzej przedstawiciele wydawnictwa, zajeżdżał z fasonem czerwony minibus.

ROZDZIAŁ 4

– Zgodnie z rozkładem – pochwalił Szumski, zerknąwszy na smartwatcha. – Może nie będzie tak źle.

Zmaltretowany minibus wjechał na podjazd między budynkami ośrodka, zazgrzytał tarczami hamulcowymi, doprawił ręcznym, po czym uciekł, być może na wieki. Szumski ledwie zdążył przemknąć wzrokiem po bladoczerwonej karoserii, kiedy boczne drzwi stanęły otworem i z samochodu wysiadł pierwszy pasażer.

O ile kierownik pecha wyglądał jak dyskretne ucieleśnienie turystyki pieszej, o tyle ten facet mógłby robić za wyspecjalizowane bóstwo opiekuńcze. Każdy element sprzętu głosił całemu światu, że gość był gotów do akcji, do drogi, do wyprawy w nieznaną! Na szyi dyndał mu telefon komórkowy w profesjonalnym pokrowcu, który zapewniał przetrwanie sprzętu elektronicznego tak w morskich otchłaniach, jak i saharyjskiej spiekocie, a w razie potrzeby mógł posłużyć za narzędzie zaczepno-obronne bądź kapsułę ratunkową. Warstwy membran i innych wzmocnień na spodniach i butach zapewniały mu pełną przyczepność i swobodę płąsu po alpejskich lodowcach, rozżarzonych węglach czy nawet zrewitalizowanym rynku w polskim miasteczku powiatowym. Wieniąca całość żółta puchowa kurtka z kapturem upodabiała go trochę do poczwarki w kokonie, trochę zaś do grzyba oferującego szybki wypad do Krainy Czarów – a przy tym nasuwała fascynujący dylemat, czy łatwiej byłoby gościa obejść, czy jednak przeskoczyć.

– Pan Daniel, pan Daniel, czy znajdę tu pana Daniela? – zaczął pytać człowiek grzyb podniesionym głosem, strzelając serią hollywoodzkich uśmiechów w oszołomiony komitet powitalny. – Tak? Tak? Dobrze pamiętam? Niedobrze? Rafał Maniecki, bloger, podróżnik, influencer, obsługa medialna wydarzenia, z kim ja rozmawiam?

Sztywny natychmiast wystąpił przed szereg. Obsługa medialna? Proszę bardzo, z obsługą medialną mógł rozmawiać jak równy z równym, jak fachowiec z fachowcem, jak dorosły człowiek w miejscu bądź co bądź pracy.

– Ze mną. Wojciech Szumski, kierownik promocji wydawnictwa JaMas, organizator wydarzenia – wyrecytował bez zająknięcia. Emanował czarem i pewnością siebie, jak przystało na kadre

kierowniczą. – Nastąpiła delikatna korekta personalna, ale proszę się nie obawiać, pozostałe ustalenia są aktualne.

– No dzień dobry, dzień dobry! – Maniecki zareagował entuzjastycznie na ten popis konkretności i zwięzłości. Choć nie tylko to wzbudziło jego zachwyt. – Żaden problem, wprost przeciwnie, to się wręcz dobrze składa, bo pan, panie Wojtusi, pan to mi wygląda na zwierzę medialne. Zwierzę!

Na te słowa Sztynny zesztynniał jakby ciut bardziej, co mogło z łatwością umknąć osobie postronnej. Za jego plecami Mogiła przechylił się nieco w bok i zwrócił półgłosem do sekretarki:

– Ale że jakie zwierzę? Pracowita pszczołka czy jak?

Krawczyk zamomknął, nie do końca przekonany.

– Raczej truteń. Albo borsuk. O taaak – mruknął przeciągle. – Borsuk. Totalnie to widzę.

– No gdzie, zupełnie nie ta dynamika charakteru. Raczej miodożer. One są podobno takie bardziej.

– Czy ja wiem? Miodożer nie ma w przyrodzie zbyt wielu naturalnych wrogów. Czego nijak nie idzie powiedzieć o panu kierowniku...

Sztynny zacisnął zęby, żeby nie splunąć jadem w kierunku dowcipnisiów. Starannie wyselekcjonowani z zalewu zgłoszeń autorzy, którzy gramolili się z pojazdu razem z manatkami, mogliby usłyszeć. Już teraz wyglądali na poruszonych, jeszcze by się spłoszyli i cały misterny plan poszedłby w diabły, zanim w ogóle by nabral rozpędu. Szumski zaraz jednak zapomniał o wściekłości, bo ku jego przerażeniu Maniecki nie zasypiał gruszek w popiele. Wyciągnął skądś profesjonalny uchwyt do selfie, jednym ruchem zamontował na nim smartfon i lampę, a potem energicznie wziął się do roboty. Zaczął od cmoknięcia.

– Oj, panie Wojtusi, pan taki fotogeniczny, profesjonalny, widać, że z potencjałem, no aż żal, że to takie małe, no bo co my z tego wyciśniemy? Z takiego maluszka? No co?

Zduszony kwik czystego szczęścia nieomal rozerwał Krawczyka od środka. Sztynny mógłby go zabić tu i teraz, postanowił jednak skupić się na rozgryzaniu zagwozдки. Lecz dopiero znaczące spojrzenie Manieckiego naprowadziło go na właściwy trop. Chodziło o logo, które widniało na jego kurtce trekkingowej. Krępująco małe jak na dość

oczywiste preferencje blogera, influencera i tak dalej, który był oznakowany widoczniej niż Pan Stopek na przejściu dla pieszych.

– Lubię małe – wyjaśnił krótko Szumski, choć nie liczył na zrozumienie. I słusznie. Maniecki uśmiechnął się do niego współczująco.

– Prywatnie może pan sobie lubić, panie Wojtusi, ale tak pan nie złapie sponsora – wyjaśnił niczym przedszkolakowi. – Nawet z barterem nie wypali. Pan sobie to przemyśli, bo ja tu widzę potencjał do wzrostu. Dobrze. Panowie wyjdą z kadru z łaski swojej! – Machnął władczo na Krawczyka i Mogiłę. – Proszę, proszę. Jeszcze kawałek, proszę pana, ja mam co prawda szeroki obiektyw, ale nie aż tak, nie aż tak. Supcio. A pan, panie Wojtusi, pan do mnie podejdzie, tak... tak... bliżej, bliżej, proszę... o, pięknie, zaraz znajdziemy odpowiedni kąt... i światło... i teraz, panie Wojtusi! Otóż teraz będziemy szli, na tym tle, pięknym, pierwotnym, ten las, ta przyroda, te kolory, subtelna sugestia skandynawskiego dreszczowca, i my tak będziemy szli i będziemy się dzielić pasją! Pasją, panie Wojtusi, pan mi wygląda na człowieka, który wie, o czym mówię. Więc mówię ja, potem mówi pan, patrzemy w obiektyw, śmiało, ale naturalnie, i piczujemy, panie Wojtusi, piczujemy koncept! Trzy, dwa, jeden... PRZED NAMI CZTERY DNI PEŁNE EMOCJI, CZTERY DNI... ZBRODNI!

Zapatrzeni w obiektyw śmiało, lecz naturalnie, kroczyli ramię w ramię, logo w logo, człowiek grzyb i człowiek kierownik, oddalając się i od Krawczyka z Mogiłą, i od autorów, którzy wypakowali się z minibusu wraz z bagażami i teraz nie za bardzo wiedzieli, co z sobą począć.

– No nie, nie, nie – dobiegło ich uszu. – Jeszcze raz, z inną energią!

Naraz sekretarka poczuł delikatne pacnięcie mniej więcej w rejonach łopatki. Za nim stało zmieszane dziewczę w jasnoszarym poncho obszytym sztucznym futerkiem z przyjaznego zwierzątkom akrylu. Spod fikuśnie ułożonego berecika w tej samej tonacji spływały na ramiona platynowe pukle. Równie ciemne oczęta, okolone długimi rzęsami, spoglądały na ogrom Krawczyka z melancholią i ufnością króliczka święcie przekonanego, że z ręki tego górotworu nie spotka go żadna krzywda. Nie tylko dlatego, że górotwory z zasady rzadko miewają ręce.

– Przepraszam. – Miała nieco piskliwy głosik, pasujący raczej do uczennicy klasy trzeciej, tylko jej kokard i fartuszek z falbanką

brakowało. – A czy któryś z panów mógłby łaskawie określić, gdzie my będziemy rezydować?

– Łaskawie tam. – Krawczyk wskazał za siebie. – Ale to już pan kierownik...

– Już prawie, panie Wojtusiu, już prawie! – rozległo się gdzieś za drugim budynkiem. – Jeszcze raz! Trzy! Dwa! Jeden...

– No tak. Ten jak dorwie ofiarę, to nie puści... – skwitował jeden z autorów, młody picuś-glancuś w starannej stylizacji.

Drugi mężczyzna, dużo starszy i mniej stylowy, prychnął, parsknął i wymamrotał coś pod nosem.

Krawczyk uniósł oczy ku zachmurzonemu niebu, ale darował sobie komentarze. Choć raczej nie z dobroci ducha. Cisnęły mu się na usta w takich ilościach, że nie potrafił się zdecydować, który wygłosić najpierw. Autorzy już wyglądali na zniechęconych i zniesmaczonych, chociaż nie zdążyli nawet zdjąć okryć, na dodatek znów zaczynało mżyć, a kierowca wywalał właśnie ostatnie bagaże z minibusa. Torby, plecaki i zrolowane śpiwory ledwo mieściły się na skrawku chodnika przed budynkiem.

– No dobra. – Chcąc nie chcąc, Krawczyk podjął interakcję z króliczkiem i resztą spłoszonych zwierzątek. – To może ja pokażę pokoje, a państwo sobie wniosą rzeczy. Bo kierownikowi chyba trochęzejdzie...

Minibus zdążył odpalić i odjechać w siną listopadową dal, autorzy rozpełzli się po parterze, roznosząc walizki, śpiwory i oczekiwania, a po terenie ośrodka wciąż niośł się nieustannie energiczny głos Rafała Manieckiego:

– Pan się nie stresuje, panie Wojtusiu, to się wytnie! No, ostatni raz! Teraz się uda! PRZED NAMI CZTERY DNI...

Kiedy Arkadiusz Krawczyk wyrzwał kontrolnie na podwórko, spostrzegł, że na skrawku chodnika przed wejściem do budynku został czyjś bagaż. Musiał należeć do blogera, który tak ładnie zadreślał Sztynwego. Dobry człowiek, taki zaangażowany, oddany swojej pracy... Krawczyk przechylił głowę, przyglądając się osamotnionemu bagażowi. Ni to plecak, ni torba kształtem przypominał nieco worek na zwłoki. Paski kompresyjne były mocno zaciągnięte, na wypadek gdyby zwłoki usiłowały się wydostać, a przytroczony śpiwór spętany pokrowcem. Nie żeby sekretarkę ten widok jakoś szczególnie zdziwił. Była połowa listopada, długi weekend niepodległościowy, a kaloryfery w podobnych

ośrodkach zwykle nie imponowały osiągnięciami – sam podsunął Danieli, żeby doradziła autorom, by zabrali ze sobą coś ciepłego, może kocyk, grubszy polar, przenośny grzejnik konwektorowy... Deszcz z fazy mżenia przeszedł w siąpiawicę. Torba co prawda wyglądała dość wodoodpornie, ale Krawczyk postanowił wykazać się ludzkim odruchem. Schylił się, chwycił za uchwyty i aż stęknął, zaskoczony ciężarem worka. Co ten gość tam napakował? Zabrał zwłoki z domu, żeby mu tu nie zabrakło?

Ledwo miotnął workiem pod dach, kiedy blogger z kierownikiem pecha wrócili z nagrania. Wyraz twarzy Sztynnego zdradzał już z daleka, jak serdecznie miał dość kreowania internetowych treści z pomocą osoby własnej. Oraz chyba nie tylko tego.

– ...nie będę o tym z panem rozmawiał – sztorcował ostro blogera. – Albo pan to przyjmie do wiadomości, albo nasza dalsza współpraca zakończy się, zanim się rozpoczęła.

– Ja tylko pytałem, panie Wojtusiu, nie ma co się tak unosić! – Maniecki nie wyglądał na szczególnie przejętego, wprost przeciwnie, on się dopiero rozkręcał. Porzucił pierwszą ofiarę i zarządził natychmiastową zbiórkę autorów w komplecie.

– Ja nie wiem, czy ja jestem na to gotowa... – Przejęty króliczek, który jako pierwszy odpowiedział na zew, cofnął się odruchowo niczym przed drapieżnikiem. Poglądził futerko pod brodą, wyglądając spod daszku na ołowiane niebo. – Bo może ja się zdążę przebrać w coś bardziej?

– W żadnym razie! – zakrzyknął Maniecki. Przetawiał smartfon na tylny obiektyw. – Państwo musicie być zmęczeni, wymięci, wyżęci życiem, że tak powiem. Musicie być autentyczni!

– Ja to bardzo chętnie – mruknął do siebie gburowaty facet.

– Proszę, proszę, śmiało! – Maniecki zachęcał pozostałych autorów, gdy jedno po drugim niechętnie wyłaniali się z narożnego podcienia. – Ja wiem, że pada, że nieprzyjemnie, ale właśnie o to nam chodzi, właśnie o to!

– I to pójdzie w internet? – dopytywał króliczek. – A gdzie to pójdzie?

– Tak! Tylko dzisiaj, koniecznie! – oświadczył picuś-glancuś w płaszczu w kolorze modnie wielbłądzim i niezwłocznie sięgnął po własny smartfon, żeby odpalić aplikację. – Zaraz panu powiem, gdzie pan mnie musi oznaczyć...

Maniecki w ułamku sekundy spowaźniał. Opuścił rękę z uchwytem i wbił w glancusia świdrujące spojrzenie.

– Proszę pana. Czy pan wie, co to jest algorytm?

Skołowany tą nagłą zmianą tonu glancus na moment się zawahał, a potem już miał odpowiedzieć, tyle że Maniecki wcale tego nie oczekiwał. Ależ skąd. Jedynie brał rozpęd.

– Pan nie wie, co to jest algorytm – podjął – więc ja panu wyjaśnię, że algorytm to jest coś szalenie istotnego w mojej pracy, proszę pana. W pracy kreatora treści i trendów. Algorytm może przesądzić o zwycięstwie bądź porażce, przeżyciu bądź śmierci, przychodach bądź stratach. Bo algorytm, proszę pana, jasno wskazuje, że moi followersi zainteresowani tego rodzaju kontentem będą aktywni o godzinie siedemnastej, nie wcześniej, nie później, proszę pana. To może się tak wydawać, ale tu nic się samo nie dzieje, proszę pana, tu trzeba wiedzy, precyzji. Kimże ja jestem, żeby dyskutować z algorytmem? A pan? No właśnie! A teraz proszę, proszę państwa! – zakrzyknął do autorów. – Cała czwórka, szeroki kadr, westernowe ujęcie, proszę państwa, zatem cofamy się, cofamy, jeszcze kawałeczek... stop! Pan, proszę pana, do pana mówię, tak, do pana z włosami, pan zmieni wyraz twarzy. Bardziej. BARDZIEJ. Supcio. Macie emanować nadzieją, szanowni państwo, nadzieją, entuzjazmem, może lekką obawą, ale bez przesady, bo wy tu przyjechaliście odmienić swoje życie przez wszystkie przypadki!

Ponieważ autorzy nie musieli nic mówić, jedynie iść w odpowiednim tempie, kontemplując przy tym krajobraz tak zewnętrzny, jak i wewnętrzny, wystarczyło zaledwie dwadzieścia siedem minut i pięć powtórek, by uzyskać satysfakcjonujący materiał. Maniecki porwał swój worek na zwłoki i udał się do przydzielonego mu pokoju na piętrze, żeby przystąpić do niezwłocznego montowania materiału, zanim algorytm zażąda ofiary.

Porzuceni autorzy spojrzeli po sobie, po czym zwrócili się do trójosobowego kolegium wydawniczo-organizacyjnego, które przyglądało się nagraniu z bezpiecznej odległości. Mieli skromną przewagę liczebną.

– No, śmiało. – Mogiła uśmiechnął się krzepiąco do Sztywnego. – Autorzy nie gryzą.

– No nie wiem, Michaś, nie wiem. Ja bym tam najpierw sprawdził, czy wszyscy są szczepieni...

Sztywny sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, skąd wyciągnął złożoną na czworo ściągę.

– Dzień dobry państwu. Wojciech Szumski, kierownik promocji wydawnictwa JaMas. Mam... niepowtarzalną okazję nadzorować... tak... nadzorować pierwsze ogólnopolskie warsztaty kryminału dla starannie wyselekcjonowanej grupy twórców. Czyli dla was. Gratuluję. Przez następne cztery dni i trzy noce – kontynuował kierownik pecha – będziecie zgłębiać podstawy kryminalistyki w teorii i praktyce pod okiem naszego eksperta, jak również poznawać realia branży wydawniczej i wymogi gatunku. Na bazie tej wiedzy zbudujecie fabułę, którą następnie przekujecie w czyn. Dokładnie rzecz biorąc, w pięć opowiadań kryminalnych, które ukażą się wspólnie w formie antologii nakładem wydawnictwa JaMas. Termin złożenia tekstów upływa z dniem trzydziestego listopada. Limit znaków wynosi od osiemdziesięciu do stu dwudziestu tysięcy ze spacjami.

– Bez sensu.

– Słucham?

– Bez sensu – powtórzył gburowaty mężczyzna o rysach gwiazdy kina kopanego lat osiemdziesiątych. – Panu się wydaje, że twórca ma jakikolwiek wpływ na to, czy spod jego palców spłynie powieść, czy skapnie nowelka? Że wena prowadzi księgowość i skrupulatnie przelicza przebłyski i olśnienia na spacje i przecinki?

– O nie... – Niski szept wyrwał się z krasnoludzkiego gardziółka. – Panie kierowniku, pan się nie da, pan się nie da pokusie...

Brew Wojciecha Szumskiego wygięła się nieznacznie w niezbyt triumfalny łuczek.

– Przepraszam, jeszcze się nie znamy zbyt dobrze, więc nie wiem – zaczął jak gdyby nigdy nic. – Czy to niekorzystny biomet, czy raczej jakiś głębszy problem?

I Krawczyk, i Mogiła wstrzymali oddech, czekając, aż nastąpi wybuch świętego oburzenia. Lecz zamiast tego gburowaty zaśmiał się w głos.

– Proszę pana, wyjaśnijmy sobie jedną rzecz – wychrypiał wreszcie. – Nie byłbym prawdziwym twórcą, gdybym nie miał problemów.

– Jest to pewna metoda pracy – zgodził się Szumski, wciąż z niewzruszonym uśmiechem. – Aczkolwiek ja rozważałbym terapię. A teraz, jeśli państwo pozwolą – zwrócił się ponownie do wszystkich,

zanim jego interlokutor splunął kolejną dawką spleenu i pogardy – sprawdzimy szybko listę obecności i punktualnie o jedenastej oficjalnie rozpoczniemy warsztaty.

Picuś-glancuś w wielbłądziej wełnie przedstawił się jako Xavier F. Wolf, po czym błysnął hollywoodzkim użębieniem. Około trzydziestki, niewiele dłuższy od płaszcza, w którym chodził, niedostatki postury nadrabiał starannością stylizacji na młodego, dynamicznego z wielkiego miasta. Z kolei przywiązany do koncepcji problemów jako źródła twórczych mocy facet nazywał się zwyczajnie, Tomasz Troszczaniec, i w przeciwieństwie do sporo młodszego kolegi nie przykładał wagi do stroju. W tej samej szaroburej kurtce, w której przyjechał na warsztaty, mógł też kopać ogródek, jeździć na ryby, rabować grobowce, a nawet sypiać. Prawdopodobnie od czasów szkolnych.

Króliczek w akrylowym poncho, czyli Olga Kulczańska, uśmiechnął się promiennie i bardzo ładnie poprosił, żeby się do niej zwracać jednak per Olenka, gdyż ona nie identyfikuje się z tak szorstkim imieniem. Istotnie, sprawiała bardziej puszyste wrażenie.

– Wystarczy Margo – rzuciła krótko niejaka Małgorzata Mesjasz, kiedy przyszła jej kolej.

Była dość wysoka i blada. Mysie włosy miała zebrane w praktyczny kok, a na nosie okulary w przezroczystych oprawkach. Nawet buty, rozdeptane uggi, miała nijakie i na tle pozostałych uczestników w żaden sposób się nie wyróżniała. W długim płaszczu w brudnym odcieniu zieleni przypominała leśną wersję Buki. Wystarczyłoby, żeby znieruchomiała albo przysiadła gdzieś na mchu, i złałaby się z listopadową scenerią. Nikt by jej nawet nie zauważył.

– A ich nie miało być przypadkiem pięćoro? – zapytał zaintrygowany Mogiła. Tak mu przynajmniej dzwoniło, że o tylu pisarzach wspominał Krawczyk, kiedy usilnie namawiał policjanta na poprowadzenie warsztatów. Rozejrzał się po podjeździe i okolicach, ale nie, nikt więcej nie krył się pośród świerków.

– Owszem, jednej sztuki brakuje – potwierdził Szumski i stuknął palcem w jedyne niezakreślone nazwisko na liście. – Ja... jakiś Boligłowa. Lub jakaś, w każdym razie ktoś na jot. Nie wiem, o co chodzi, zaraz to spróbuję ustalić.

– Nie wszyscy są stworzeni, żeby odnieść sukces – zauważył wyglancowany Wolf. – No bywa. Zawsze to mniejsza konkurencja.

– A można by pomyśleć, że ktoś niestworzony do odniesienia sukcesu to żadna konkurencja – rzuciła w przestrzeń Margo Mesjasz i niespiesznym krokiem ruszyła w stronę szosy, by przejść się kawałek w mżącym leniwie deszczu.

Troszczaniec zaśmiał się nieprzyjemnie i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, na co Oleńka skrzywiła się z niesmakiem, miotnęła futrzanym pomponem z akrylu i wróciła do budynku. Wolf w końcu złapał za swoją komórkę, odpalił nagrywanie w trybie selfie i przystąpił do monologowania. Algorytm algorytmem, social media domagały się pożywki!

A Sztywny stał kawałek dalej z telefonem przyciśniętym do ucha i czekając na połączenie, patrzył przed siebie z jakimś takim wyrazem twarzy, jakimś takim błyskiem w niebieskich oczach, który z jednej strony wzbudził w Krawczyku szczere poruszenie krasnoludzkiego jestestwa w tych przyjemniejszych okolicach, wrażliwych na męską urodę, z drugiej zaś... no cóż. Nie wróżył najlepiej.

– Będą ofiary w ludziach – mruknął pod nosem sekretarka, kiwając pomału głową. – Oj, będą...

ROZDZIAŁ 5

„I ja to robię za wpis do CV i kiepskie wyżywienie...”, pomyślał z rezygnacją Michał Mogiła, kiedy zaraz po jedenastej do pokoju warsztatowego zaczęli ściągać autorzy.

Z narastającym zmieszaniem rozglądał się po pomieszczeniu. Liczył na chociaż skrawek tablicy, po której mógłby pisać. Niechby i takiej dla dzieci, na chybotliwych nóżkach, z ogryzkami kolorowej kredy wciśniętymi w żłobiony rowek. Niestety, na całe wyposażenie pokoju, w którym przez następne cztery dni miał dzielić się mądrością nabytą i profesjonalnymi spostrzeżeniami, składały się niewygodne krzesła typu szkolnego oraz niewielka umywalka nieopodal drzwi. Dwa duże okna wychodziły na szosę i świerkowe szpalery. Za Mogiłą, dokładnie pośrodku odrapanej ściany, ktoś dawno temu zawiesił na gwoździu kalendarz na rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty z dwunastoma paniami. Panie ewidentnie wyznawały zasadę, że nie ma takiej pogody, by nie dało się rozebrać do rosółu, choć jednocześnie były tym faktem niezmiernie zdumione. Cóż, Michał akurat podzielał ich zdumienie, choć może niekoniecznie z tego samego powodu.

Uznawszy, że to jednak niegrzecznie się tak gapić, odwrócił się plecami do pań, frontem zaś do grona autorskiego, które zajęło już miejsca i właśnie odpalało laptopy. Po pokoju poniósł się cichy szum czterech procesorów i Mogiła naraz zrobiło się trochę głupio, że przyszedł tak z pustymi rękami. Z pustymi rękami, być może, za to bogaty w doświadczenie, poprawił się prędko.

– Starszy posterunkowy Michał Mogiła, komenda powiatowa policji – zaczął odruchowo, jak gdyby miał przed sobą grono świadków przestępstwa, może nawet potencjalnego sprawcę, któremu jeszcze się wydaje, że zdoła zmylić organa, i od razu poczuł się raźniej. Uniósł podbródek, wyprostował plecy. Tak. Był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, doświadczonego fachowcem, ekspertem do spraw...

– No nie. – Usadowiony z przodu Xavier F. Wolf skrzywił się teatralnie.

– Słucham?

– No po prostu nie. Mogiła? – powtórzył młodzian z emfazą i prychnął. – Zbyt prymitywnie. To nie przejdzie.

Mogiła fachowo zlustrował kandydata na autora, nie bez satysfakcji zarejestrował u niego drgnienie cywilnego dyskomfortu, po czym bez słowa sięgnął do kieszeni po blachę. Broni może nie zabrał, blacha jednakże to co innego. Rutynowym ruchem podetknął ją młodemu pod nos.

– O. A jednak przeszło. – Wolf sprawiał wrażenie lekko rozczarowanego postawą policjanta. – A nie rozważał pan pseudonimu? Wie pan, jak to się mówi. Jak cię widzą, tak cię piszą.

– Mówi się też, że nie ocenia się książki po okładce – wtrąciła Margo Mesjasz, która z kolei przysiadła na samym tyle, za resztą grupy, i w tym momencie skupiała się głównie na podziwianiu widoków za oknem.

– W wydziale śledczym zwykle nie praktykujemy tak na co dzień pseudonimów operacyjnych – wyjaśnił Mogiła. – A zatem...

– Ja się nie czepiam – ciągnął Wolf, całkowicie ignorując fakt, że Mogiła usiłuje przejść od prezentacji do sedna. – Ale wie pan, w dzisiejszych czasach wizerunek jest równie ważny jak twórczość. Jeśli nie ważniejszy. Proszę chociażby spojrzeć na mnie. – Odłożył laptop na wolne krzesło, podciągnął materiał spodni i rozsunął nieco nogi, aż spod eleganckich nogawek śmieiej wyjrzały mu skarpetki w romby. Przechyliwszy tułów w bok, jedno przedramię oparł na udzie, ściągnął brwi, wydał lekko wargi i wycedził niskim głosem: – Xavier. F. Wolf. No? – W mgnieniu oka wyprostował się i rozejrzał triumfalnie. – No? Jak to brzmi? Jak to wygląda? A ja się tak nie nazywam od wczoraj!

– Chyba nie rozumiem – odparł ostrożnie Michał Mogiła.

– To bardzo proste. Uważam, że nie ma się co przywiązywać do danych osobowych. Nazwisko to po prostu brand. Marka. Zasób do zainwestowania. Autor nie może się tak po prostu nazywać, jak człowiek. Zwłaszcza jeśli pisze kryminały. Widział pan kiedyś listy bestsellerów? Mamy zaledwie ułamek sekundy, żeby się wyróżnić, rzucić w oczy, wryć czytelnikowi w synapsy. A co ma zrobić taki autor, jak się nazywa, bo ja wiem, Sienkiewicz czy Nowak? Weźmy na przykład koleżankę... o, proszę, nawet nie pamiętam!

Oleńka, gdyż to ją miał na myśli, zdążyła się jednak przebrać i na warsztaty przybyła w tunice z udającego jedwab różowego poliestru oraz szerokiej opasce ze sztucznymi piwoniami w rozkwicie, spomiędzy których zwisały pastelowe wstążki. Pośród późnojesiennej stagnacji

i wojskowej siermięgi przypominała przedwczesną eksplozję wiosny, teraz jednak i ona jak gdyby zasnuła się chmurami.

– Kulczańska – powiedziała z urazą, że została tak brutalnie zapomniana.

– No. No właśnie. Słabo, słabo, jakoś tak... no bez iskry. W ogóle tego nie czuję. – Wolf obrócił się na moment. – Mesjasz? Już lepiej, dobry punkt wyjścia, chociaż ja bym unikał kryminałów o kultach czy sektach. Trochę by trąciło desperacją. Kolega to... to ma w ogóle inne podejście. No a ja? – Odchylił się na krześle, aż zatrzeszczało oparcie, i gestem skazanego na sukces obciągnął klapy marynarki. – Ja jestem gotów przyjąć dowolny pseudonim, byle krótki i dynamiczny jak moja osobowość. Mróz, Świst, Szast, Prast, proszę bardzo. Bo ja, proszę pana, sam kształtuję swoje przeznaczenie. Moja mama zawsze tak powtarza.

Mogła odchrząknąć. No proszę. Wystarczył niespełna kwadrans i już nie wiedział, co robić. Czego właściwie chciał od niego ten picuś w marynareczce? Nie mówiąc już o pozostałej trójce. Nic nie mówili, ale byli tam, siedzieli za swoimi laptopami, i czekali. Na co? Na pierwszą krew? Wyczuwał bijące od nich wyraźne oczekiwania, co samo w sobie nie było dla niego niczym nowym, jeśli wziąć pod uwagę, że na co dzień pracował z człowiekiem, który komunikował się ze światem niemal wyłącznie w ten sposób. Tyle że starszy sierżant Jerzy Pozgonny robił to jakoś... jakoś tak inaczej. Logiczniej. Mogła w lot wyłapywał z jego milczenia najbardziej skomplikowane komunikaty, jak gdyby czytał z otwartej książki. Ci ludzie musieliby mieć załączone całostronicowe obrazki, żeby zrozumiał z tego cokolwiek.

– ...jedno pytanie o vanity i nie ręczę za siebie, dotarło? – rozległo się gdzieś na korytarzu.

Sekundę potem skrzypnęły drzwi i do pokoju wparował Sztywny, zły jak chmara szerszeni, a zaraz za nim Maniecki. Bloger zdążył już gdzieś porzucić swą grzybową kurtkę i teraz paradował w nie mniej ekstrawaganckiej zielonej bluzie, z której aż krzyczało wielkie logo na piersi oraz jeszcze większe na plecach. Potencjalni sponsorzy nie mieli szans w starciu z tym subtelnym przekazem.

Mogile ze sponsoringiem nigdy nie było po drodze, ale widać coś wisiało w powietrzu, bo błyskawicznie zwietrzył okazję.

– Na ten temat powinniście państwo porozmawiać raczej z panem Szumskim – powiedział. Starannie uciekał przy tym wzrokiem

w kierunku przeciwnym niż ściana, pod którą przystanął kierownik pecha i subtelnie emanował wściekłością. – Myślę, że będzie zachwycony.

– Będę? – odpowiedziało mu warknięcie godne piekielnych ogarów.

– Niewątpliwie. Ja jestem ekspertem w nieco innej dziedzinie. Dziedzinie... zbrodni.

Nie zdążył nawet zamknąć ust, a już pożałował, że to powiedział. Czyli jednak dobrze, że był listopad, nie lipiec, bo jeszcze by miała na nosie okulary przeciwsłoneczne i do końca życia, jak matura z matematyki, wracałoby do niego wspomnienie tej chwili, kiedy był prawie jak Horatio Caine. Nie żeby nie lubił rudych, po prostu od słonecznych zbrodni Miami zawsze wołał dyskretny mrok *CSI Las Vegas*. Odchrząknął, jednocześnie chwytając mocno zgubiony wątek.

– Więc tak – zaczął odruchowo i aż mu się odbiło wspomnieniem tamtego przedpołudnia, kiedy zebrał po uszach od grona redakcyjnego. Całe szczęście, że Wojciech Szumski robił w promocji i nie reagował agresją na błędy stylistyczne, bo w obecnym stanie ducha mógłby za to urwać Mogile łeb przy samym tyłku, a następnie zbecześcić to, co zostało. – Zbrodnia! Zbrodnia to taki czyn. Zabroniony czyn, oczywiście, a jak zabroniony, to zagrożony karą. W tym przypadku karą pozbawienia wolności na czas nie krótszy niż trzy lata. Lub surowszą, ma się rozumieć, bo wiadomo, bywa tak, bywa... siak, my zbieramy dowody, a sądy... Nieistotne. Lista czynów, które pod to podchodzą, jest dość długa, ale potocznie mówi się tak przede wszystkim o zbrodni umyślnego pozbawienia życia. Czyli zabójstwo lub morderstwo. A skoro pozbawienie życia... tak? Słucham?

Zaafierowana Oleńka trzymała rękę wysoko w powietrzu. Rękaw jej tuniki z szelestem ocierał się o piwonie.

– Czyli pan będzie tak mówił, tak? – zapytała, kiedy Mogiła skinał zachęcająco.

– Takie jest założenie. Dość... śmiało, jak widzę.

– A będą jakieś pomoce wizualne? Grafiki? Prezentacja? Pokaz slajdów w PowerPoincie? Bo widzi pan, ja jestem wzrokowcem i lubię, żeby było tak ładnie i kolorowo, więc gdyby pan to wyświetlił albo, jeszcze lepiej, przesłał nam na maila...

Mogiła nadal nie patrzył na Szumskiego, w głębi ducha zaczął jednak odmawiać błagalną modlitwę, żeby kierownik pecha zapomniał mu tego miodożera i ruszył z fachową odsieczą.

– Wolelibyśmy, żeby skupili się państwo na meritum – usłyszał jego chłodny głos – stąd taki, a nie inny wybór narzędzi szkoleniowych. Ograniczenie zbędnych bodźców pomoże wam w przyswojeniu zawartości merytorycznej w możliwie najwyższym stopniu.

– Właśnie – potwierdził Mogiła prawie że radośnie.

Troszczaniec prychnął.

– Bez przesady. Nie zejdziemy z wrażenia w obliczu technologii jak ostatni neandertalczyk na widok naskalnych malowideł.

– Proszę zaufać procesowi i starszemu posterunkowemu Mogile – odparł kulturalnie Sztywny. – Miałem okazję obserwować go bezpośrednio w trakcie wypełniania obowiązków służbowych i jestem pewien, że przekaże państwu mnóstwo bezcennej wiedzy, za jaką inni autorzy mogliby zabić.

Tu kwietna Oleńka naburmuszyła się niezmiernie, choć niekoniecznie na sugestię, że byłaby zdolna do czegoś tak nieładnego jak zabójstwo.

– Ale tak właściwie, to po co to nam? Fabuła nie potrzebuje żadnej wiedzy, żeby wciągać. Wystarczą emocje. Emocje są najważniejsze. Ja się bardzo wzruszam i wtedy nie zwracam uwagi na takie drobiazgi jak jakaś tam wiedza czy inne szczegóły. Literaturę się czyta, żeby czuć słodką pieśczętę duszy!

– Literaturę się czyta – sprostował Troszczaniec, łypiąc spod grzywy na króliczka w piwoniach – żeby potem człowieka uwierała jak kamyk w bucie. Jak drzazga pod skórą. Jak wrzód na najczulszym męskim organie.

– Znaczy, na ego? – dobiegło z tylnego rzędu.

– O tym również będziecie państwo zapewne dyskutować z panem Szumskim – odparł Mogiła, instynktownie sięgając po ton, jakim zwykle oznajmiał ludziom, że czyn, którego właśnie się dopuszczają, ma swój własny paragraf w kodeksie karnym, sugerowałyby zatem rewizję postępowania i okazanie skruchy.

Zadziało, bo wreszcie przestali dyskutować nie wiadomo o czym, tyle że znów zaczęli milczeć, też nie wiadomo o czym, co było chyba jeszcze gorsze. Dużo gorsze. Nie, Mogiła wcale nie ufał procesowi. A już z pewnością nie ufał starszemu posterunkowemu Michałowi Mogile.

– Ja tymczasem... może skupię się na swojej dziedzinie. Tak. Skupię się. A więc... tak. Skoro mówimy o pozbawieniu kogoś życia, to znaczy, że mamy denata. Denata, czyli ofiarę zbrodni lub wypadku. Zaczynam

od niego, gdyż zakładam, że będą państwo chcieli kogoś zabić, prawda? W tekście, oczywiście, bo tak pozaliteracko to... to prosiłbym się jednak powstrzymać. No dobrze – mruknął, gdy publiczność zbyła ten dowcip głuchym milczeniem. – Zbrodnia i denat z reguły idą w parze, dlatego... Przepraszam, może pan usiądzie? Bo pan tak łązi i łązi, a mnie to nie pomaga.

Rafał Maniecki, który od przyjscia ciągle się kręcił z tyłu sali i wyglądał to przez jedno, to przez drugie okno, obejrzał się półprzytomnie na policjanta, jak gdyby dopiero teraz uświadomił sobie jego istnienie w najbliższym otoczeniu, za to wciąż nie pojmował, czemu właściwie ten człowiek zawraca mu głowę.

– Pan Maniecki musi niestety intensywnie kreować rzeczywistość – wyjaśnił Sztwywny w sposób niepozostawiający przestrzeni na domysły, co on na ten temat sądzi. – Uwieczniać osoby i wydarzenia, budować klimat, wypierać fakty.

– Właściwy człowiek na właściwym miejscu... – wyrwało się komuś, lecz tak dyskretnie, że Mogiła nie zdołał namierzyć źródła tego spostrzeżenia.

– A mógłby wypierać z krzesła? – zaproponował. – Tam z tyłu jest jeszcze jedno.

– A nie, nie, państwo sobie nie przeszkadzają. Ja... ja tak tylko... – Maniecki uniósł rękę i zanim zdążyli zaproponować, że zapozują albo co, szybko strzelił kilka przypadkowych fotek. – Supcio. Supcio! Tak trzymać! – rzucił jeszcze i czmychnął z pokoju.

– Dlatego... dlatego... co dlatego?... – Mogiła próbował sobie przypomnieć, o co mu właściwie chodziło. – A. No tak. Dlatego chyba przydałoby mi się jednak coś do pisania.

Zwrócił się z niemą prośbą do Szumskiego, lecz ten wzruszył ramionami. Sorry, tym razem radź sobie sam. Nieoczekiwanie z pomocą przyszła policjantowi Margo Mesjasz. Jako jedyna z kursantów zjawiała się na warsztatach nie tylko z laptopem, lecz również notatnikiem i piórnikiem typu tuba, z którego po chwili gmerania wyciągnęła gruby czarny marker ze ściętą końcówką.

– Bardzo pani dziękuję. – Michał Mogiła wziął marker, po czym zdjął ze ściany kalendarz z paniami, odwrócił zadrukowaną stronę do ściany i odwiesił z powrotem. No i proszę. Uśmiechnął się, dumny z własnej zmyślności. Biała płaszczyzna formatu A2 mogła z powodzeniem posłużyć za tablicę, byle tylko oszczędnie gospodarował

miejszem. Czyli jednak potrafił w te całe szkolenia. – Jak już mówiłem, zbrodnia i denat zawsze idą w parze. Bez denata nie ma zbrodni. Bez zbrodni nie ma denata. Znaczący, teraz trochę upraszczam, bo według naszego prawa zbrodnią jest też fałszowanie pieniędzy, więc to nie tak, że ten denat jest zawsze wymagany, ale... ale może ja już... zacznę.

Istotnie, zaczął sunąć ściętą końcówką po śliskim papierze, kreśląc ludzką sylwetkę. Głowa, szyja, pierwsze ramię i ręka, tułów, pierwsza noga, druga noga, trzecia... Niech to szlag. Chyba wyszedł mu denat płci bezsprzecznie męskiej, w dodatku taki bardzo... radosny. Zmazać tej radości już się nie dało, bo marker był permanentny, zamalowanie jej z kolei dało efekt odwrotny do zamierzonego. Teraz nawet Margo Mesjasz z ożywieniem przyglądała się jego dziełu.

– Oto nasz... denat – oznajmił twardo Mogiła, bo cóż mu innego pozostało. – I teraz tak. Patrząc na niego, musimy zadać sobie podstawowe pytania, jakie stawia sobie policja u progu śledztwa. Kto? Jak? Gdzie? Dlaczego? – wyliczył, prostując kolejno cztery palce. Uniósł dłoń wyżej, żeby lepiej widzieli.

– A wie pan, że też je sobie właśnie zadaję... – mruknął Sztynwy spod ściany, lecz zanim Mogiła zdążył zareagować na ten przytyk, inicjatywę przejął pierwszy rząd w osobie picusia-glancusia.

– Pan do tego podchodzi jakoś tak... schematycznie.

– No... no tak. Na tym właśnie polega. Wie pan... śledztwo. Podąża się według pewnego schematu i wytycznych, bo to... cóż, działa.

– Może w życiu. – Xavier F. Wolf uśmiechnął się z politowaniem. – W literaturze to się w ogóle nie sprawdzi. Mnie jako pisarza bardziej by interesowała odpowiedź na kluczowe pytanie: Zara czy Gucci? Moja mama zawsze powtarza, że to mówi wszystko o człowieku.

– Ja bym budował traumę – orzekł Troszczaniec. – Trauma mówi o człowieku więcej niż metka na jakimś tam fatalaszku.

– Moje doświadczenia wskazują, że no właśnie nie do końca... – zauważył policjant.

– Ale czy to trzeba tak od razu z przykrościami? – wtrąciła Oleńka. – Zbrodnie, traumy, Gucci? A może ten człowiek miał marzenia? Rodzinę? Może śmierć przerwała pasmo jego życia w chwili rozkwitu największego szczęścia? Może...

– I do tego zapewne dojdziemy – podchwycił czym prędzej Mogiła – jeśli odpowiemy sobie na cztery podstawowe pytania. Kto zginął? Jak zginął? Gdzie zginął? Dlaczego zginął? Tak? – Pomachał dłonią

z czterema wyprostowanymi palcami w nadziei, że ta pomoc wizualna skupi na sobie ich uwagę na dłużej niż trzy sekundy. – Tak. Odpowiedzi na te pytania prędzej czy później doprowadzą nas do sprawcy. Nas, czyli policjantów, albo nas, czyli czytelników. Tak? Tak. Państwu w tym układzie przypada rola... no cóż, sprawców. To wy musicie zaplanować zbrodnię, której skutkiem będzie denat. Literacki. Powtarzam, gdyby... komuś umknęło.

– A jak?

– Najlepiej po kolei.

– Czyli?

W tym momencie Mogiła prawie się zawiesił. Zwykle obserwował proces z przeciwnego krańca, czyli od denata strony. Jasne, potrafił odtworzyć przebieg wydarzeń, poskładać z mniejszych lub większych strzępów informacji cały ciąg przyczynowo-skutkowy, ale nigdy dotąd nie próbował zaplanować zbrodni tak, jak zwykle miało to miejsce w naturze, czyli z góry. Ciekawe.

– Pomyślmy... Okej, na początek rzecz podstawowa. Czy to zbrodnia popełniona w afekcie? Tak? Czy z premedytacją? Od tego zależy, mówiąc wprost, ogólny stan naszego denata. – Wskazał markerem na ludzki trójnóg.

– Czyli co? – burknął Troszczaniec. – Będzie mniej lub bardziej martwy?

– Raczej nie... ale trochę jednak tak. Okej, w wielkim uproszczeniu. Jeżeli sprawca działał pod wpływem emocji, wzburzenia, zwykle widać to po stanie zwłok. Naprawdę widać. Zdradza to rodzaj zadanych obrażeń, ich kształt, ich liczba. Czyli to nie będzie jeden precyzyjnie zadany śmiertelny cios, raczej...

– Miazga!

– Krwawa łaźnia.

– Hakatumba...

– Tak, można to tak ująć, tak. – Mogiła odchrząknął. Okej. Chyba poczuł jakiś grunt pod nogami. – Ale to nie wszystko. Sprawca w emocjach działa nieostrożnie, czyli zostawia też więcej śladów. Czyli rosną szanse, że coś znajdziemy. Albo że ktoś coś przez przypadek widział albo słyszał. Inaczej mówiąc, że znajdzie się świadek, który nam coś podpowie. No i narzędzie zbrodni. Chodzi o to, że też będzie inne – uściślił. – Często nietypowe.

– Chwycony w szale lichtarz?

– Rytualny kindżał! – zakrzyknął Wolf.

– Jeśli akurat leżał pod ręką, to jasne, czemu nie – zgodził się Mogiła. – Lichtarz, kindżał, pamiątkowa bryła soli z Wieliczki... Wtedy też na miejscu zbrodni powinno zostać sporo śladów. Technicy się zaplaczają.

– Ze szczęścia?

– Też. Ale proszę pamiętać o jednym – dodał pospiesznie starszy posterunkowy. – Mało kto ma swobodny dostęp do tego rodzaju narzędzi. Znaczący, nie wiem jak państwo, ja nie trzymam pod ręką lichtarza. Ani kindżału. Może pan kierownik... ale ja nie. Więc jeżeli ślady sugerują, że denat został zamordowany rytualnym ostrzem, a nie był jedynym w kraju posiadaczem podręcznej kolekcji egzotycznej broni białej o przeznaczeniu religijnym, to z automatu zawęży krąg poszukiwań. Czyli zbliża nas do sprawcy.

– A czy pan jako detektyw miał kiedyś taki przypadek, że...

– Śledczy – poprawił skrupulatnie Mogiła. – Detektyw to jest prywatny. W policji pracują śledczy.

Xavier F. Wolf złożył usta w ciup, a następnie skrzywił tak, by podkreślić zarówno szlachetny zarys szczęki, jak i ogrom swego zwątpienia.

– No nie wiem.

– Ale ja wiem. Naprawdę. Wiem.

– Jest pan pewien? – Wolf nie wyglądał na przekonanego. – Oglądam różne seriale i tam wszędzie są detektywi. *Detektyw Monk*, *Detektyw w sutannie*, *Detektyw... Tru Detektyw*. Proszę bardzo. Fakty.

– Ale wiesz, że to produkcje amerykańskie? – wtrąciła z tylnego rzędu Margo Mesjasz. – Czy nie wiesz?

– A co to ma do rzeczy?

– Tak jakby wszystko?

Widząc pytające spojrzenia Wolfa i Oleńki oraz grymas Troszczańca, Mogiła poczuł się zobowiązany do rozwinięcia tematu. Bądź co bądź po to tu przyjechał. Za to mu nie płacili.

– Inne realia, czyli inny system, czyli też inne nazewnictwo. Na przykład... na przykład...

– Koroner – podsunęła litościwie Mesjasz.

– Tak! Tak, koroner!!! Doskonały przykład, dziękuję! – Niewiele brakowało, żeby ją przy wszystkich wyściskał za to koło ratunkowe. – Pewnie kojarzy pan to słowo, prawda? No właśnie. W systemach

anglosaskich to taki ktoś... między urzędnikiem, biegłym sądowym a lekarzem. U nas te zadania wypełnia przede wszystkim lekarz medycyny sądowej. A poza tym... – Mogiła zaśmiała się cicho. – Wie pan, w serialach pokazują też, że bohater może się schować za przewróconym stołem i przeżyć ciężki ostrzał z broni palnej, więc... raczej nie traktowałbym ich jako rzetelne źródło informacji.

– No ale jak to brzmi! – Wolf twardo obstawał przy swoim. – Nie. Ja bym to zmienił.

– Ale... ale tak nie wolno.

– Och, proszę pana. Papier wszystko zniesie.

„Ale ja nie...”, przemknęło Mogile przez otumaniony umysł.

– Polecałbym jednak literaturę fachową. Okej? Naukową, popularnonaukową. Logiczne myślenie, doświadczenie, wiedza i dobrze wyposażona biblioteczka to podstawa zarówno dla mnie, jak i dla państwa.

– Biblioteczka? – Xavier F. Wolf przewrócił oczami. – A po co? Przecież wszystko można znaleźć w internecie.

– Owszem. Problem w tym, że można tam znaleźć również... – „Idiotów” samo cisnęło mu się na usta, lecz rozsądnie poszukał mniej zaczepnego określenia. – Dyletantów, którzy nie mają bladego pojęcia, o czym mówią, ale nie pozwalają, żeby to ich przed czymkolwiek powstrzymało. Jest ich tam... zaskakująco wielu. Dlatego polegałbym raczej na zweryfikowanej wiedzy ekspertów.

– A czy same kryminały też się liczą jako literatura fachowa? – zapytała Margo Mesjasz.

– Dobre pytanie. Powiedziałbym, że to zależy od konkretnego kryminału – zastrzegł Mogiła. – Jeden autor podejździe do tematu poważnie, znajdzie konsultantów, zgłębi akta, źródła i tak dalej, a drugi... – Przerwał na moment i skupił całą wolę na tym, żeby nie spojrzeć wymownie na Wolfa. – Cóż, drugi obejrzy kilka seriali i uzna, że to mu w zasadzie wystarczy. To już musicie państwo sami rozstrzygnąć, czy zależy wam na rzetelności, czy niekoniecznie. Ale powieści mogą chyba stanowić dla państwa ciekawe źródło... tych, no... rozwiązań fabularnych, prawda?

Szeleszcząc cicho poliestrem, Oleńka nachyliła się nad swoim laptopem.

– Podobno jakiś człowiek otrul kiedyś kogoś za pomocą trucizny, o której przeczytał w jednej powieści Agathy Christie – powiedziała,

konfidencyjnie zniżając głos. – Czy w takim razie Christie to literatura fachowa?

– Nie słyszałem o tej sprawie, więc trudno mi się wypowiedzieć – przyznał Mogiła. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Ci ludzie byli... dziwni. Dziwniejsi, niż zakładał. A wszak zakładał sporo, nauczony doświadczeniami minionego lata, że w branży wydawniczej nie ma ludzi normalnych. Widać ta zasada tyczyła się również pisarek i pisarzy. – Nigdy nie byłem fanem Agathy Christie.

Czworo autorów zamilkło i spojrzało na policjanta takim wzrokiem, jak gdyby właśnie oznajmił, że szczeniaczki są głupie i śmierdzą.

– To co pan tu w ogóle robi? – burknęła z nieoczekiwaną oschłością Oleńka.

„Sam chciałbym wiedzieć”, westchnął w duchu Michał Mogiła. „Sam chciałbym wiedzieć...”.

– Co? Nie ma pan prezentacji? – zagaił uprzejmie kierownik pecha, kiedy pierwszy blok warsztatowy dobiegł końca i autorzy rozeszli się na przerwę. – Błąd. Klasyczny błąd żółtodzioba. Większość ludzi nie rozumie dłuższych zdań. Ledwie ogarniają obrazki.

– Nie mam nawet PowerPointa – wyznał szczerze Mogiła. Potarł twarz dłońmi, wypuszczając pomału powietrze z płuc. – Rany boskie, w co ja się wpakowałem... Nie, ja się do tego nie nadaję.

– Nie było chyba tak źle. No. Nie licząc tego... wykwit – dokończył po wymownej pauzie Sztynny, zapatrzony w kalendarz na ścianie, a Mogiła nie potrafił określić, czy chodziło mu o całość denata, czy może o charakterystyczny szczegół.

– Rysunek nigdy nie był moją mocną stroną – przyznał bez bicia policjant.

– Anatomia najwyraźniej też.

Mogiła już nawet nie miał sił się klócić.

– Tak czy inaczej dzięki za uratowanie tyłka! – zawołał pospiesznie za Szumskim, który też postanowił zwinąć żagle.

– Ależ proszę – doleciało go z korytarza. – Jest za co.

ROZDZIAŁ 6

Z kapturem naciągniętym głęboko na czoło Michał Mogiła szedł mokrą szosą i dumał.

Ani deszcz, ani chłód mu nie wadziły, wprost przeciwnie – przyjemnie koily przegrzane zwoje po zmaganiach z materią autorską. Jasne, stawianie i obalanie hipotez, snucie podejrzeń oraz weryfikowanie faktów czy też tego, co próbowało za fakt uchodzić, stanowiło część jego codziennej policyjnej pracy.

Ale chyba pierwszy raz zetknął się na żywca z ludźmi, którzy najwyraźniej bardziej niż w wiedzę fachowca wierzyli w internet. Bardzo możliwe, że przechodził właśnie światopoglądowy odpowiednik wstrząsu anafilaktycznego.

– Wie pan, dlaczego małe dzieci uczą się tak szybko? – rozległo się naraz gdzieś przed nim.

Michał poderwał gwałtownie głowę i lypnął spod brzegu kaptura. Z naprzeciwka sunęła wielka zielona Buka, w której dopiero po chwili rozpoznał Margo Mesjasz. Aż jęknął cicho z ulgi. Mógł się wypierać do woli, ale Muminki pozostawiły w nim traumę na całe życie.

– Dlaczego? – zapytał, kiedy w końcu zatrzymała się kilka kroków przed nim.

– Bo zamiast tracić czas na rozważania teoretyczne czy prezentacje w PowerPoincie, od razu przechodzą do praktyki. Prościuteńko. Szust, i już. A że się przy tym oblewają, brudzą, nabijają sobie sińce i guzy, czasem pożegnają przedwcześnie z jakimś mleczakiem? – Wzruszyła ramionami. – Trudno.

– Nie wiem, czy dobrze panią rozumiem.

Margo Mesjasz zmierzyła policjanta zaciekawionym wzrokiem.

– Nie ma pan dzieci, co? – ni to zapytała, ni to stwierdziła.

Mógł jej się teraz przyjrzeć z bliska i lekko się zdziwił. Choć miał już pewną wprawę, nie potrafił określić wieku tej kobiety. Strzelałby, że gdzieś między dwadzieścia parę a czterdzieści parę lat. Trochę wstyd... Za takie widełki Pozgonny przez pół dnia wodziłby za nim wzrokiem smutnego mopsa, któremu ktoś zabrał ukochanego pluszaczka z piszczalką.

– Nie, nie mam.

– No. Tak myślałam. No więc tamci są jak dzieci, okej? – zaczęła tłumaczyć po krótkim namyśle. – Takie... powiedzmy trzylatki. To ten etap rozwoju, kiedy dzieciak już trzyma stabilnie pion i nie przewraca się na zakrętach, trafia łyżką do ust i potrafi włączyć funkcję wyszukiwania głosowego w telewizorze. Albo zmienić hasło systemowe w komputerze. Ale zostaw takiego na sekundę w łazience, a umrze. Od razu. Panu się trafił standardowy zestaw trojczków. Jedno tak niemądre, że gubi się przy wkładaniu skarpet, drugie dla równowagi zawsze wszystko wie najlepiej, trzecie wiecznie na coś obrażone. Jeśli mają się tu czegoś nauczyć, czegokolwiek, musi ich pan bardziej zaangażować. Zabrać na plac zabaw, puścić luzem i tylko kontrolować z boku sytuację. Niech wszystko macają, wkładają do gęby, niech sobie robią krzywdę, szukając patyka.

Mogila westchnął ciężko.

– Nie da się tak bez metafory, co?

– Literatura. Cóż poradzić. – Mrugnęła do niego szelmowsko. – Rozgryzie to pan, jest pan inteligentnym człowiekiem.

– Skąd taki wniosek?

– Znam się na ludziach – podsumowała.

Policjant śledził przez chwilę, jak miarowym, spokojnym krokiem sunęła dalej, w górę szosy, zanim ruszył w przeciwną stronę.

Szosa jeszcze przez kilkadziesiąt metrów opadała łagodnie, żeby wreszcie zrównać się z okolicznym terenem, dotąd oddzielonym niską barierką. Tam też doprowadziła Mogilę do nieoczekiwanego odkrycia. Wstęga asfaltu przeskakiwała strumień po niewielkim mostku, po czym ciągnęła się aż do Czech, jeśli wierzyć słowom Sztynnego. Natomiast kawałek przed mostkiem odbijał w lewo kolejny podjazd, który prowadził do ukrytej pośród gęstego lasu niespodzianki. Trzeciego budynku.

W przeciwieństwie do dwóch poprzednich ten był zwrócony do szosy nie frontem, lecz ślepa ścianą, wydawał się też znacznie mniejszy. Na tym różnice się nie kończyły. Tamte miały elewację z desek pociągniętych ciemnobrązową farbą, a ten został otynkowany i pomalowany na biało. I chociaż biel już dawno zdążyła poszarzeć, wciąż prezentowała się o wiele lepiej niż łuszczące się płyty olejnej. Mogila przemierzył podjazd i stanąwszy na szutrze na wprost wejścia, przyglądał się z zainteresowaniem swojemu odkryciu. Mimowolnie rejestrował kolejne szczegóły otoczenia: pusty parking. Okna bez

drewnianych okiennic. Żadnych podcieni – ot, zwyczajne drzwi, które pewnie dałoby się otworzyć jedną ręką. Wszystko było pozamykane na głucho. Gdzieś za budynkiem szumiał strumień, a wokół panowały bezruch i spokój. Antena satelitarna na dachu i firanki w oknach sugerowały nieco wyższy standard, może nawet prywatność w łazience, działające kaloryfery i ciepłą wodę w kranie. Aż szkoda, że nie umieścili ich tutaj, pomyślał z żalem Mogiła. Choć pewnie wyszłoby drożej.

Kiedy wrócił wreszcie z przechadzki, z budynku ich kwatery unosiła się już intensywna woń obiadu. Pikanie mikrofalówki doprowadziło Mogiłę prosto do źródła.

O ile do pokoju warsztatowego zniesiono same krzesła, o tyle tutaj trafiły głównie ławki. Dwie stały obok siebie pod oknami, żeby służyć za blat roboczy, dwie kolejne dosunięto do wysłużonych tapczanów, tworząc w ten sposób część jadalnianą. Ostatni, piąty stół trafił do kąta, gdzie robił za spiżarnię. Pod spodem stały zgrzewki z wodą, na nim zaś pozostałe zapasy i kuchenne utensylia. Rzeczy, które wymagały temperatury lodówkowej, tłoczyły się za oknem na szerokim parapecie.

– *Kiss the cook, co?* – zagaił Mogiła na widok Arkadiusza Krawczyka, który krzątał się po tej improwizowanej kuchnio-jadalni ustrojony w klasyczny fartuszek.

– To tylko taka luźna propozycja, ale jeśli masz ochotę... O, jest i pan kierownik, radosny jak zawsze! – zakrzyknął sekretarka na widok Wojciecha Szumskiego, który bezszelestnie wyrósł za Mogiłą. – I co z tą brakującą owieczką?

Sztywny zgrzytnął zębami.

– Nic. Próbowałem się dodzwonić do Danieli i ustalić, co się stało z tym nieustalonym Boligłową, czy jedzie, czy nie jedzie, czy jedzie, ale go coś zezaarło po drodze. Nic z tego. Nie mam tu w ogóle zasięgu.

Mogiła odruchowo sprawdził swoją komórkę.

– O. A to ciekawe. Ja też nie mam. – Zmarszczył brwi. Niedobrze. Urlop urlopem, ale wolałby jednak być pod telefonem, na wypadek gdyby Pozgonny zgłosił potrzebę natury służbowej. Nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy przydarzy się zbrodnia. – W jakiej pan jest sieci, panie Wojtku?

Szybka analiza porównawcza trzech telefonów wykazała, że każdy z nich należał do innej sieci komórkowej i żaden nie mógł tu złapać

choćby wątlej kreseczki zasięgu. Ani w pokoju, ani w korytarzu, ani przed budynkiem.

Po intensywnych zmaganiach wewnętrznych Sztywny wykazał się kulturą i zmełł przekleństwo, którym miał ochotę rzucić. Zamiast tego, zaciskając palce na nieposłusznym smartfonie, jak gdyby chciał go zmiażdżyć za tę niesubordynację, wycedził:

– Przecież to nam rozpieprza cały harmonogram w drobny mak! Ten pajac ma reagować kontentem na bieżąco, a nie pętać się pod nogami i wkurzać mnie bez celu!

– No co poradzić, panie kierowniku. – Arkadiusz Krawczyk z niezmaconym spokojem wrócił do serwowania obiadu. Rozłożył na ławce papierowe talerze i rozejrzał się za rękawicami, żeby wyciągnąć lazanię z mikrofalówki. – Było sobie internet zgrać na dyskietkę.

– Muszę szybko pogadać z Manieckim.

– No dobra, ale co z owieczką?! – zawołał za nim sekretarka, wystawiając brodaty łeb na korytarz, bo kierownik pecha oddalał się dynamicznie.

– W DUPIE MAM OWIECZKĘ!

– To dla kogo ja gotuję? – zapytał z wyrzutem Krawczyk, zwracając się do policjanta.

– Dla skazańców?... – strzelił ten w odpowiedzi.

Mimo osobistych sympatii Mogiła musiał przyznać, że nawet warunki polowe nie usprawiedliwiały abominacji obiadowej, jaką była prawie włoska marketowa zapiekanka, której szczodre porcje Krawczyk zaczynał właśnie nakładać na talerze.

Sam proces obróbki cieplnej tego cudu gastronomii przemysłowej miał z gotowaniem tyle wspólnego co zalanie wrzątkiem torebki z herbatą i nijak nie dało się go spieprzyć. Cóż, przynajmniej w teorii. Z braku piekarnika Krawczyk, żeby przygotować danie w mikrofalówce, musiał wydłubać je z aluminiowego korytka, które nadawało w miarę spójny kształt warstwom makaronowych płatów i gęstego sosu. Kilkanaście minut podgrzewania luzem sprawiło jednak, że kilogramowa porcja lazanii przeszła transformację i ze zgrabnego bloku rozpląnęła się w niewyględny kopiec.

Michał Mogiła w zasadzie nie takie rzeczy jadał, i to nawet z otwartymi oczami, choć nie zawsze na trzeźwo. Tyle że wierzchnia warstwa szybko zastygającego sera z wypływającym spod niej glutowatym beszamelem nasunęła mu nieoczekiwane skojarzenie

z podskórną tkanką tłuszczową, co było nieco niesmaczne i nie na miejscu. Siedział nad talerzem, zaciskając w dłoniach plastikowe sztucce, i głęboko rozważał, czy aby na pewno musi jeść w tym tygodniu.

– Przepraszam, nie ma więcej widelców?

Z tej zadumy wyrwał go piskliwy głos Oleńki. Mogiła podniósł wzrok i zorientował się, że podczas gdy on kontemplował stan skupienia lazanii, wokół rozsiedli się autorzy.

– Weź łyżkę.

– Ale ja wolałabym jeść widelcem, jak dorosły, kulturalny człowiek. Wbrew pozorom łyżka nie służy do tych samych celów. To jest zupełnie inne narzędzie. Zupełnie!

I wtedy Mogiłę coś uderzyło – być może mikrowylew, być może pełnoprawne olśnienie.

– PROSZĘ TEGO NIE JEŚĆ!!! – ryknął naraz takim głosem, że nawet Margo Mesjasz ożywiła się nieznacznie. Xavier F. Wolf poszedł na całość – poderwał ręce wysoko ponad głowę i tak znieruchomiał, wytrzeszczając oczy, w oczekiwaniu na wraży ostrzał, wjazd antyterrorystów na chatę albo niezapowiedzianą kartkówkę z matematyki.

– Christie!... – pisnęła z przejęciem Oleńka Kulczańska i upuściła plastikowe sztucce, jak gdyby trucizna z lazanii mogła po nich przepełznąć i ubić ją tu i teraz.

– Bez przesady – mruknął Troszczaniec, który bardzo nie lubił, kiedy mu się przeszkadzało w konsumpcji. – Da się zjeść. Byle na wejściu nie wyglądało gorzej niż na wyjściu.

Dopiero po ich reakcjach Michał spostrzegł, jak bardzo przesadził ze zwięzłością, a zarazem intensywnością swego przekazu.

– Przepraszam najmocniej. Bardzo przepraszam. Z jedzeniem wszystko w porządku, ono tak tylko... wygląda.

– Michaś, bo ja się zaraz obrażę.

– Nie mogłem dopuścić do zniszczenia materiałów szkoleniowych – wyjaśnił Mogiła. Szybko oszacował sytuację. – Pani ma nóż i widelec, tak? Pan łyżkę, pan widelec... dwa widelce. Doskonale. Możemy przejść do części praktycznej. Brakuje nam co prawda lichtarza, ale... może zdążę znaleźć jakąś bryłę soli?...

– Michaś, ty się dobrze czujesz? – dopytywał nieśmiało sekretarka, lecz pochłonięty szkoleniową improwizacją policjant nie zwracał na

niego uwagi.

– Dobra, bryła to potem. Proszę państwa! – Mogiła klasnął w dłoń. – Przed państwem podstawowe narzędzie naszej zbrodni, czyli... no, narzędzie! Może być tępe, może być ostre, może to być także broń palna. Palną pominiemy. Teraz skupimy się na konkretnym rodzaju ran zadawanych przez ostre narzędzie, czyli na ranach kłutych. To moje ulubione rany!

– Co proszę?...

– O tak! – zamruczał Mogiła, poprawiając chwyt na białym plastiku. – Bo rany kłute – tu czule dźgnął swoją porcję lazanii ząbkowanym ostrzem – pozwalają bardzo – następnie raził ją widelcem – łatwo ocenić – i znowu siekł nożem – jakim narzędziem je zadano. Czym? Ostрым nożem? A może tępym? A może sztyletem? Nożyczkami? Dłutem? Zdradzają również wiele i o napastniku, i o denacie. Czy napastnik był praworęczny, czy leworęczny? Niski czy wysoki? Czy w momencie zadania rany ofiara stała? Siedziała? Leżała? Bezwładnie przyjęła cios czy może próbowała się bronić? Albo uciekać? Proszę bardzo. Narzędzia w dłoń!

Przez następne minuty czworo autorów zbrojnych w plastikowe sztucce dźgało, dziabało, haratało i na wszelkie inne sposoby zadawało rany nieszczęsnej lazanii – pod różnymi kątami, z pasją lub bez pasji, a raz nawet z impetem i rozpędem – po czym pod okiem podekscytowanego policjanta analizowało powstałe ślady. Wszystko to działo się w obecności oszołomionego sekretarki i blogera, który dotarł na posiłek z lekkim opóźnieniem i z wrażenia aż zapomniał o robieniu zdjęć. Jedyne kierownik pecha nie wykazywał większego zainteresowania eksperymentami szkoleniowymi. Wziął ostatnią porcję, jaka została, przysiadł z boku i rozprawiał się z nią równie metodycznie, za to bez zbędnego dramatyzmu.

– Ojej, moje jedwabie! – zakrzyknęła znienacka Oleńka. – Jak ja wyglądam!

Wszyscy uczestnicy spojrzeli najpierw na nią, potem zaś po sobie i odkryli, że mordowana lazania w akcie zemsty zbryzgała ich obficie pomidorowo-mięsny sos. Pomarańczowe plamy, kleksy i łuki zdobiły ręce, ubrania i powierzchnie płaskie w promieniu co najmniej dwóch metrów.

– No i mamy materiał ćwiczeniowy do kolejnego tematu – oznajmił radośnie Mogiła. – Analiza plam krwawych. Chwileczkę, proszę się nie

ruszać, ja to szybko uwiecznię...

– Ale to się nie spierze... – biadoliła Oleńka, podczas gdy Michał miotał się z telefonem i uwieczniał zarówno poszczególne porcje denata, jak i sprawców, zbiorowo i indywidualnie. Zanim skończył, lazania zdążyła doszczętnie wystygnąć i na powrót się zestalić.

Tomasz Troszczaniec zgromił koleżankę wzrokiem.

– Poliester jest tani, a prawdziwa sztuka wymaga ofiar – wybełkotał z ustami pełnymi makaronu i wzgardy. – Pan medialny też ucierpiał, a wyjątkowo nie ryczy.

Rafał Maniecki, gdyż to o niego chodziło, był tak pogrążony w myślach, że w pierwszej chwili w ogóle nie załapał, o co chodzi. Zerknął zmieszany w dół, na logo na swej piersi, zbrukane teraz fantazyjnym pióropuszem z przyziemnego sosu.

– Och, to? – Machnął niedbale ręką. – To nic, nic, nie takie rzeczy się robi dla solidnego kontentu. Zresztą już i tak spisałem tę bluzę na straty. Czy mógłbym prosić o keczup?

Czy Mogile się wydawało, czy w tym momencie Sztywny jakby się lekko przydławił ostatnim kęsem lazanii? Niemal jednocześnie sekretarka wbił szpileczkę od siebie:

– No, panie kierowniku. Poprzeczka poszła w górę, trzeba się będzie wykazać.

– Jakoś doskoczę – odparł Szumski, niezrażony tym zmasowanym atakiem na jego życie i kompetencje. Urwał z rolki kawałek papierowego ręcznika, wytarł usta i wstał zza ławki. – Przypominam, że drugi blok warsztatowy odbędzie się zgodnie z rozpiską. Proszę się nie spóźnić.

Nie zabrzmiało to może szczególnie zachęcająco, lecz po tak zaskakująco urozmaiconym obiedzie i Michał Mogiła, i autorzy z nową energią wzięli się do pracy kryminalno-twórczej.

ROZDZIAŁ 7

Dopiero wraz z nadejściem wieczoru cała czwórka kursantów rozeszła się wreszcie do swoich pokojów w celach wypoczynkowo-dowolnych. Krawczyk z Mogiłą zgarnęli po butelce mineralnej i także czmychnęli, zanim ktokolwiek zdążył zapytać, jakie mają plany.

Nie uszło to uwadze Wojciecha Szumskiego, chociaż wcale nie zamierzał pytać kogokolwiek o cokolwiek. Wprost przeciwnie, po całym dniu spędzonym non stop w czyimś towarzystwie pragnął jedynie chwili samotności. I może jeszcze dobrej herbaty – białej, z jaśminem, która podobno łagodziła stres, a w życiu Szumskiego, cóż, ostatnio stresu nie brakowało. Ojciec, praca, a teraz jeszcze te przekłete warsztaty... Tak, zdecydowanie potrzebował herbaty. Czekać, aż woda w czajniku najpierw się zagotuje, potem zaś przestygnie do zalecanych osiemdziesięciu stopni, sprawdził jeszcze, czy kuchenka turystyczna jest wyłączona, a rzeczy na parapecie zabezpieczone odpowiednio, gdyby wiatr postanowił się w nocy mocniej rozhułać.

Ponieważ Krawczyk i Mogiła zakleпали dla siebie jedną z dwójek na piętrze w najdalszej części budynku, Szumski z rozmysłem ulokował się dokładnie po przeciwnej stronie, w pokoju nad wejściem. Zmierzał już z kubkiem do siebie, kiedy z pomieszczenia prysznicowego wychynęła Oleńka Kulczańska. Zdążyła porzucić wianek ze sztucznych piwonii, a splamiony pudermantel zamieniła na zwiewny peniuar, spod którego wyzierała długa koszula, oczywiście zwiewna. Inny mężczyzna mógłby uznać, że to obiecujący wstęp do miłego wieczoru we dwoje. Może do tego jakieś wino, wąski tapczan i rozmowy o literaturze – zwłaszcza że na widok kierownika Oleńka zarumieniła się rozkosznie i zatrzepotała wachlarzami rżęs, czym mało go nie zmiotła z parkietu.

– Przepraszam pana bardzo! – zaćwierkała piskliwym głosem. – Ale tu chyba nie ma ciepłej wody!

– Owszem. Nie ma.

– To... to jak my się tu mamy myć?!

– Szybko – odparł uprzejmie Szumski i powędrował schodami na piętro.

Wszelka zwiewność kojarzyła mu się z poezją romantyczną, a ta zawsze budziła jego głęboką nieufność. Po winku zaś miał zgagę.

Chwilę później pól siedział na tapczanie i popijając herbatę, nieobecny wzrokiem wpatrywał się w ścianę przed sobą. Nocny wiatr kołyszący drzewami oraz blask latarni, które paliły się przed budynkiem, tworzyły na niej niesamowite, hipnotyzujące widowisko.

Okej, mogło być gorzej. Co prawda autorzy przyprawiali go o szczękościsk, ale powinien sobie z nimi poradzić. Miał prezentację złożoną głównie z grafik, miał wiedzę i doświadczenie, miał notatki i wskazówki od fachowców, a co najważniejsze – miał charyzmę. Ogarnie, pewnie, że ogarnie, skoro nawet starszy posterunkowy... yyy... Mogiła! Tak, Mogiła. No więc tak, da sobie radę, skoro nawet starszy posterunkowy Mogiła, żółtodziób o charyzmie waniliowego budynku, jakoś udźwignął ciężar oczekiwań. Fakt, niewiele brakowało, żeby się o niego potknął. Ewidentnie nie był gazelą przedsiębiorczości ani psem na życiowe okazje, nie czuł się też w roli wykładowcy niczym ryba w wodzie. Zero przydatnego zezwierzęcenia.

Nie to co taki Maniecki, który potrafił zwęszyć sposobność jak świnia trufle.

No właśnie. Maniecki.

Jednak dobrze, że tu nie było zasięgu żadnej sieci komórkowej, bo Sztynny już by wisiał na telefonie i w trybie kierowniczym udzielał reprimendy. Daniela twierdziła, że ten gość to profesjonalista w każdym calu, że się sprawdzi w nietypowym zleceniu.

– Gadałam z nim, jest dynamiczny, doświadczony i dyspozycyjny – zapewniała przełożonego, kiedy enty już raz omawiali kosztorys warsztatów. Wynagrodzenie Manieckiego widniało tam jako największy wydatek, chociaż Daniela uparcie poprawiała, że to nie wydatek, tylko inwestycja.

– A ma jakąś zaletę na inną literę alfabetu niż de? – odparował Szumski ostrzej niż powinien, bo świadomość, że konfrontacja z ojcem dyrektorem nie tyle zbliża się wielkimi krokami, ile już wygląda zza węgła, działała mu coraz bardziej na nerwy.

– Zaśpiewał sobie połowę tego, co inni, za dwa razy większy kontent.

Ten argument mocno przemawiał do wyobraźni, nie mówiąc już o budżecie, a czasu mieli coraz mniej. Chcąc nie chcąc, Szumski zatwierdził Rafała Manieckiego jako obsługę medialną.

Po tym pierwszym zrywie, kiedy najpierw dopadł kierownika pecha, potem zaś autorów, ten dynamiczny i tak dalej Maniecki nagle zaczął lecieć w kulki. Ciągle wypytywał Szumskiego o betonowe sito

skostniałych redakcji i budowanie pomnika trwalszego niż ze spiżu alternatywnymi ścieżkami wydawniczymi, jak gdyby bardziej niż realizacja zlecenia interesował go ten wrzód na pośladku zdrowej branży. No dobrze, może nie do końca zdrowej, może dręczyła ją przypadłość lub dwie, wciąż jednak miała sporo zalet, jedną z nich zaś był Wojciech Szumski na odpowiednim stanowisku. A przynajmniej tak lubił o sobie myśleć. Tak czy owak, Maniecki dużo mówił, ale robotę odwalał byle jak, przemykał jak sen złoty, to się pojawiał, to znów znikał, niby zbierając materiały, emocje czy tam impresje, myślami zupełnie oderwany od rzeczywistości. Sztywny przez pół dnia próbował go dopaść, zatrzymać na sekundę i ustalić, czy wszystko przebiega zgodnie z harmonogramem, który nakreśliła Daniela.

– Panie Wojtusi, wszystko gra i buczy, niech pan zaufa procesowi, dobrze? Dobrze? – Maniecki, nie przystając nawet na moment, zalewał Sztywnego potokiem słów. – No. Ja wszystko dawno zaplanowałem na tip-top! Ja to tak zaplanowałem, że pan się nawet nie spodziewa! Wszyscy o was usłyszą, gwarantuję, cała Polska będzie o was mówić. Więc spokojna głowa, panie Wojtusi, ja wiem, co robię!

Cóż, być może, tyle że Sztywny również chciałby wiedzieć, co Maniecki robi, skoro robił to za jego służbowe pieniądze!

Zgrzytnął zębami, aż mu chrupnęło w stawie. Co za pic z tą herbata, w ogóle nie pomagała na stres...

Wtem gdzieś tuż pod nim rozległ się przejmujący zgrzyt, a zaraz potem ogłuszający huk. Sztywny poderwał się z tapczanu i syknął, kiedy herbata chlusnęła mu z kubka na dłoń, choć raczej z zaskoczenia niż bólu. Wściekły jak gniazdo os zbiegł na dół, przeskakując po dwa stopnie. Musiał się mocno wysilić, żeby łomot zamykanych drzwi nie poniósł się znów echem po całym ośrodku.

– Jest środek nocy, gdyby pan nie zauważył – rzucił ostro do krępej postaci, która stała pod gołym niebem i w blasku latarni chłonęła nikotynę razem z zacinającym deszczem. – Chce pan obudzić umarłych w promieniu kilometra czy wystarczą panu żywi?

Tomasz Troszczaniec pomału wypuścił kłąb dymu prosto w listopadowy mrok.

– Pan i tak nie rozumie – rzucił ochryple przez ramię. – Pan jest za ładny, żeby rozumieć.

– Niech pan to uzna za twórcze wyzwanie. Część warsztatów.

Krocząc przez dym i deszcz, mężczyzna podszedł do kierownika na wyciągnięcie ramienia. Strąk za strąkiem mokre włosy coraz bardziej przyklejały mu się do czoła.

– Ja tu tworzę, proszę pana.

– Zapalenie płuc?

– Literaturę. Prawdziwą literaturę. A tego się nie robi przy wygodnym biureczku. Widzi pan, ja tworzę metodą Stanisławskiego. To bardzo... – Troszczaniec zaciągnął się papierosem – bardzo intensywna metoda. Szarpie bebechy. Łapie i wykręca duszę razem z jajami. Ja nie piszę, wie pan, jak ten literacki plankton, nie klepię tych litererek byle jak, byle co, byle szybko, żeby motłoch połknął kolejną porcję papki jak głodny pelikan. Ja się zanurzam, taplam, tarzam w tym mięsie, w tych flakach, a potem wyrwam je z siebie i przekuwam w słowa. Żeby powołać do życia bohatera z krwi, kości i cierpienia, muszę się najpierw nim stać. Muszę nim żyć. Muszę umrzeć. A dziś coś zrozumiałem. Po pierwsze, trzech na czterech autorów to debile. Po drugie... zbrodnia! Zbrodnia to moje przeznaczenie. Bagno ludzkich emocji, ludzkich żądz, rozterek, słabości, które noszę w sobie, lepkie i brudne, spragnione kolejnej ofiary, żeby ją wciągnąć, wchłonąć, zmacerować, wszystko to czekało właśnie na taką opowieść o zbrodni bez kary. Ale nie napiszę mroku, którego nie noszę w sobie. Rozumie pan. Więc... oto jestem. Oto chłonę.

Sztywny odetchnął pomału, odliczając w myślach do dziesięciu. Wizja przekuwania flaków nieco nim wstrząsnęła.

– No cóż. Gdyby się panu pogłębiło, w pełni wyposażona apteczka znajduje się w pokoju jadalnianym.

– Jaki pan jest przyziemny...

– Ojej. A sądziłem, że ładny.

– O proszę! – zakrzyknął z rechotem Troszczaniec. – Tam się jednak pod tą gładką buźką kryje paskudniejsza mordą, co? No cóż. Mnie tymczasem musi wystarczyć samego talentu. Talentu i determinacji.

– I to w ramach tej determinacji sterczy pan o dwudziestej trzeciej na deszczu?

– To los mój, na grobowcach siadać!

– Czemu nie, kwestia preferencji. I dobrej izolacji. Osobiście sugerowałbym jednak, żeby dla odmiany przeczytał pan czasem coś pogodnego.

– Nie zwykłem czytać pogodnych książek. Pogodne książki są zazwyczaj literacko przygnębiające. Ale co pan może o tym wiedzieć... Czy kiedykolwiek spojrzął pan prosto w coś, co szarpnęło pana za trzewia, wyrwało z pana oddech i duszę razem z ostatnim posiłkiem? I nie, cena nowego modelu ajfona się nie liczy.

– Myślę, że mógłby się pan zdziwić – odparł Sztynny niskim głosem i bez słowa zniknął w podcieniu, zostawiając Troszczańca sam na sam z mrokiem.

Szybko się jednak okazało, że i mrok, i Troszczaniec nieszczególnie zważają na takie drobiazgi jak cisza nocna bądź higiena psychiczna. Kierownik pecha za to nie wierzył w regułę trzech razy, dlatego skończyło się awanturą już po drugim. Wyrzekając na filistrów, profanów i korporacje świata tego, pisarz zatrzasnął się w swoim pokoju, kierownik pecha zaś, łącząc i brukając przepisy przeciwpożarowe, zamknął drzwi wejściowe na klucz i bezczelnie go zaanektował.

Minęło ledwie pięć minut, góra piętnaście, odkąd przytknęła głowę do poduszki, kiedy coś wyrwało go brutalnie ze snu. Niczym pocisk wystrzelił z pościeli, tocząc po wciąż ciemnym pokoju półprzytomnym wzrokiem. Coś się waliło z łoskotem. Dach? Budynek? Nieboskłon? Każda komórka jego ciała drżała od gwałtownego napływu adrenaliny, która odpalała właśnie atawistyczną reakcję walki lub ucieczki.

Chwilę później przebudziła się jego świadomość i przedarła z przekazem, że to ktoś puka, wyjątkowo subtelnie. Wbrew odczuciom Sztynnego była piąta czterdzieści siedem.

– No jest pan! – ucieszył się niezmiernie Xavier F. Wolf, kiedy Szumski w końcu otworzył drzwi. Autor wbił się już w golf z beżowego kaszmiru oraz pikowaną bonzurkę i był gotowy do działania. – Dzień dobry. Otóż ja będę pisał.

– Gratuluję – odburknął Sztynny. Przycisnął kciuk i palec wskazujący do kącików oczu, ledwie powstrzymując pragnienie, żeby wcisnąć je mocniej, głębiej, wwiercić się aż do mózgu. – A mówi mi pan o tym, gdyż...?

– To chyba oczywiste. Potrzebuję kawy. Bez kawy o tej porze nie wyrobię; pan wie, która jest godzina?

Owszem, Sztynny wiedział. Wczesna. A dokładniej mówiąc, zbyt wczesna na podobne rozmowy, choć niekoniecznie na morderstwo. Już miał się odwinąć, już miał skrzywdzić tę mamałygę w bonzurce i kaszmirach, gdy z pewnym zdumieniem nagle coś pojał. Po pierwsze,

dość nieoczekiwanie zaczął rozumieć, o czym zeszłej nocy mówił do niego Troszczaniec. Zwłaszcza to o flakach. Po drugie zaś uświadomił sobie, że zatłuczenie Wolfa i zderzenie z niego tej durnej bonzurki tu i teraz niczym przerośniętego skalpu może i da mu chwilową satysfakcję, lecz na dłuższą metę niczego nie rozwiąże.

Musiał się zwrócić ku bardziej wysublimowanym metodom zarządzania tłumem.

– Jasne. – Obdarował autora starannie odmierzonym uśmiechem. – Proszę mi dać chwilę.

– Dziękuję, panie Wojtusiu. Czekam w pokoju!

Na szczęście Krawczykowi, który przejął niepodzielną władzę nad kluczem do pokoju jadalnianego, nie przyszło do głowy, żeby zamknąć pomieszczenie na noc, więc pan Wojtuś nie musiał się do niego dobijać. Ale też nie spieszył się jakoś nadmiernie z parzeniem, dlatego do pokoju autora dotarł dopiero pół godziny później, przynosząc mu gorącą kawę i chłodny uśmiech.

– No w końcu! – uradował się Wolf, gdy przejmował od ponurego kierownika kubek. – To część mojego porannego rytuału: praca i kawa. Rano jestem najbardziej produktywny. Zresztą... po co ja to panu tłumaczę. Przecież po to pan tu jest, prawda?

– Oczywiście – odparł Szytwny, niemalże radośnie.

Zostawiwszy Wolfa sam na sam z weną i płynami, wrócił do łóżka z twardym postanowieniem, że nie da się wykończyć deprivacją snu, że zdrzemnie się jeszcze do tej siódmej. Albo chociaż szóstej czterdzieści pięć.

Poddał się po kwadransie.

Dźwignął się na łokciu i wyjrzał przez okno. Całodobowa poświata cywilizacji nie docierała do otulonego lesistymi stokami ośrodka. Poza światłem rzucanym przez latarnie rozciągał się nie półmrok, do którego przyzwyczajeni byli mieszkańcy miast i miasteczek, lecz prawdziwa, nieprzenikniona ciemność. Ciemność, w której mogło się kryć wszystko, od przyczajonych zapadlisk, po ukryte potwory, choć prawdopodobnie nie kryło się nic. Przy lekkim mrozie listopadowego przedświtą nawet największe strachy wolały zagrzebać się gdzieś w ciepłe.

Chociaż... Szytwny wyprostował się na tapczanie i zmrużył powieki. Czy mu się zdawało, czy gdzieś tam, w oddali po prawej, coś mignęło w mroku? Jakby światełko albo gorzej – ogień. Przez następne minuty

wpatrywał się uważnie w ten punkt, jednak blask się ponownie nie pojawił. Pewnie to jakiś nocny drapieżnik przemknął przez gęstwinę w poszukiwaniu przekąski.

Porzuciwszy mrzonki o drzemce lub spacerze, Sztynny naciągnął bluzę na grzbiet i zbiegł na dół, do pokoju jadalnianego. Chciał sobie zaparzyć kawę, zanim reszta towarzystwa ściągnie tłumnie na śniadanie i zacznie mu znowu zawracać wiadome cztery litery. Tam też o siódmej trzydzieści zastał go Arkadiusz Krawczyk, wystrojony w dres z logo męzowskiej siłowni na piersi.

– A pan kierownik co tutaj robi? – przywitał się dobrym słowem, chociaż jego ton sugerował raczej, że wolałby się tu natknąć na hordeę zombie wypatrujących kandydata na śniadanie.

Szumski obrzucił sekretarkę przelotnym, acz baczny spojrzeniem. Wydawał się nieszczególnie przytomny, jak gdyby zeszła noc wcale nie upłynęła mu na spaniu.

– Kawę. Nie widać?

Krawczyk uniósł brwi. Na ławce przed kierownikiem pecha pyszniła się przemyślna konstrukcja. Na samym spodzie znajdowała się elektroniczna waga kuchenna niewielkich rozmiarów, na której stał szklany dzbanuszek. Nad dzbanuszką wznosiło się coś pomiędzy ceramicznym lejkiem a dziurawą filizanką. W środku znajdował się brązowy filtr do kawy, jedyny element, jaki Krawczyk rozpoznał bez pudła. Sztynny właśnie nachylał się nad konstrukcją i powolnymi, okrężnymi ruchami nalewał wodę z elektrycznego czajnika, jednocześnie kontrolując czas na smartwatchu.

Owszem, w pomieszczeniu unosił się znajomy zapach, którego nie dało się pomylić z niczym innym, ale tak poza tym wyglądało to raczej jak przenośne laboratorium małego alchemika niż proces powszechnie znany jako parzenie kawy.

– Każdemu jego porno – mruknął sekretarka.

Sztynny prychnął, odstawił czajnik i gdy tylko smartwatch zasygnalizował, że wymagany czas upłynął, uwolnił dzbanuszek, po czym rozlał jego skromną zawartość do dwóch papierowych kubeczków. Jeden z nich wręczył sekretarce.

– Ostrożnie. Bo trzepie.

– Jak Predom siedem jeden em świeże wiejskie jaja – orzekł Krawczyk z uznaniem po pierwszych dwóch łykach. Aż nim

wstrząsnęło od głębi doznań. – Słuszny drip. Nic dziwnego, że pan kierownik taki... charakterny.

– Doleweczkę? Chętnie zaparzę.

– Podziękuję. Z zasady staram się unikać zawału przed południem.

Gdzieś na korytarzu trzasnęły drzwi, coś stuknęło o podłogę, ktoś jeszcze kichnął siarczyście. Wobec tak ewidentnych dowodów aktywności autorskiej rozbudzony jak nigdy Arkadiusz Krawczyk ustawił na kuchence turystycznej największy garnek i zaczął szykować śniadanie. Wybór padł na owsiankę.

Owsianka w sekretarskim wykonaniu stanowiła odrębne doznanie kulinarne. Ugotowana na wodzie, a następnie zalana zimnym mlekiem była gęsta i jednocześnie brejowata. Kiedy Krawczyk rozdzielał porcje do plastikowych miseczek, spadała z łyżki z osobliwym plaśnięciem, nasuwając skojarzenia z posiłkiem więziennym. Być może ostatnim.

– Co to takiego? – ośmielił się zapytać Xavier F. Wolf, grzebiąc bez przekonania w swojej miseczce.

– Fińska owsianka! Pożywna i sycąca, bogata w składniki odżywcze dla pobudzenia ciała i umysłu. – Sekretarka dorzucił do swojej porcji garść orzechów, trochę suszonych moreli oraz kilka kostek gorzkiej czekolady. Całość okraszył cieniutkimi płatkami masła i zabrał się do jedzenia, na przemian to chrupiąc, to mlaskając.

– Jezu... – wyrwało się komuś wraz ze zduszonym jękiem, Krawczyk jednakże miał to głęboko w nosie. Bilans kaloryczny musiał się zgadzać.

Nieco zakłopotana Oleńka Kulczańska nachyliła się ku kierownikowi pecha.

– Przepraszam, jak my mamy to... to... no wie pan. Jeść?...

– Najlepiej połykać – odparł krótko Sztywny, który nie marnował czasu ani sił na wątpliwości czy przeżuwanie. Łyżka za łyżką pochłaniał owsiankę bez jakichkolwiek dodatków, nawet się przy tym nie krzywiąc. Żadna forma zbiorowego żywienia nie była w stanie go wzruszyć. – Jak pelikan – dorzucił pod nosem, łypiąc złowieszczo na Troszczańca. Ten jednak grzebał w kuchennych zasobach i nie dosłyszał przytyku.

– Brał ktoś keczup?

– Keczup do owsianki? – Xavier F. Wolf skrzywił się ze szczerym obrzydzeniem na kolegę po fachu. Ten odwzajemnił się spojrzeniem z ukosa.

- Czemu nie? W dupie przegród nie ma. A keczup jest zdrowy.
- To w mojej chyba są...
- Boś picuś. Cholera, nigdzie go nie widzę... Chyba wyszedł.
- No jak to? – zdziwiła się Oleńka. – Przecież ten nie... ten medialny pan jadł wczoraj lazanię z keczupem. Musi gdzieś być.
- Kto? Pan?
- Keczup!
- No tak. Keczupowi też nie mógł odpuścić...

Korzystając z tego, że wszyscy zajęci byli poszukiwaniami keczupu i unikaniem owsianki, Sztynwny postanowił wymknąć się po angielsku i szybko wskoczyć pod prysznic. Zaprawiony niejednym wyjazdem nie potrzebował ciepłej wody. Lodowata rozbudzała lepiej niż niejedna kawa. O tak, dużo lepiej... Roześmiał się w głos, a potem wsadził głowę prosto pod obfity strumień.

Rześki niczym skowronek wyłonił się z łazienki. Przesadził susem pierwsze stopnie i mało z nich nie zleciał, gdy usłyszał niespodziewany łoskot. Tym razem nie były to jednak zamykające się z wdziękiem i dźwiękiem drzwi wejściowe, lecz Michał Mogiła, który dobijał się do pokoju Rafała Manieckiego.

ROZDZIAŁ 8

– Czy pan oszalał?! – ryknął kierownik pecha, pokonując pozostałe stopnie w tempie, które prawdopodobnie zapewniłoby mu złoto, gdyby wściekły sprint po schodach został kiedykolwiek dyscypliną olimpijską.

– Ja pukałem! – zapewnił Mogiła solennie. – W sensie, że wcześniej. Zanim zacząłem tak łomotać.

– No i?!

– Chodzi o to, że Maniecki nie zjawił się na śniadaniu. – Mogiła przystąpił do składania logicznych wyjaśnień jak na profesjonalistę przystało. – Więc Arek poprosił, żebym po niego poszedł, bo nie wiedział, czy ma zostawić mu tę świńską owsiankę, czy jednak zutylizować.

– Fińską.

– Co proszę?

– Fińską. Nie świńską.

– Jest pan pewien?... Bo jak go Kocham, tak serio, Arek nie powinien żywić nikogo. Niczym. Chyba że w zakładzie karnym, chociaż nie wiem, czy to nie łamałoby jakiejś międzynarodowej konwencji. W każdym razie – prędko wrócił do sedna – pukałem i pukałem, a Maniecki nie otwierał, to do mnie dotarło, że nie widziałem go też na kolacji. W ogóle od wczorajszego obiadu nikt go nie widział. Pomyślałem, że może utknął w którejś łazience albo wyszedł na zewnątrz, ale w łazience był tylko pan, a drzwi na dole ktoś zamknął na klucz.

– Tak. Ja.

– Pan? Aha. Rozumiem. A po co?

– Żeby nikt nie wyszedł na zewnątrz.

– Logiczne – przyznał policjant i wrócił do wyjaśnień. – Więc tak jakby Manieckiego na ten moment nigdzie nie ma, ja pukam, czyli łomoczę, a on nie otwiera. Na co zjawia się pan.

– Rany boskie... Pan tak poważnie? Nie przyszło panu do głowy, że może pracował do późna, a teraz jeszcze śpi? Nie wszyscy zrywają się przed świtem, niektórzy lubią pospać do południa!

– No to raczej powinien się już obudzić, nie sądzi pan, panie Wojtku? A może nie otwiera, bo zasnął? Może wymaga natychmiastowej pomocy lekarskiej?

– Albo nie żyje – mruknął Krawczyk, który wspiał się na piętro za Sztywnym i z nieskrywanym zainteresowaniem obserwował rozwój wypadków. – Nie żyje i wkrótce zacznie wonieć. I my go tak znajdziemy. Jak wtedy...

– Czy mógłbyś z łaski swojej darować sobie tego rodzaju... nie, ja... Przepraszam, co pan robi, do jasnej cholery?! – zapytał Szumski, bo Mogiła tknął już nie tylko niepokój, ale również skojarzenia z innym trupem za innymi zamkniętymi drzwiami. Policjant przestał wreszcie bębnić pięścią w drzwi i zamiast tego kucnął i jednym okiem łypał przez dziurkę od klucza.

– Nic nie widzę. Przydałaby mi się latarka.

– Chyba raczej fachowiec... – wymamrotał Sztywny przez zaciśnięte zęby, ale rozpiął kieszeń bluzy i wyjął z niej latarkę. Rozmiarów była niewielkich, za to mocy takiej, że mogłaby z powodzeniem zastąpić latarnię morską i wprowadzać tankowce do portu.

Sekretarka uniósł nieco brew.

– O. Pan kierownik to taki dobrze wyposażony.

– Owszem. Gdybyś nie zauważył, jesteśmy w górach, a wokół rośnie gęsty las. W takich warunkach bez scyzoryka i latarki nie wychodzę z pokoju.

– Co kto lubi. Ja tam mam cięty dowcip i latarkę w telefonie.

– Dwa alternatywne źródła zasilania, siedemset lumenów, tryb stroboskopowy i ponad sto godzin pracy – wypunktował precyzyjnie Szumski. – Życzę powodzenia z telefonem.

– Przystaniecie mi dziamgolić nad głową?! – zirytował się Mogiła. Serio, zaczynał tęsknić za Pozgonnym i absolutną ciszą przy pracy. Znaczą, na urlopie. Ech... – Dobra. Widzę klucz w zamku. Jesteśmy w domu.

– Nie żyje. Mówiłem. A widzisz tam zwłoki?

– Teraz to w ogóle nic nie widzę – zauważył Mogiła, bo kierownik z sekretarką wbiegli rażno na piętro i zawisli nad nim niczym dwa sępy. Na dodatek Sztywny kapał mu na plecy. – Możecie się odsunąć?

– Michaś, i co teraz? Wyważamy drzwi czy wysadzisz zamek?

– Czy ja ci wyglądam na górnika strzałowego? – Mogiła cofnął się i uważnie zlustrował drzwi do pokoju Manieckiego. – Wyważanie nic nie da. Te drzwi nie otwierają się do środka, tylko na zewnątrz. Potrzebowalibyśmy tarana albo... hm. Nie macie przypadkiem piły i wiertarki, co?

- Zostawiłem w innych spodniach – odparł Krawczyk.
- Szkoda. To może chociaż młotek?
- A to już prędeży!

Sekretarka pobiegł szybko do samochodu, a Mogiła tymczasem odczepił od kluczy metalowe kółko i z pomocą Sztywnego zdołał je nieco zdefasonować w coś na podobieństwo sztywnej sprężyny. Dzieła dopełnił przyniesionym młotkiem, z jednej strony kształtując wygodną pętlę na palce, żeby móc manewrować narzędziem, z drugiej zaś coś w rodzaju niewielkiego dzióbka.

– Ale będą jaja, jak Maniecki teraz wyskoczy z twarzą... – wymamrotał sekretarka, podczas gdy policjant na klęczkach grzebał w zamku własnoręcznie zrobionym wytrychem.

– Jaja to będą, jak wyskoczy bez twarzy.

– Michaś! – Na wolnych od zarostu obszarach krasnoludzkiej twarzy odmalowały się groza i oburzenie. – Bez takich mi tu. Bo wiesz!

– Wiem, wiem... Ha! – zakrzyknął Mogiła triumfalnie, gdyż w tej samej chwili rozległo się ciche szcęknięcie. Klucz po drugiej stronie drzwi wykonał pierwszy obrót. – I właśnie dlatego, moi mili panowie – ostrożnie przekręcił wytrych – nigdy nie należy zostawiać klucza w zamku. Dla złodzieja to jak gwiazdkowy prezent.

– No. Dla policji najwyraźniej też...

Wystarczyło jeszcze kilka niespiesznych obrotów wytrychem, żeby zamek ostatecznie skapitulował. Mogiła nacisnął nadgarstkiem klamkę i otworzył drzwi.

W pokoju nie było nikogo.

– Może... może wpadł za tapczan? – strzelił Arkadiusz Krawczyk, choć bez przekonania. – Historia zna takie przypadki.

– Zostańcie tutaj – polecił Mogiła, podnosząc się z podłogi. Urlop urlopem, ale naprawdę miał coraz gorsze przecucia i mimowolnie uruchamiał kolejne zawodowe odruchy. – Obydwa. I niczego nie dotykajcie, jasne? Klamki, drzwi, framugi, niczego. Najlepiej przestańcie oddychać. I zrzucać naskórek.

– Pan chyba nie sądzi...

– Jeszcze nie wiem, co sądzię. – Starszy posterunkowy bez pardonowo uciął w zarodku wszelkie dywagacje. Na to jeszcze przyjdzie czas. Najpierw musiał ustalić fakty.

Pokój był może niezbyt przestronny, za to jasny, z dużą lukarną dokładnie na wprost wejścia. Na całe wyposażenie składało się

samotne krzesło, dwudrzwiowa szafa, głęboka, choć wąska, oraz jednoosobowy tapczan. Nawet chuderlawy kalkulator ledwo zdołałby się tu schować, a co dopiero dorosły mężczyzna rozsądnych rozmiarów.

Ostrożnie, żeby niczego nie naruszyć, Michał Mogiła postąpił kilka kroków w głąb pomieszczenia, wysunął przed siebie łokieć i otworzył nim szerzej uchylone drzwi szafy. Pociągnął nosem. Pachniało lekką stęchlizną.

– Są ubrania – zaraportował. – Ubrania, buty, kosmetyczka...
Ręcznik.

– Czyli wszystko gra.

– No właśnie nie – mruknął Sztynny. Trzymając się posłusznie za progiem, wodził wzrokiem po pokoju. – Nie wiem co, ale coś mi tu nie pasuje.

Starszy posterunkowy w milczeniu pokiwał głową, że owszem, a potem wskazał kciukiem na tapczan. Był niezaścielony. Nie rozgrzebany czy rozkopany. Niezaścielony. Złożona na czworo kołdra leżała nietknięta w nogach. Na niej spoczywała poduszka, na samym szczycie zaś czyste poszewki i wojskowy koc, bury niczym włosienica i zapewne równie miły w dotyku. Ktoś przygotował to wszystko na przyjazd zapowiedzianego gościa – lecz na próżno.

– Chwilunia. – Krawczyk analizował fakty z dynamiką pługu przebijającego się przez zaspę. – W tym łóżku to chyba nikt nie spał.

– Nie spał – zgodził się z nim policjant. – A przynajmniej nie zeszedł nocy.

– No to gdzie jest Maniecki?

– Może w innym łóżku – rzucił Sztynny.

Skrzywił się przy tym, jak gdyby brzydził się podobnymi słowami we własnych ustach.

– Pan kierownik myśli, że taki z niego przytułas wędrowniczek? No nie wiem. Nie wygląda.

– A to się jakoś rzuca na twarz? No patrz. Nie zauważyłem.

Ignorując osobliwą wymianę zdań, która rozgorzała za jego plecami, starszy posterunkowy nieustannie błędził wzrokiem po niewielkim pokoju. Nic z tego nie rozumiał. Drzwi były zamknięte na klucz. Od środka. Jedyne okno, z tego, co widział, było zabite gwoździami. Więc gdzie się podział Maniecki? I przede wszystkim – jak się podział?

Mogiła odwrócił się twarzą do wyjścia i wtedy zauważył kolejne drzwi w niewielkim korytarzu. No tak. Na każdym końcu piętra

znajdowały się przecież po dwa pokoje.

– Tu obok ktoś mieszka? – zapytał.

– Tak – odparł Sztywny. – Ja.

– I nic pan nie słyszał? Wieczorem? Albo w nocy?

– Nie. Tak.

– Oj. Pan kierownik coś kluczy.

– Nie słyszałem Manieckiego – wyjaśnił Sztywny cierpliwie. – Za to słyszałem Troszczańca, jak wychodził na zewnątrz.

– Troszczaniec wychodził z budynku? Nocą? – Mogiła z miejsca okazał zainteresowanie tym faktem. – W jakim celu?

– Wykręcał duszę razem z jajami w bebeczach ludzkich emocji. Lub... w mięsie? Przepraszam, średnio przyswajam bełkot. Ale to jego własne słowa – dodał Sztywny na swoje usprawiedliwienie. – Z mojej perspektywy stał w deszczu, kurzył i gapił się w noc. Podobno tak tworzy.

– O której to było?

– Dwudziesta trzecia z niewielkim hakiem. Usłyszałem hałas, bo nie dało się go nie usłyszeć, zszedłem na dół, żeby sprawdzić, co to za baran tłucze się tak po nocy. Natknąłem się na tego całego Troszczańca z petem. Wyłożył mi swoją... filozofię tworzenia, na więcej nie miałem już sił, więc wróciłem do łóżka. Jeszcze nie spałem, kiedy wrócił do budynku. Potem wychodził jeszcze raz.

– Skąd ta pewność?

Szumski uniósł brew.

– Pan słyszał te drzwi na dole? Musiałbym być głuchy, żeby się nie obudzić, kiedy się z nimi szarpał. Albo pijany. Albo pijany i głuchy. Obudził mnie zgrzyt i huk. Wyrzależem przez okno, zobaczyłem w świetle latarni, jak Troszczaniec miota się po chodniku. Nie mam pojęcia, co tam znowu robił, albo tańczył lambadę, albo walczył z demonami... czegoś tam, nie wiem, co nęka tych ludzi, ale nęka na pewno. Wtedy już nie wytrzymałem, zagnałem dziada z powrotem i zamknąłem te cholerne drzwi na klucz.

– I dotąd ich pan nie otworzył?

– No jakoś tak się złożyło, że miałem inne zajęcia.

– Haaalooo! – Po parterze poniosło się tęskne damskie wołanie. Najwyraźniej te inne zajęcia w czterech osobach zaczynały się nudzić w oczekiwaniu na dalsze atrakcje. – Czy my dziś warsztatujemy, czy nie warsztatujemy?

Mogła aż się strzebił w czoło. Przez to zamieszanie z blogerem na śmierć zapomniał o tej zgrai.

– Jasna cholera, warsztaty! Teraz pańska kolej czy moja? – zwrócił się do Wojciecha Szumskiego.

– Moja.

– Czyli pańska. Nie planuje pan przypadkiem przeciągnąć ich po tych krzaczkach, co?...

– To była metafora. Skomplikowana, jak widzę. Nie, panie Michale, nie planuję w ogóle żadnych krzaczków.

– A szkoda. – Mogła zasępił się na moment. – Dobra, zrobimy tak. Zamienimy się, dobrze? Wyprowadzę ich z budynku i czymś zajmę, przy okazji wypytam dyskretnie, rozejrzę się po okolicy, a wy w tym czasie spróbujcie namierzyć Manieckiego. Nie wiem, może rzeczywiście zasnął w cudzym łóżku albo poszedł na poranny spacer i zgnął się w lesie.

– Ale jak? Co, pańskim zdaniem, mam zrobić? Wytropić go? Co ja jestem, dzielny wódz Apaczów?

– Panie Wojtku, dla mnie może pan być nawet dzielnym małym tosterem, który ratuje święta. Byle nie tykał pan tej framugi, okej? – Policjant spojrział za siebie, żeby ostatni raz rzucić okiem na pokój Manieckiego. – Nie widzę nigdzie telefonu, więc może zaczniacie od tego. Gdzieś tu musi być chociaż kreska zasięgu. Poszukajcie.

Szumski burknął pod nosem coś niekoniecznie uprzejmego, ale poszedł się przebrać i dosuszyć. Również i Krawczyk nie wyglądał na przekonanego do takiego podziału ról. Mimo to darował sobie komentarze i z marsową miną wrócił do sprzątnięcia po nierównych zmaganiach z fińską owsianką.

Mogła zręcznie zamknął pokój, pozostawiając klucz po drugiej stronie zamka, wsunął wytrych do kieszeni i rażno zbiegł na parter.

– Szanowni państwo! – Z uśmiechem na ustach wpadł do pokoju warsztatowego, gdzie już zdążyli się zebrać żądni wiedzy autorzy. – Skoro wczoraj tak dobrze poszły nam... wam ćwiczenia praktyczne, dziś pójdziemy za ciosem. Ruszamy w teren!

– Ale... – Oleńka Kulczańska, tego dnia cała przyodziana w puchatą biel godną obłoczka na nieboskłonie i adekwatny wianuszek, rozejrzała się bezradnie po koleżeńskim gronie w poszukiwaniu wsparcia. – Ale pan Szumski miał roztoczyć przed nami perspektywy...

– Bez obaw, jeszcze zdąży – uspokoił ją Mogiła. – Roztoczyć, zniszczyć, wdeptać w ziemię... A my musimy się uwinąć przed deszczem. Proszę przywdziać ciepłe kurteczki, nie zapomnieć o szaliku i rękawiczkach.

– A termos z herbatą?

– Nie ma czasu na pieszczoty, zbiórka za pięć minut przed budynkiem! Pięć minut, proszę państwa!

ROZDZIAŁ 9

– Jestem nieprzytomny – oznajmił Xavier F. Wolf, choć całkowicie niepotrzebnie, bo raz po raz ziewał rozdzierająco, nie zasłaniając przy tym ust. – A przecież piłe-eem kaaa-węęę. E.

Pozostała trójka również nie tryskała entuzjazmem. O ile w przypadku Tomasza Troszczańca był to stan raczej naturalny, o tyle Oleńka Kulczańska, zazwyczaj promienna jak gwiazdeczka na firmamencie życia, zrezygnowała z tryskania czymkolwiek na rzecz walki o biologiczne przetrwanie. Owinąwszy się poncho niczym mumia bandażami, chwilowo skupiała się na dygotaniu z zimna, aż jej wianuszek szeleścił. Jasnoszare poncho z pomponami, choć bez wątpienia eleganckie i twarzowe, było niewiele grubsze od przeciętnego szlafroczka i nie miało najmniejszych szans w starciu z listopadową aurą w okolicznościach górskich.

– Może jednak włóż coś cieplejszego? – zasugerowała Margo Mesjasz, która jak zwykle wyrosła znikąd i przystanąła z boku, stając się na moment częścią krajobrazu. – Zmarzniesz na kość w tych fatałaszkiach.

– Ale to jest coś cieplejszego! – oburzyła się Oleńka, bardzo twarzowo.

– *Story of my life...* – mruknęła Mesjasz i sięgnęła do torby, którą dla wygody nosiła przewieszoną na ukos przez pierś i przerzuconą za siebie. Wręczyła Oleńce wełnianą czapkę w norweski wzór oraz wąski szalik do kompletu. – Proszę.

– Ale to nie moje kolory!

– Uwierz mi, w sinym też ci nieszczególnie do twarzy. – Nie bawiąc się w zbędne ceregiele, Margo ściągnęła Oleńce wieniec i zastąpiła go czapką, po czym okręciła ją niedbale szalikiem.

– Ale to mi spada! – zaprotestowała ponownie Oleńka, na co Mesjasz wyjęła jej kwietny wieniec z ręki i dość bezpardonowym gestem nasadziła na czapkę.

– Proszę. Teraz nie spada.

– Ale to mi dynda! – Kulczańska niestrudzenie kontynuowała protest przeciw tak wyraźnemu pogwałceniu jej uczuć estetycznych, tym razem mając szalikiem.

Istotnie, dyndało, jako że szalik był może wąski, za to liczył sobie ze trzy metry – w przeciwieństwie do Oleńki, której natura zapewniła najwyżej półtora metra z niewielkim naddatkiem. Nawet Margo musiała przyznać, że problem jest realny. W każdej chwili Kulczańska mogła się w szalik zaplątać, a nawet potknąć o niego i wygrzmocić.

– Daj. Ale stój spokojnie. Czy możesz przez sekundę stać spokojnie? – Mesjasz złapała za jeden koniec szalika i okręciła nim Oleńkę, potem chwyciła za drugi i kilkoma ruchami splotła zgrabny węzeł. Kilka ruchów i pętli później dyndający szalik został poskromiony i przeistoczony w coś przypominającego wełnianą gąsienicę, zwartą i tłustą. – Proszę. Teraz nie dynda.

Zaburzona wizerunkowo Oleńka wydeła usteczka, przymierzając się do kolejnego protestu, lecz w tej samej chwili z podcienia budynku wyłonił się dynamicznie Michał Mogiła.

– No to zaczynamy! – Klasnął w dłonie. – Proszę państwa, przedmiotem dzisiejszych warsztatów będą ślady, jakie zwykle znajdujemy na miejscu przestępstwa. A jest tego całkiem sporo! Chociażby włosy. Albo sierść, jeśli sprawca był szczęśliwym posiadaczem na przykład perskiego koceczka. Poza tym włókna tkanin, kawałki szkła, popiół z papierosa, jeśli... no, wiadomo co. – Wskazał na Tomasza Troszczańca, który korzystał z chwili i prezentował na żywo wzmiankowany proces. – No i jeszcze różne odciski, palców, stóp i tak dalej. Te wszystkie drobiazgi to twarde dowody, które mogą potwierdzić lub obalić zeznania. Mogą potwierdzić lub obalić alibi. A że pogoda nam dziś sprzyja...

– Tak?... – Oleńkę z wrażenia aż przydusiło. Mogła jedynie zatrzepotać rękami spod wieńca i czapki.

– Pogoda nam sprzyja – ciągnął konsekwentnie Mogiła – dlatego dziś zajmiemy się odciskami stóp. Trochę jak w przedszkolu, bo będziemy się bawić. Okej. Odciski stóp mogą nam powiedzieć wiele ciekawych rzeczy. Przede wszystkim kto znajdował się na miejscu przestępstwa. Wiadomo, ludzie mają przeciętnie tę samą liczbę kończyn, czyli dwie...

– A to zależy. – Troszczaniec odessał się na moment od papierosa i błysnął dowcipem wraz z osobowością. – Bo jak z psem, to przeciętnie trzy.

Mogiła był prawie pewien, że to nie do końca tak działa, nawet czytał o tym w jakiejś książce, uznał jednak, że ledwo starczy mu sił na to, na

czym się teoretycznie choć trochę znał, więc daruje sobie zgłębianie pułapek statystyki.

– Okej. Ślady. Obecność. Co dalej? Skąd przyszli? Dokąd zmierzali? Jakimi ścieżkami poruszała się ofiara, sprawca albo świadek? Z przyczyn technicznych skupimy się na odciskach widocznych gołym okiem, ale myślę... myślę, że to państwu wystarczy. Okej. To teraz proszę za mną.

Wyprowadził ich za budynek, gdzie szutrowy podjazd dobijał do bielonego krawężnika, za którym zaczynał się rozległy trawnik o nieregularnym kształcie. Nikt się tu nie bawił w pielęgnację czy zbieranie opadłych liści i innych patyków, które butwiały sobie beztrosko w listopadowej wilgoci. Wydeptana ścieżka prowadziła od podjazdu aż do dwóch ławek ustawionych przy kręgu z dużych kamieni, który wyznaczał miejsce na rozpalenie ogniska. Ścieżka nie urywała się tu jednak, tylko biegła przez kolejnych kilkanaście metrów, aż do ściany lasu. Między pniami pierwszego szeregu drzew tu i tam dało się dostrzec przebłysk płynącego strumienia, a za nim usiany głazami, wznoszący się stopniowo stok.

Zadowolony Mogiła pokiwał głową, po czym przystąpił do udzielania instrukcji.

– Okej, to teraz proszę się rozejść! Pan tu, pan tam, panią zapraszam tutaj, a pani... pani się przejdzie kawałek. Jeszcze kawałek... jeszcze... doskonale. Każde z państwa ma teraz pod stopami nieco inny rodzaj podłoża. Każde z państwa ma też na stopach inne obuwie, co nie? Płaskie, na obcasie, podeszwa szersza, węższa i tak dalej. Proszę o tym pamiętać. No. To teraz zabieramy się do części praktycznej.

Czworo autorów z różnym zaangażowaniem przystąpiło do sporządzania odcisków stóp na ubitej ziemi, trawie, szutrze i w miękkim, plaskającym błocie. Każde z nich obrało przy tym inną strategię. Xavier F. Wolf to przystawał na krócej, to na dłużej, to znów puszczał się ślizgiem po błocie. Co innego Troszczaniec – od razu zaparkował pośrodku podjazdu i tylko sterczał nieruchomo, przyssany do papierosa, żywiąc pogardę względem wszystkich i wszystkiego. Margo Mesjasz przechadzała się bez pośpiechu po trawie, podczas gdy kawałek dalej Oleńka oddawała się płąsom z fantazyjnymi obrotami i wstrząsem pomponów. Od czasu do czasu spoglądała pod nogi i porównywała swój ruch ze śladem, który pozostawił.

Michał Mogiła przez cały ten czas krążył po podjeździe między budynkami i przepatrywał najbliższą okolicę, szukając czegoś, co przykułoby jego uwagę. Najlepiej sylwetki Manieckiego mającej gdzieś żółto w oddali. Mimo zawodowych doświadczeń po cichu liczył na to, że bloger ni stąd, ni zowąd wychynie zza węgła bądź innego drzewa i zagadka sama się rozwiąże. W końcu jakie były szanse, że na warsztatach literackich z elementami twórczego survivalu dojdzie do czyjegoś zaginięcia?

– O! – poniósł się naraz po ośrodku radosny głos Oleńki. – Ale tamte ślady to są jakieś inne niż moje!

Mogiła odruchowo przeszedł po krawężniku i zatrzymał się przed Oleńką, którą poniosło aż na wąski pas betonu okalający budynek. Policjant rzucił okiem w dół – i naraz poczuł, jak lodowaty dreszcz przemyka mu rażno wzdłuż kręgosłupa.

Bez pośpiechu, żeby nie dać po sobie nic poznać, przykucnął nad śladami.

Oleńka miała rację, te odciski stóp były inne niż jej. Nie tylko dlatego, że płasała w modnych kozakach na traperowej podeszwie, owszem, z wyglądu dość masywnych, jednakże wciąż w rozmiarze trzydzieści siedem, może osiem, nie więcej. Te ślady zostawił ktoś o dużo większej stopie. Do tego stemple dwóch podeszew były wyraźne i symetryczne, tyle że niekompletne. Bez choćby zarysu pięty, jedynie palce i śródstopie odbite w podłożu. Kawalek obok rosło coś na kształt trawy, lecz w tym miejscu ziemia była naga i przez to bardzo miękka po ostatnich opadach. Gdyby ktoś tu stał, zostawiłby pełny stempel. Co innego gdyby biegł, zwłaszcza z palców – wtedy sam ślad wyglądałby podobnie, tyle że stopy nie odbiłyby się tak idealnie jedna obok drugiej.

Pilnując, żeby nie zdradzić się poruszeniem ani choćby drgnieniem głowy, Mogiła dla pewności zerknął ukradkiem w górę. Skraj blachodachówki wystawał kawałek poza bryłę budynku. Rynna wydawała się trzymać mocno na swoim miejscu, a ziemia między budynkiem a śladami stóp wyglądała normalnie. Żadnych zgniecionych badyli, żadnych świeżych dziur, żadnych innych śladów upadku. Jeśli dodać do tego kształt i głębokość śladów, Mogiła obstawiałaby, że ktoś raczej zeskoczył w tym miejscu z dachu niż z niego bezwładnie zleciał. Szlag. O ile w pokoju Manieckiego zapaliło mu się w głowie czerwone światełko, o tyle teraz już migało jak wściekle. Powinien czym prędzej zabezpieczyć te ślady, przecież w każdej chwili mógł znowu spaść

deszcz. Ale czym? Folią? Czy folia wystarczy? Raczej nie, co najwyżej przed tym, co spadnie bezpośrednio z góry, ale przecież przy intensywniejszych opadach woda koniec końców zacznie też przesiąkać z gleby.

Obejrzał się krótko na autorów. Wciąż stali tam, gdzie nakazał, i przyglądali mu się w skupieniu, czekając na ciąg dalszy części praktycznej warsztatów. Mogiła zaklął w duchu. Dopiero co gratulował sobie pomysowości, a teraz? Nie mógł przecież odesłać autorów pod pierwszym lepszym pretekstem, żeby zająć się śladami, ale nie mógł też porzucić śladów na pastwę przypadku i warunków atmosferycznych, żeby zająć się autorami...

– No, trochę szkoda, że nie mamy tu gipsu – rzucił głośno, grając na zwłokę. – Pokazałbym państwu, jak się robi odlew.

– Owsianka się nada – usłyszał znajomy kobiecy głos.

Mogiła natychmiast odwrócił głowę.

– Słucham?

– Owsianka się nada – powtórzyła Margo Mesjasz ze swojego miejsca. – Ta ze śniadania. Zamiast gipsu. A jak doda pan do niej soli, to stężeje nawet szybciej niż taki gips.

– A to ciekawe. I to działa?

– Działa. Sprawdzone info. Można też dodać brokat dla lepszego efektu.

– No proszę... Skąd pani wie takie rzeczy?

– Pan ma swoje sztuczki, a ja mam swoje. To co?

Brzmiało to jak wielka improwizacja, nawet zbyt wielka, ale... czy miał jakieś inne wyjście?

– Dobra. Spróbujemy z owsianką, skoro pani mówi, że to sprawdzone. A państwo... – Rozpolicjantowany umysł Mogiły na dobre pożegnał się już z urlopem i wchodził na właściwe obroty. Błyskawicznie podrzucił mu pomysł na zagospodarowanie czwórki autorów możliwie z dala od śladów. – Proszę państwa, co państwo na to, żebyśmy zrobili to jak w prawdziwym kryminale?

Okrzyki i piski, jakie wydali z siebie w odpowiedzi, stanowiły czytelny przekaz, że oni na to bardzo chętnie przystaną. Nawet Tomasz Troszczaniec, chociaż zblazowany bardziej niż nastolatek w basenie z kulkami, pokiwał głową.

– W takim razie proszę bardzo. – Mogiła wyciągnął rękę stanowczym gestem. – Krawężnik to policyjna taśma, a ziemia...

ziemia to lawa, proszę państwa. Ja mam blachę, tak? Tak. Więc jestem odporny na spłócenie żywcem. Wszyscy bez magicznej blachy staną z łaski swojej tam, po drugiej stronie, na utwardzonej powierzchni.

Wysłana z misją Mesjasz potrzebowała prawie dziesięciu minut, żeby znaleźć i przyprowadzić Krawczyka. Krasnoludzki sekretarka niósł garnek ze wzgardzoną fińską owsianką niczym mistrzowski puchar.

– Nie wiem, ile soli trzeba, żeby to zadziało, ale sypnąłem od serca – zapewnił, wyciągając mocarną łapę nad krawężnikiem oddzielającym cywilów od mundurowych, żeby wręczyć garnek Mogile. – Jeszcze ciepłutka. Łyżka jest w środku.

– Dzięki. Nie masz przypadkiem jednorazowych rękawiczek, co?

– Ja mam. – Margo Mesjasz wydobyła ze swej torby woreczek strunowy pełen nitrylowych rękawiczek i podsunęła go policjantowi. – Proszę się częstować.

– O! Dziękuję. Jest pani nieocenionym źródłem akcesoriów. – Mogiła wsunął dwie rękawiczki do kieszeni kurtki. – No dobrze, proszę państwa. To teraz... teraz będzie jak w amerykańskich serialach.

Zwykle wykonywaniem takich odlewów na miejscu zbrodni zajmowali się wykwalifikowani technicy, nie śledczy, nic zatem dziwnego, że Mogiła nie miał w tym zbyt wielkiej wprawy. Choć w manewrowaniu materiały owsianki technicy pewnie byłiby równie zieloni jak on. Na szczęście przy każdej nadarzającej się okazji z uwagą przyglądał się ich mrówczej pracy, przy milczącej aprobacie Pozgonnego, który pochwalał takie poszerzanie horyzontów, dzięki czemu teraz mniej więcej wiedział, jak się do tego zabrać. Najpierw zrobił zdjęcia, pamiętając o kilku szerszych ujęciach najbliższego otoczenia. Potem założył rękawiczki i ostrożnie, żeby nie zniszczyć detali, wypełnił najpierw jeden, a następnie drugi stempel słodko-słoną masą. Cóż. Teraz pozostawało tylko czekać, aż odlew stężeje na tyle, żeby dało się go ostrożnie podnieść i zabezpieczyć. O ile Margo Mesjasz miała rację. Bo jeśli nie sprawdziła tej sztuczki w praktyce, jeśli coś jej się tylko obilo o uszy... to by znaczyło, że właśnie zniszczył dowód rzeczowy w ewentualnej sprawie zaginięcia. A może i gorzej.

„Pomyślę o tym jutro”, uznał, bo cóż innego mógł zrobić w zaistniałych okolicznościach? Owsianka już się wylała. A tak przynajmniej istniała jeszcze szansa, że coś ocaleje, zanim z chmurzysk

nad ich głowami znowu spadnie deszcz i splucze ślady potencjalnej zbrodni.

No dobrze. Pierwszy krok za nim, pora zatem na drugi. Z pozostałościami fińskiej owsianki wstał i podszedł do krawężnika.

– Arek... – rzucił cicho do Krawczyka, wręczając mu garnek przechodni.

Sekretarka pochylił głowę.

– No?

– Weź mi tu ściągnij Sztynwego. Tylko dyskretnie i bez dram, okej? Zaczekaj, aż ci sobie pójdą... gdzie indziej. – Puścił garnek z owsianką i cofnąwszy się o dwa kroki, podniósł rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę pozostałych. – Proszę państwa! Ja działam tutaj, a państwo macie w tym czasie kolejne zadanie. Indywidualne. Mój dzielny asystent rozda wam zaraz mniejsze naczynia. Podzielcie się owsianką i udacie się... TAM! – Wskazał mniej więcej na teren wokół drugiego budynku oraz stok, który wznosił się za ich plecami aż do linii gęstego lasu kilkaset metrów dalej.

– A na czym polega to zadanie?

– To jakiś test?

– Ale to na ocenę czy jak?

– Na zaliczenie. – Splótł ręce za plecami, zadarł lekko podbródek, żeby przemawiać z pozycji siły. Autorytetu nadanego mu mocą blachy, kodeksu karnego i głębokiej nadziei, że to wypali. – Zadanie macie następujące. Każde z was znajdzie sobie jakiś ślad w miękkim podłożu. Jakikolwiek. To może być ślad buta. To może być ślad opony. To może być trop jakiegoś zwierzęcia. Musicie go sfotografować, opisać i zabezpieczyć odcisk za pomocą odlewu z owsianki.

– Ale tu nie ma zasięgu – wypomniał Xavier F. Wolf. – Co swoją drogą jest wprost skandaliczne!

– Sfotografować, opisać i zabezpieczyć – powtórzył cierpliwie Mogiła. – Zapewniam pana, że do żadnej z tych czynności nie potrzeba państwu żadnego zasięgu. Można je przeprowadzić w stu procentach analogowo. A nawet należy – dodał – z uwagi na poufność toczącego się śledztwa.

– Ale moi followersi oczekują, że będę im dostarczał...

– Przepraszam, kto?

– Moi followersi. Tacy... tacy... nie wiem, jak się mówiło za pańskich czasów... Czciciele? Akolici?

– Okej. Uznajmy więc na potrzeby chwili, że jestem pańskim jedynym followersem. Bardzo ważnym followersem. A pan mi dostarcza taki... wyjątkowy... co?

– Kontent.

– Właśnie to. Tym. Tak. Pamiętajcie o skali, bez niej zdjęcia są bezużyteczne – zwrócił się do całej zgrai. – Nie potrzebujecie do tego żadnej miarki, wystarczy położyć obok cokolwiek innego jako punkt odniesienia. Monetę, kartę płatniczą, paczkę chusteczek higienicznych...

– A można prezerwatywę? – wtrąciła nieśmiało Oleńka.

– Jasne, czemu nie – zgodził się gładko policjant. Nie takie rzeczy już widywał, poza tym naprawdę wołał się teraz nie zastanawiać, czemu dorosła kobieta nosi przy sobie prezerwatywę, ale karty płatniczej już nie. Nie mówiąc o chusteczkach. – Byle była zapakowana. Rozumie pani, wtedy łatwiej ją zmierzyć. Spróbujcie też określić – ciągnął Mogiła – albo chociaż oszacować tak pi razy oko odległość tego śladu od... czegoś. Czegoś stałego, czegoś, czego nie da się przestawić, przesunąć i tak dalej. To może być budynek, słup energetyczny albo charakterystyczne drzewo. Albo głąz. Jakiś naprawdę ładny głąz. Spotykamy się za... – spojrzał na wyświetlacz telefonu – za dwie godziny w pokoju warsztatowym. Tam omówimy wasze znaleziska. Do dzieła. A, przepraszam! – Naraz przypomniał sobie o czymś. – Pani Margo!

– Tak?

– A nie ma pani przypadkiem takiego drugiego woreczka?...

Kobieta zawróciła i z uśmiechem wymownym, acz niezbyt ostantacyjnym wręczyła policjantowi kilka pustych woreczków strunowych, każdy w innym rozmiarze.

– Czy pani nosi pół Ikei w torebce? – zapytał zaintrygowany, gdy już wybrał, skinieniem głowy dziękując za kolejny dar, na co Mesjasz zaśmiała się cicho.

– Nie, akurat w tej nie.

Podekscytowani autorzy podreptali za Krawczykiem i owsianką do budynku niczym pisklęta za mamą gęsią. Już po pięciu minutach rozpięchli się po obszarze, który wyznaczył im policjant. Musiało jednak minąć drugie tyle, zanim zza węgła wyłonił się Wojciech Szumski.

– Maniecki nie wrócił, samochód stoi, jak stał, nadal zero zasięgu – zameldował krótko, dotarłszy do Mogiły. – I czy mnie się wydaje, czy naprawdę widziałem, jak Troszczaniec robi na trawniku placki z owsianki?

– No... no tak. Tak. Cóż, przynajmniej zapewniłem im jakieś zajęcie. – Michał Mogiła wziął głęboki wdech. – Panie Wojtku, oficjalnie informuję pana jako organizatora tego wydarzenia, że chyba mamy problem.

ROZDZIAŁ 10

– Problem wizerunkowy?

A to ciekawe. Na miejscu kierownika pecha Michał Mogiła w pierwszym odruchu pomyślałby raczej o problemach technicznych, zaopatrzeniowych, może personalnych, ale raczej nie przyszłoby mu na myśl, żeby się martwić o wizerunek. Może nie wiedział zbyt wiele o byciu kierownikiem działu promocji – a może chodziło o coś zupełnie innego?

– Wizerunkowy. Kryminalny. W sumie... trudno mi określić na tym etapie, ale tu coś ewidentnie zaszło. Wszystko wskazuje na to, że Rafał Maniecki zniknął bez śladu – przystąpił do uściślenia starszy posterunkowy. – Wszystkie jego rzeczy zostały w pokoju. Pokoju zamkniętym od środka. Nie ma z nim żadnego kontaktu... tak? – upewnił się prędko, zanim zabrnął bez potrzeby w tę stronę.

– Tak, w tej kwestii bez zmian.

– A teraz się okazuje, że ktoś był na tym dachu. I to niedawno, bo deszcz nie zdążył zniszczyć śladów, więc obstawiam zeszłą noc. Był na dachu, po czym stamtąd zeskoczył. Zeskoczył – powtórzył z naciskiem. – Kto to był? Jak się tam dostał? Po co?

– Mnie proszę nie pytać, pojęcia nie mam.

– Panie Wojtku, nie zwykłem niepotrzebnie panikować, ale uważam, że powinniśmy zawiadomić policję, że zniknął człowiek. I nie wiem, chyba GOPR? Możliwe też, że żandarmerię, bądź co bądź to teren wojska...

– Przecież pan jest policją – wytknął mu Sztynny. – Tak jakby.

– Owszem, tak jakby – potwierdził spokojnie Mogiła. – Ale jestem też na urlopie, więc jednak tak jakby nie do końca. Poza tym to nie mój rejon, nie mam narzędzi ani wsparcia, nie znam terenu. A tak na upartego to ja też występuję tu w roli świadka i potencjalnego podejrzanego, gdyby się okazało, że doszło do przestępstwa. Przykro mi, ale powinniśmy przerwać warsztaty, złapać gdzieś zasięg albo po prostu podjechać samochodem na najbliższy komisariat i zawiadomić odpowiednie służby – zakończył, po czym odetchnął z poczuciem spełnionego obowiązku natury może jeszcze nie zawodowej, ale z pewnością moralnej. Zaraz jednak spiął się na powrót, bo ni to zatwardziała, ni to zrozpaczona mina Wojciecha Szumskiego

świadczyła dość jednoznacznie, że wcale nie pójdzie tak łatwo, jak Mogiła zakładał. – No? Co tam, panie Wojtku? O czym nie wiem?

– Krawczyk nic panu nie powiedział? Nie możemy wezwać policji.

– Gdyż?

Sztywny spochmurniał bardziej niż listopadowe niebo nad ich głowami.

– Gdyż śmierć Chojnowskiego pograżyła nas na wszelkich możliwych frontach. Cała branża o nas plotkuje, nikt nie chce z nami współpracować. Chyba że zbrojeńcy, z którymi z kolei nie chce współpracować Krawczyk. Ale to nie wszystko. Pamięta pan zastrzeżenia w testamencie? Tym na rzecz Mastalerczyka?

– Pamiętam, tak.

– No to mleko się właśnie wylało. Rezerwowi spadkobierca powiadomił sąd, że Mastalerczyk kompletnie nie umie w bogobojność i złamał warunki zapisu. Straciliśmy prawa do ksiązek, dzięki którym wydawnictwo od lat utrzymywało się na powierzchni. Te warsztaty to nasza jedyna szansa, żeby wbić się zębami w rynek i nie splajtować w trybie przyspieszonym.

– Aaa... A! – Mogiłę opadło olśnienie. – Czyli to dlatego tu jest tak... budżetowo?

– Ten klajster o smaku owsianki to jest obecnie szczyt naszych finansowych możliwości. Następne będą kamienie. Dlatego... – Sztywny zacisnął zęby i kilka razy odetchnął głęboko przez nos. – Bardzo nieoficjalnie, z całą świadomością, że proszę o wiele, ale proszę. Niech pan robi, co pan chce, niech pan... policjantuje do woli i szuka Manieckiego, tylko... my naprawdę nie możemy być zamieszani w kolejnego trupa!

– Oj tam, od razu trupa... – mruknął Mogiła.

– Zrobimy tak. Wezmę na siebie warsztaty, Krawczyk skupi się na generowaniu posiłków, a pan się zajmie wyłącznie szukaniem Manieckiego. Jeżeli znajdzie pan twarde dowody, że nie zniknął, bo tak mu się uwidziało, tylko rzeczywiście spotkało go coś złego, wtedy składam broń, wsiadam za kółko i osobiście jadę powiadomić policję.

– Twarde, tak? – Mogiła skrzywił się w zamyśleniu. – Prawdę mówiąc, nie wiem, jak długo tężeje taka owsianka, ale...

– Ciało, krew, odrąbane palce. – Sztywny nie dał policjantowi dokończyć zdania. – Nie wiem, rozwleczone flaki dyndające z drzew. TO są twarde dowody.

– Kryminalistyka zgłosiłaby w tej kwestii zdanie odrębne – podkreślił Mogiła dla porządku, po czym westchnął, bijąc się z myślami. Rzeczywiście, zagadka zamkniętego pokoju i zniknięcie blogera nie dawały mu spokoju, musiał jednak przyznać, że jak dotąd nic nie wskazywało jednoznacznie na potencjalne przestępstwo. Mógłby się temu przyjrzeć na spokojnie, tak jak proponował Szumski, bez pogrążania wydawnictwa. – No... no dobra. Skoro Arek... Okej. Powiedzmy, że jestem w stanie wstrzymać się jeszcze... z zawiadamianiem organów. Na pewien czas. Ale co z autorami?

Sztywny wzruszył ramionami.

– A co z nimi? Mają siedzieć na dupach i pisać. Nie muszą o niczym wiedzieć. Uważam wręcz, że nie powinni. Pomijam straty wizerunkowe, ale jeśli się zorientują, że coś się stało z Manieckim, to spanikują i będą tu latać jak stado bezgłowych kurczaków. No, tyle dobrego, że nie puszcza nic dalej w świat, bo wtedy moglibyśmy równie dobrze zwijać żagle. W zaistniałej sytuacji brak zasięgu to jednak pewne błogosławieństwo.

– Albo gorzej. Będą chcieli pomóc w poszukiwaniach. – Mogiła zmarszczył brwi, mierząc się z koncepcją, która mu nagle przyszła do głowy. – Co w sumie też jest pewną myślą. Przerazającą, ale czego się nie robi w akcji...

– Dzień dobry, robaczki – odezwał się nieoczekiwanie jakiś głos za ich plecami. – A co tu się odpięrdala?

Niewiele brakowało, żeby Mogiła ze Sztywnym chwycili się za ręce niczym kochankowie w obliczu zagłady. Która to zagłada właśnie mknęła w ich stronę jak meteoryt tunguski w tysiąc dziewięćset ósmym, bezlitosna i nieunikniona.

– No co się tak gagicie jak cielę na inseminatora? Ominęło mnie coś pikantnego?

– Ależ skąd, pani komendant, dzień dobry, pani komendant – przywitał się Mogiła równie grzecznie, co słabo, bo gardło miał równie drżące jak kolana, które właśnie się pod nim mięciutko ugiwały. – Co... a co panią komendant tu sprowadza?...

Justyna Chamanowicz, emerytowana komendantka policji o jakże pieśczośliwej ksywie Jucha, ustawiła wielką walizkę prosto na szutrze. Choć tym razem nie objawiła im się w glorii, chwale i koronkach, to wrażenie zrobiła nie mniej imponujące. Historyczną suknię z gorsetem zamieniła na welurowy dres ze ściągaczem na

wysokości kostek oraz coś między damską kurtką zimową a śpiworem wyposażonym w kaptur, co prawdopodobnie mogłoby dość swobodnie pomieścić trzyosobową rodzinę ze sporym psem. Zgodnie z najświeższą modą włożyła do tego niskie adidas i długie frotowe skarpetki. Całość stylizacji, utrzymana w pastelowych odcieniach fioleto, zieleni i bieli, nadawała jej pozór wcielonej dobroduszości, co w zestawieniu z ogólnym usposobieniem Juchy budowało efekt głębokiej i nieodpartej konsternacji.

– Zapierdol, młody. Uczciwy, pisarski zapierdol. Ach... – Była komendantka wzięła się pod boki i zaciągnęła głęboko listopadowym powietrzem. – Uwielbiam zapach przydawek o poranku!

– Ale... ale... ale jak to?... – Mimo najszczerzych chęci Mogiła nie zdołał skonstruować składniejszej wypowiedzi, takiej z orzeczeniem i resztą gramatyki. Szok dla organizmu był zbyt wielki: policjant w życiu nie spodziewałby się, że pośród górskiej głuszy natknie się na Juchę, nie dość, że zwartą i gotową do działania, to jeszcze całą w pastelach.

– Boligłowa. – Sztynny domyślił się tego, z czym wciąż walczył oszołomiony umysł nieszczęsnego policjanta. Boligłowa, ostatnie nazwisko na liście autorów. Zatem enigmatyczne Jot oznaczało Justynę.

– To po tatusiu – przytaknęła Jucha. – A Chamanowicz dopiero po mężu. No. Nieco poniósł mnie bal, niech żyje, i minęłam się z wczorajszą wycieczką, więc dziś wsadziłam dupę w transport zbiorowy. Potem szybka podwózka na bombach i proszę. Oto jestem.

– Ale pani tu nie powinno być – zauważył Wojciech Szumski. Zmarszczył czoło tak mocno, że jego czarne brwi zetknęły się nad nosem, układając w krucze skrzydła. – To są warsztaty dla debiutantów, a pani przecież wydała już powieść. Co więcej, wydała ją pani u nas!

Jucha uśmiechnęła się ze słodyczą, od której Mogiłę aż zemdliło.

– Pan jak się nasroży, to się kobiecie fiszbiny prostują – zagruchała. – Tak się milusio składa, że czytałam regulamin i wie pan co? – Wyjęła z kieszeni złożoną na czworo kartkę i łaskawym gestem podała Sztynnemu. – Pan mi pokaże palcem, gdzie tu stoi na ten temat, bo ja coś nie mogę znaleźć. – Odczekała chwilę, dając kierownikowi symboliczne fory, żeby zdążył przeczytać chociaż ze dwa

wersy, po czym wyprowadziła cios: – Spisywało się w kiblu na kolanku, co?

Wojciech Szumski zacisnął zęby z taką mocą, aż mu w stawie chrupnęło. Niestety, chociaż wpatrywał się w papier wzrokiem gorętszym niż powierzchnia Słońca, zapisy ani myślały się zmienić pod tą presją. Albo chociaż spłonąć ze wstydu. Daniela skrewiła, gdy pisała regulamin konkursu, on to beztrzesko klepnął i teraz Jucha zapędziła ich w kozi róg.

– Czy pani zdaje sobie sprawę, w jakim to nas stawia świetle? – Porzucając chybiony argument, prędko chwycił się innego. – Jakie to nam robi *publicity*, jeśli wyjdzie na jaw, że podstępem premiuujemy swoją autorkę?

– No już, już. Pan się tak nie wytęża z tych emocji, bo pan hemoroidów dostanie, a to przykro – doradziła Jucha i schowała kartkę z regulaminem z powrotem do kieszeni wielkiej kurtki. – Gdybym chciała wam robić chlew w *publicity*, nie zjawiałabym się tu incognito, ubrana jak z tyłu liceum, z przodu muzeum historii naturalnej.

– Och, czyli to tak specjalnie? – wypalił Michał Mogiła, zanim zdążyło przyjść opamiętanie. – Na okoliczność?

– Młody, bo cię zdzieję. A znam srogie chwytty.

– Tak, pani komendant – wymamrotał posłusznie.

– Przyjechałam tu w konkretnym celu i zamierzam go zrealizować – ciągnęła Jucha. – Nic wielkiego. Jestem zwyczajną emerytką, która postanowiła spełnić młodzieńcze marzenie, zanim kopnie w kalendarz, a jej majątek rozgrabią wnuki i wrony. Spędzę tu miło czas, czegoś się nauczę, poznam ludzi. Wy w tym czasie trzymajcie gęby na kłódkę, ja też zachowam dyskrecję i nikomu nie stanie się krzywda.

I w tym samym momencie pomiędzy górskimi stokami poniósł się czyjś dziki, przeciągły wrzask.

– A ten co się tak drze? – zdziwiła się Jucha, obracając się w kierunku, z którego dochodził dźwięk.

Za jej plecami starszy posterunkowy i kierownik pecha, zgodni jak rzadko, dokonali błyskawicznej wymiany spojrzeń i niewypowiedzianych obaw. Przybycie byłej komendantki komplikowało sytuację w stopniu, który wybijał wszelką skalę. Nawet w pastelach maskujących Jucha wciąż pozostawała policjantką z krwi i kości. Nie kupi byle kitu, od razu zwręszy, że coś tu się święci, że coś

ukrywają. A wtedy zaczniesz drażnić. Krótko mówiąc, mieli przesrane – i musieli działać. Teraz. Zaraz.

Mogiła już otwierał usta, lecz tym razem inicjatywa należała do Wojciecha Szumskiego. Małe upokorzenie, które na dzień dobry zafundowała mu Jucha, rozdrażniło go o wiele bardziej, niż dawał po sobie poznać. Chwyił walizkę za rączkę i dzwignął, jak gdyby nic nie ważyła.

– Jebaniutki... – zdążyła westchnąć z uznaniem Jucha, zanim kierownik pecha wolną ręką chwyił ją pod łokieć i nadał wstępny pęd wraz z pożądanym kierunkiem.

– Pani pozwoli za mną, pani... Justyno. Pokażę pani pokój, żeby mogła się pani rozpakować i dołączyć do następnego bloku warsztatowego. Jak się pani wkrótce przekona, zespół wydawniczy wraz ze starszym posterunkowym Mogiłą dobrał dla naszych autorów nadzwyczaj skuteczną metodę szkoleniową.

– Ach tak? A jaką to?

– Fińską.

Michał Mogiła z trudem zachowywał pozory opanowania, czekając, aż Jucha i Sztynny z walizką znikną wewnątrz budynku. Dopiero wtedy rzucił się do owsiankowego odlewu i ostrożnie wetknął palec w słodko-słoną masę. Wciąż nie stężała. Za mało soli? Za dużo masła? Cholera, przydałoby się to czymś podsuszyć, tylko...

Rozległ się kolejny wrzask i Mogiła nie miał już wyjścia, musiał porzucić bezcenny odlew. Zabezpieczywszy go w pośpiechu przed deszczem za pomocą strunowego woreczka i paru kamieni, puścił się sprintem na drugą stronę ośrodka. „Stało się”, dziwnie spokojna myśl tłukła mu się po głowie w rytm stawianych kroków. „Stało się. Znaleźli go. Manieckiego. Rozszarpanego. Przez wilki”. Co prawda dzwoniło mu również, że wilki to raczej w Bieszczadach i że wbrew obiegowej opinii chyba rzadko rozszarpują blogerów czy w ogóle kogokolwiek, ale nie miał czasu na pogłębienie tych rozważań, gdyż kątem oka zarejestrował ruch w swoim polu widzenia. Od strony granicy z Czechami sunęła asfaltową drogą majestatyczna Buka, czyli Margo Mesjasz, zaś po stoku po lewej niezdarnie zbiegał zwałisty Troszczanec. Autorzy i policjant zmierzali do tego samego punktu orientacyjnego w osobie Oleńki Kulczańskiej, która podskakiwała na obniżonym terenie między szosą a strumieniem, wymachując do nich oburącz z wielkim oddaniem. Mimo to trudno byłoby ją dostrzec na tle

krajobrazu, gdyby nie dziwna kolorowa pętla u jej szyi, która przy tych podskokach majtała się na boki na podobieństwo wahadła.

Kawałek za nią Xavier F. Wolf tańczył wokół jakiegoś omszałego głazu. To on właśnie, niepomny godności nadanej mu mocą tweedu i wielbłądziego płaszcza, darł się niczym opętany na cały ośrodek:

– JEEEST! JEEEEEEEEEST!!!

– ALE CO???! – huknął do niego Troszczaniec, pchany do przodu połączoną mocą rozpędu i grawitacji. Był aż purpurowy na gębie od nadmiaru aktywności fizycznej.

– ZAAAAAAAAASIEĘĘĘĘĘĘĘĘĘG!!!

Na tę wieść Mogiła zahamował pośrodku szosy, aż mu podeszwy zaszurały o asfalt.

– Jebaniutki... – wyrzucił z siebie wraz z wydechem, gdyż jakoś tak samo cisnęło mu się na usta.

No tak. Zasięg. Cenny niczym Święty Graal, niczym La Copa de la Vida, niczym miejsce nad samiušką wodą w szczycie plażowego sezonu. Już w stateczniejszym tempie policjant przesadził barierkę i pokonał resztę dystansu, jaki mu pozostał do cudownego głazu, przy którym zdążyła się zebrać czwórka autorów.

– Czy państwa pogrzało? – zagaił, lecz oni w ogóle nie zwracali na niego uwagi. – Myślałem, że... że coś się stało.

Wtem wokół głazu poniosło się pikanie. Niskie, wysokie, mniej lub bardziej przesywające. Dobiegało z lewa, dobiegało z prawa, a nawet z kieszeni Mogiły. Dopiero gdy poczuł w tym miejscu znajome wibrowanie, zrozumiał, co zaszło. No tak. Gdy tylko komórki wszystkich zebranych znalazły się w zasięgu, zaczęły aż chodzić od napływających powiadomień z ostatniej doby.

– O BOŻE. O BOŻE. O BOŻE!!! – piszczała tymczasem Oleńka, płasząc wokół głazu razem z Wolfem. – JESTEŚMY W INTERNECIE!!!

– Co?...

– Jesteśmy w internecie – powtórzyła już normalnym głosem Margo Mesjasz. Przechadzała się statecznie w okolicach głazu, jak gdyby wołała trzymać się na obrzeżach tego oblędu, nawet za cenę przeoczonych połączeń i wiadomości. – Podobno.

Wolf tylko na nią fuknął i podsunął Mogile telefon, na którym wyświetlało się jakieś zatrzymane nagranie. Puknął palcem w „odtwórz ponownie”.

Niespełna dwuminutowy filmik stanowił kompilację obydwu nagrań – tego z blogerem i kierownikiem pecha oraz tego z autorami zmierzającymi po szutrze na warsztaty, które miały przed nimi otworzyć wrota kariery.

„PRZED NAMI CZTERY DNI PEŁNE EMOCJI, CZTERY DNI... ZBRODNI!”, zaczynał swój monolog Maniecki. „Poznajcie śmiałków, którzy staną twarzą w twarz z własnymi słabościami i pragnieniami, spojrzą w najgłębszą otchłań ludzkiej duszy... BY ODNALEŹĆ W NIEJ ZBRODNIĘ, KTÓRA WAMI WSTRZAŚNIE”.

Tu następowało długie ujęcie z czwórką autorów przemierzających szutrowy podjazd niczym jedyni sprawiedliwi rewolwerowcy przeżarte korupcją i muzyką country miasteczko na Dzikim Zachodzie.

„Czy podejmą wyzwanie?”, pytał w tle Maniecki. „Czy przetrwają tę szkołę życia? A przede wszystkim... DO CZEGO SIĘ POSUNĄ W POGONI ZA SŁAWĄ?...”.

Pierwsze i ostatnie słowa blogera dodatkowo podkreślała dramatyczna muzyka. Po drodze było trochę zwolnionego tempa, trochę śmiesznych efektów wizualnych, jak gdyby warstwy obrazu się rozjeżdżały, każda na dodatek w innym kolorze, niczym w kalejdoskopie. Mogiła nie znała się na trendach rządzących aktualnie social mediami, ale na jego gust wyszło to nawet ciekawie.

– Ale to chyba tak miało być – przypomniał. – Czy nie miało?

– NO NIE!!!

– Jak to nie? Przecież...

– Nie oznaczył mnie! Nie oznaczył!!! – zawył z wściekłością Xavier F. Wolf, przesuwając palcem po ekranie, aż pojawiły się jakieś napisy usiane znaczkami. – Pan to widzi?! Czy pan to widzi?! To... to... to jakaś kpina! Oszustwo! Znowu to samo! Ja... nie, ja tego tak nie zostawię, ja złożę na niego skargę!!! Gdzie tu się składa skargi?!

– Skargi organizacyjne przyjmuje kierownik promocji w dni powszednie między obiadem a popołudniowym blokiem warsztatowym – wyrecytował Michał Mogiła.

Nie bez powodu szczyił się zdrowymi odruchami trzeźwo myślącego człowieka, dlatego natychmiast doszedł do wniosku, że wnikanie w te sprawy zostawi bardziej kompetentnym od siebie. Czym prędzej wyszedł naprzeciw Arkadiuszowi Krawczykowi, który właśnie zmierzał w ich stronę.

– Michaś, im gorzej? – zapytał Krawczyk półgłosem, kiedy się zrównali. – Słyszać ich z kilometra.

– To chyba z wrażenia. Znaleźli zasięg i się zaciągnęli.

– BOŻE. BOŻE. JAK JA WYGLĄDAM. BOŻE – spazmowała raz po raz nad swym telefonem Oleńka, a Margo Mesjasz przewracała oczami i powtarzała monotonicznie:

– To tylko filtr. To. Tylko. Filtr.

– Ale jak ja wyglądam!!! Jak on mógł mi to zrobić?! I to tak... tak... TAK DO LUDZI?!

– Bo nie miałaś wyglądać jak gwiazda na czerwonym dywanie, tylko jak rasowa autorka skandynawskiego kryminału.

– A wyszedł skandynawski *rigor mortis* – podsumował Troszczaniec i zarechotał z własnego konceptu, czym wprawił Oleńkę w oburzenie.

– No tak. No tak! Oczywiście!!! Niczego innego się po nim nie spodziewałam!!!

– Michaś... – Niski pomruk sekretarki na powrót oderwał Michała od śledzenia tego melodramatu, który potęgą ekspresji bił połowę tureckich telenowel. A może nawet i koreańskich. – Skoro tu jest zasięg, to może by spróbować wydzwonić tego Manieckiego, co? A nuż odbierze.

Fakt. Telefonu Manieckiego nie było w jego pokoju razem z resztą rzeczy, czyli pewnie blogger miał go przy sobie. Powinien odebrać, o ile miał zasięg i nie stało mu się nic złego. Zresztą, odbierze czy nie, tak czy siak zyskają jakieś informacje. Tylko najpierw musieli się pozbyć świadków.

– Proszę państwa, proszę opuścić głąz! – rozkazał służbowym tonem Mogiła. – Przypominam, że macie państwo zadanie do zaliczenia. A czas płynie.

„Jak owsianka w odciskach stóp...”, dodał w myślach, zerkając najpierw za siebie, na ich budynek, potem zaś w górę, na ołowiane niebo, które wyraźnie przymierzało się do deszczu. Ten kolor o czymś mu przypominał.

– Ty masz to co oni? – zwrócił się do Krawczyka, kiedy wzburzeni autorzy z nieskrywaną, a w przypadku Wolfa nieco ostentacyjną niechęcią oddalili się z powrotem do swoich śladów, by sprawdzić stan skupienia fińskiej owsianki.

– Pierdolca?

– Nie, tę aplikację, do której Maniecki wrzucił film. Chciałbym go jeszcze raz obejrzeć.

ROZDZIAŁ 11

Wojciech Szumski, uporawszy się wstępnie z Juchą, postanowił odnaleźć Mogiłę i ustalić z nim dalszy plan działania. Najlepiej w miarę spójny, gdyż to, jak podpowiadało Sztynnemu doświadczenie, zwykle zwiększało szanse powodzenia. A im się musiało powieść. Po prostu musiało. Nie mogli ryzykować uwikłania w kolejną kryminalną aferę.

Gdy tylko Sztynny wyszedł przed budynek, natknął się na wielce nabzdyczoną Oleńkę, która postanowiła wykorzystać tę okazję i ruszyła ze skargą na oburzające praktyki blogerskie i czynienie szkód w wizerunek. Jej wizerunek! Sztynny stał jak wryty i próbował jednocześnie zrozumieć coś z tego, co wylewała z siebie autorka, jak i ogarnąć rozumem, dlaczego nasuwała mu skojarzenia z atakującą kobrą. Bardzo dziwną, wełnianą kobrą w wianku ze sztucznego kwiecia, które nieco przykłało pod wpływem wilgoci. Dopiero na wieść o odkryciu cudownego źródelka zasięgu kierownik pecha odzyskał władzę nad ciałem. Przerwał Oleńce uprzejmie, lecz stanowczo, obiecał rozważyć i natychmiast pospieszył do głazu. Zasięg, tak? Doskonale. Miał opierdół do przekazania.

Na miejscu zastał Mogiłę i Krawczyka w przedziwnej pozycji. Starszy posterunkowy garbił się nad swoją komórką, z ramionami przyciśniętymi ciasno do tułowia, podczas gdy sekretarka tkwił w niepełnym przykucu na głazie i balansował nad nim z szeroko rozpostartymi ramionami. Szumski chyba przekroczył jakąś masę krytyczną, bo po wełnianej kobrze umysł podsunął mu matkę mewę kołującą nad bezcennym jajkiem. A pierwszy raz widział mewę z taką brodą...

– Wam gorzej?

– Pan kierownik wybaczy, ale tylko tak łapiemy mocny sygnał – rzucił sucho Krawczyk. Ani drgnął, chociaż gład pod jego stopami był nierówny, na dodatek wilgotny. Każdy inny człowiek na miejscu sekretarki ześlizgnąłby się z niego ze trzy razy, łamiąc za jednym zamachem kończyny, kark i konwenanse. Lecz nie on, potężny mocą mięśni głębokich i jeszcze głębszej samokontroli. – Michaś instaluje soszjale.

– Po co? – drażył nieustępliwie Szumski, lecz skupienie na skomplikowanym procesie instalacji social mediów było tak wielkie, że jego drugie pytanie zostało całkowicie zignorowane.

– Okej, chyba już mam aktywne konto – poinformował Mogiła z zadowoleniem. – I gdzie to się teraz klika?

– No tu. Tu. TU. – Krawczyk na moment opuścił rękę i puknął w ekran telefonu. – Oj, Michaś, Michaś... Ty jakiś taki niedzisiejszy.

– Za to mnie kochasz.

– Fakt. Teraz wpisujesz: m-a-n, podkreślnik... Michaś, to ta kreska na dole... i po podkreślniku maniecki. Małą maniecki, nie dużą, to social media, nie dyktando. Dobra. I tu masz rolki, pod tym znaczkiem. Potem ci powiem, jak znaleźć moje konto. Nie chcę się chwalić, ale jestem mistrzem samejebek.

Sztywny założył ręce na piersi i przycisnął, żeby zdusić warkot, który w nim wzbierał.

– Mogę zapytać, skąd u pana ten nagły pociąg do podziwiania królów Instagrama?

– Maniecki wrzucił nagranie o waszych warsztatach – wyjaśnił Mogiła, przypatrując się przez chwilę uważnie kierownikowi pecha.

Czy mu się wydawało, czy dosłyszał osobliwą zaczepkę w jego głosie?

– Kiedy?

– Nie wiem, ale chciałbym je obejrzeć jeszcze raz, bo coś mi tam nie gra.

– Niech pan pokaże.

– Och, proszę. – Sekretarka cmoknęła soczyście. – Pan kierownik wystąpi gościnnie w roli eksperta?

– Tak. Z reguły znam się na rzeczach, za które mi płacą. I za które ja płacę innym.

Zabrzmiało to jeśli nie przekonująco, to z pewnością jak wyzwanie warte podjęcia. Krawczyk tylko zamruczał pośród brody. Policjant wręczył kierownikowi pecha swoją komórkę z odpaloną aplikacją i gdy Szumski uruchomił nagranie, zawiśli nad nią we trzech, acz już w normalniejszej konfiguracji.

– Faktycznie, jakieś to takie... złowrogie – przyznał Krawczyk, kiedy filmik dobiegł końca.

– Filtry – orzekł Szumski takim tonem, jak gdyby to wszystko tłumaczyło.

– Filtry? – powtórzył za nim Mogiła. – Już to dziś słyszałem. Może pan rozwinąć?

– Nic nadzwyczajnego. Maniecki obrobił materiał wyjściowy. Montaż, odpowiednia dynamika, efekty wizualne, dźwiękowe. Żadne tam wodotryski, ale w odpowiednich rękach nawet najprostsze narzędzia mogą dać świetny efekt. A na to wszystko na koniec nałożył filtry, które zmieniły kolorystykę obrazu.

Policjant przypomniał sobie określenie, którym posłużyła się Margo Mesjasz. I chyba jeszcze ktoś.

– Skandynawski kryminał? – strześlił, licząc, że w coś trafi.

– Tak, to właśnie ta paleta. – Szumski pokiwał głową z uznaniem. – Bardzo charakterystyczna, świetnie się przyjęła. Ludzie ją widzą i od razu czują, że tu zaraz padnie trup. No i swoje robi też kąt, rzecz jasna.

– Kąt? Gdzie?

– Niech pan się przyjrzy... – kierownik pecha zawiesił palec nad ekranem i po paru sekundach spauzował nagranie – ...o, temu ujęciu. Jestem sporo wyższy od Manieckiego. Ale to on nagrywał. Przy takim kącie, jaki przyjął, on jest dobrze widoczny, patrzy prosto w kamerę, otwarcie, jakby nie miał nic do ukrycia, a ja muszę przechylać głowę, zerkać spode łba i przez to wychodzę jak rasowy psychopata. Zwłaszcza z tą muzyką w tle. Niby drobiazg, ale już ładnie gra na podskórnych skojarzeniach odbiorcy. Gdyby Maniecki przełożył kijek do drugiej ręki, nie uzyskałby takiego efektu.

– Więc czemu tego nie zrobił?

– Zakładam, że nie chciał. Maniecki wykoncypował sobie pewien klimat, pewien efekt, a potem go konsekwentnie uzyskał. Poza tym... – Usta Sztynnego na ułamek sekundy wygięły się w kpiący uśmiech. – Social media karmią się ludzką próżnością. Ludzie chcą wyglądać dobrze, a nie prawdziwie, nawet jeśli im się wydaje, że nie przywiązują do tego wagi. Mają też swoje nawyki. Robią selfiki zawsze z lewej albo zawsze z prawej ręki, z góry albo z dołu. A na ujęciach zbiorowych ten, który trzyma telefon, zawsze skupia się na sobie. Jasne, upewni się, że wszyscy są w kadrze, ale do publikacji wybierze takie ujęcie, na którym to on wyszedł najlepiej. A że inni wokół niego wyglądają jak radosne kartofle albo Cillian Murphy wsiadający na pokład samolotu z bagażem podręcznym i morderczym planem? – Wzruszył ramionami. – Bywa.

– Rozumiem. – Mogiła pokiwał głową. Rzeczywiście, odnosił wrażenie, że kierownik pecha znalazł się na rzeczy. Ale wciąż nie opuszczało go tamto... jak to ujął Szumski? Podskórne skojarzenie, jakie budził w nim film, który Maniecki wrzucił do rolki. Zostawił je sobie na potem, teraz chciał jeszcze ustalić coś innego, coś bardzo istotnego. – Takie pytanie, panie Wojtku. Pan ma jego numer? Manieckiego?

Oczywiście, że miał. Sztywny bez słowa wyciągnął komórkę i odnalazł numer, który na wszelki wypadek zapisał sobie jeszcze przed wyjazdem. Wybrał zielony przycisk połączenia i od razu przestawił na tryb głośnomówiący.

Po trzecim lub czwartym sygnale w urządzeniu odezwał się męski głos:

– *Ahoj!*

– Maniecki został marynarzem?... – wyszeptał Krawczyk.

Trzej zbaraniaли mężczyźni gapili się w telefon, który przemawiał do nich z nieustającą życzliwością:

– *Haló? Martínku? Martínku, neslyším tě. Haló? Halóóó?*

– A, no tak. SORRY! – rzucił Sztywny do głośnika i przerwał połączenie. – Przełączyło mnie na czeską sieć i podszyłem się pod jakiegoś Martínka. Jesteśmy już w zasięgu.

Sprawdził i rzeczywiście, dostał esemesa z powiadomieniem o wejściu w roaming. Szybko poprawił numer Manieckiego, dodając na początku kierunkowy na Polskę, i jeszcze raz wcisnął zieloną słuchawkę. Tym razem jedyne, co usłyszeli, to sygnał oczekiwania na połączenie.

– Moja wątpliwa znajomość czeszczyzny podpowiada mi, że Maniecki nie odbiera – odezwał się Krawczyk, kiedy oczekiwanie to okazało się koniec końców nadaremne.

– Krasnolud, sekretarka, poliglota – podsumował Mogiła. I wtedy poczuł na policzku delikatne muśnięcie pierwszej kropli, a zaraz po nim drugiej, trzeciej. Niebo długo wstrzymywało się od opadów, lecz w końcu nie zdzierżyło. – Jasny gwint... Pilnujcie Juchy, muszę wracać!

W ostatniej chwili zdążył wygrzebać zabezpieczony za ledwie wstępnie, bo nie do końca stężały odlew z fińskiej owsianki razem z kawałkiem ziemi i wsadzić do woreczka strunowego. Kiedy wreszcie skrył się w budynku razem z bezcennym dowodem rzeczowym, deszcz

coraz zapamiętałej łomotał o blachodachówkę, aż echo się niosło. Mogiła jednak nie odetchnął. Trzymał odlew w wyciągniętych rękach odciskiem stóp do góry i modlił się do wszelkich bóstw kryminalistyki, żeby wybaczyły mu to bluźnierstwo.

I może jeszcze, żeby się Pozgonny nie dowiedział – inaczej do emerytury będzie wodził za młodszym kolegą wzrokiem głęboko zasmuconego mopsa.

Na korytarzu starszego posterunkowego powitał jednostajny szum. Z początku Mogiła sądził, że to Krawczyk zdążył już wrócić i szykował kolejne podejście do koncepcji zbiorowego żywienia za indywidualny budżet, zdał sobie jednak sprawę, że źródło tego dźwięku znajdowało się kawałek dalej. W pokoju warsztatowym.

Zgodnie z poleceniem autorzy zebrali się tam w komplecie – każde ze swoim odlewem z fińskiej owsianki. To jest każde z wyjątkiem Juchy, która przysiadła sobie z boku i jak gdyby nigdy nic dziergała rządek na drutach. Tymczasem pozostała czwórka, wciąż w kurtkach, ustawiła się w kręgu i śledziła w skupieniu, jak Oleńka Kulczańska suszyła owsiankowe odlewy za pomocą profesjonalnej suszarki z doczepionym dyfuzorem. Rozmiar urządzenia sugerował, że w razie potrzeby mogłoby zastąpić silnik w sporym samolocie.

– Zimny nawiew – wyjaśniła, gdy zorientowała się, że Mogiła stoi w drzwiach i przygląda się jej poczynaniom z lekkim przerażeniem w oczach. – Suszy wolniej, ale delikatniej, zamykając przy tym łuski włosa. Owsianki. Chwila. Czy owsianka ma łuski?...

Niestety, nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie. Przekonawszy się jednak, że metoda działa, nie czyniąc przy tym żadnych szkód w owsiance, Mogiła postanowił zaryzykować i ostrożnie podsunął swój odlew do wysuszenia razem z resztą. Na koniec nastąpiło komisyjne oswobodzenie Oleńki z szalika, zaplecionego tak, że Margo Mesjasz musiała ruszyć koleżance z odsieczą, w przeciwnym razie skończyłoby się na cięciu.

– Ja znalazłam ślady sarenki! – pochwaliła się uwolniona Kulczańska, kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca i mogli oddać się analizie zabezpieczonych śladów. Dumna i zarumieniona zaprezentowała wszystkim swój odlew.

– Dzika – poprawił Xavier F. Wolf. – Znalazłaś ślady dzika.

– A to... to ja nie chcę.

– Ktoś tu uważał w przedszkolu – rzucił kąśliwie Troszczanec.

– Och, to nic takiego. – Wolf machnął lekceważąco ręką. – W kręgach, w których obraca się moja mama, polowanie to element wielopokoleniowej tradycji. Stąd wiem takie rzeczy. Jak widać, we właściwych rękach wiedza to broń największego kalibru. W niewłaściwych... cóż. Spuśćmy na to zasłonę milczenia...

Michał Mogiła owszem, chętnie by coś spuścił na tego nadętego glancusia, choć niekoniecznie zasłonę, lecz naraz włosy stanęły mu lekko dęba. Przecież Wolf miał rację. Wiedza to broń. I to dosłownie. W tym również wiedza, którą policjant dzielił się z autorami w ramach warsztatów, a którą oni mogli wykorzystać do różnych celów, nie tylko literackich. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Czy aby na pewno powinien dawać im ją do ręki, na dodatek ze szczegółową instrukcją użycia? A jeśli któreś z nich miało coś wspólnego ze zniknięciem blogera? Albo wiedziało coś, co naprowadziłoby go na trop Manieckiego? Sęk w tym, że nie mógł zapytać wprost. Za to mógł zrobić coś innego, uświadomił sobie – porównać podeszwy ich butów z odlewem, który własnoręcznie sporządził. W miarę dyskretnie, rzecz jasna, żeby nie wzbudzić niczych podejrzeń, ze szczególnym uwzględnieniem Juchy.

Niestety, również Margo Mesjasz zabezpieczyła ślad leśnego zwierzątka, a Troszczaniec pochwalił się nie do końca udanym odlewem opony. Mogiła zaczął się powoli godzić z myślą, że jego podstęp się nie powiedzie, kiedy okazję do porównań dał mu wreszcie bardzo zadowolony z siebie Xavier F. Wolf.

– Proszę bardzo, oto piękny odcisk stopy. Znalazłem go obok budynku. Tego... uwaga, uwaga... trzeciego!

– To tu jest trzeci budynek?! – Oleńka nie posiadała się ze zdumienia.

– I to jaki! W ogóle nie rozumiem, czemu gnieździmy się w tej ruderze, skoro tam są takie warunki. Ale cóż. Moja mama zawsze powtarza, że prawdziwy trud hartuje ciało i ducha. Dlatego kupuje dwuwarstwowe chusteczki do nosa.

Jucha, która do tej pory zachowywała wstrzemięźliwe milczenie, prychnęła, szybko jednak zamaskowała swoją reakcję niemalże gruzliczym kaszlem. Nachyliła się nad odlewem.

– Na moje oko jakieś czterdzieści dwa – rzuciła. – Męskie.

– Ja noszę czterdzieści dwa. Damskie. – Margo Mesjasz podsunęła stopę celem dokonania porównania. Odcisk wydawał się minimalnie

większy od jej buta, a w dodatku ewidentnie różnił się od bieżnika charakterystycznego dla uggów: nie miał ani śnieżynki z klinów, ani koncentrycznie ułożonego wzoru, tylko zwyczajne, proste rowki, typowe raczej dla obuwia miejskiego.

Mogła prawie zapałała ze szczęścia, kiedy reszta kursantów poszła za przykładem koleżanki i też zaczęła porównywać własne podeszwy z zaprezentowanym odciskiem. Robili to z taką pieczołowitością i zaangażowaniem, że zdążyłby dwa razy przyjrzeć się ich obuwiu, w tym policzyć rowki w bieżnikach.

– Blisko, pani... tak. Czterdzieści trzy. – Mogła na koniec zaprezentował swoją podeszwę, żeby mogli porównać jej rozmiar, kształt i wzór z odlewem Wolfa. Tym razem wszystko zgadzało się co do joty. – Czyli został nam ostatni odlew. Ten jest ciekawy, bo niepełny, jak sami państwo widzicie. To nam trochę utrudnia określenie rozmiaru buta, choć obstawiałbym raczej mężczyznę. Lećmy dalej. Podeszwa? Podeszwa z grubym, wyraźnym bieżnikiem, chyba turystyczna albo robocza.

– Trekkingowa – poprawił nieoczekiwanie Wojciech Szumski. Tak bardzo skupili się na odlewach z fińskiej owsianki, że nikt nie zauważył, jak kierownik pecha ponownie dołączył do warsztatów. Teraz podszedł bliżej i rzucił okiem na omawiany ślad. – Solidna, choć nie na wyprawy wysokogórskie. Raczej na nieutwardzone drogi, kamienie, niższe partie gór.

– Ciekawe. – Michał Mogła z uwagą zlustrował mężczyznę. – A skąd takie przypuszczenie?

– Sam takie noszę. Od lat.

– O. No i proszę. Widzicie państwo? Na tym to właśnie polega. Na łączeniu dowodów rzeczowych z zebranymi informacjami, opiniami specjalistów, zeznaniami świadków i tak dalej. Jak takim sznureczkiem. I to działa w obie strony! – podkreślił Mogła. – Bo czasem patrzymy na dowody rzeczowe przez pryzmat tego, co wiemy na temat czyjegoś hobby, nawyków, stanu zdrowia i tak dalej, co nie? A czasem przeciwnie! Wyczytujemy tego rodzaju informacje z dowodów rzeczowych. Jak w tym przypadku. – Wskazał na swój odlew. – Nie potrafimy określić, do kogo należy ten odcisk stopy, ale dzięki panu Szumskiemu wiemy... wiemy... wiemy... – powtarzał, zdjęty nagłym niepokojem, gdy naraz napotkał zaintrygowane spojrzenie Juchy i czym prędzej się opamiętał. Odchrząknął. – Przepraszam, myślałem,

że kichnę, ale... coś chyba nie wyszło. Dobrze. W każdym razie wiemy, że osoba, która zostawiła ten ślad, może pasjonować się turystyką pieszą.

Czy Juchę tak znudziły warsztaty dla laików, czy też zrobiło jej się tęskno za dawną profesją, tak czy siak nieoczekiwanie postanowiła się wtrącić.

– Gdybyśmy dysponowali odpowiednimi narzędziami, moglibyśmy po wzorze podeszwy ustalić model i producenta i już na tej podstawie oszacować rozmiar buta po szerokości śródstopia. A gdyby się okazało, że jest to specjalistyczny model sprzedawany w jedynym autoryzowanym sklepie na terenie kraju między styczniem dwa tysiące dwunastego a listopadem dwa tysiące trzynastego roku, moglibyśmy odnaleźć dokumenty sprzedaży pary w tym modelu i w tym rozmiarze i sprawdzić dane karty, a jeśli płatność nastąpiła gotówką, to porównać datę i godzinę zakupu z zapisami monitoringu. – Podniosła głowę znad robótki i zorientowała się, że autorzy wpatrują się w nią niczym Czerwony Kapturek w zaskakująco zębatą babunię. Uśmiechnęła się dobrodusznie. – Och, tak sobie dywaguję. Widziałam wszystkie sezony *Ojca Mateusza*. Olaboga, laboga, chyba zgubiłam oczko.

– Na przykład – potwierdził Mogiła, marszcząc brwi. – Chociaż obuwie sprawcy rzadko jest aż tak wyjątkowe jak... sam nie wiem...

– Rytualny kindżał? – podsunął Xavier F. Wolf.

– Chociażby. Tak. Dlatego tworząc postacie ofiary i sprawcy, musicie pamiętać nie tylko o portrecie psychologicznym. Rodzaj obuwia, które nosi ta postać, jakie pali papierosy, jakich używa perfum, czy preferuje odzież z lnu, poliestru, wełny, bawełny.

– A co za różnica?

– Mówi pan, że żadna? – Mogiła pokiwał głową z uznaniem dla tej dezynwoltury Troszczańca. – Okej. To mam taką śmiałą propozycję. Proszę wbić na jeden dzień goły tyłek w gacie z czystej wełny i podzielić się potem wrażeniami.

– To się nazywa research – rzucił kąśliwie Wolf do drugiego autora. – Profesjonaliści tak robią. Szukają informacji i doświadczenia różnych rzeczy na własnej skórze, żeby je potem opisać.

– Żaden research, psia twoja myśliwska mać, tylko kwerenda – warknął Troszczaniec. – I nie ucz ojca dzieci robić. Pracowałem na kutrze, stałem za barem i szorowałem kible na dworcu. Nurzałem się w doświadczeniach pierwszoosobowych, kiedy ty rznąłeś w pampersa.

– Nie rozmawiam z tak prymitywnymi osobami, więc odwal się ode mnie.

– Ale to ty dzwonisz.

Bezblędnie wietrząc wiszące w powietrzu mordobicie, Jucha wkroczyła ponownie. Tym razem jednak nie wyszła z roli. Wprost przeciwnie – weszła w nią jeszcze głębiej.

– Och, tak. Gdyby moja sąsiadka wiedziała wcześniej, że jej zięć szasta pieniędzmi na figurki, żeby potem jeździć z rodziną pod namiot, myć się w rzece i szczać po krzakach, zamiast jak człowiek wybrać się do kurortu, do Mielnia chociażby albo do Łeby, o, pokazać dzieciom świat, atrakcje, tłumy, hazard... A ten woli kupować jakieś pokraki, i żeby to jeszcze porządne, pomalowane, ale nie, to trzeba samemu, więc on siedzi i maluje, i jeszcze niewinne dzieci w to wciąga! Więc gdyby moja sąsiadka wiedziała wcześniej, że to tak będzie, to by im w życiu nie dała klasycznego serwisu obiadowego po prababci na dwanaście osób z sosjerką w prezencie ślubnym, żeby nie wspierać takiej umysłowej patologii. Och, tak, tak. Warto wiedzieć o ludziach to i owo, człowiek unika wtedy wielu przykrych niespodzianek.

Najwyraźniej incognito Juchy obejmowało nie tylko konsekwentne maskowanie kolorystyczne i robótki ręczne, ale też bogaty repertuar anegdot z warstwą potępienia oraz wyrazistą stylizację fonetyczną. Z jakiego jednakże powodu uznała, że jako przeciętna współczesna emerytka powinna wymawiać eł na przedwojenną modłę lwowską, tego Mogiła chwilowo nie był w stanie ustalić. Głównie dlatego, że znów go przytknęło.

– A dlaczego niepełny? – Ze wstrząsu wyrwał Mogiłę dopiero zaciekawiony głos Margo Mesjasz, która najwyraźniej przetrwała Mielnio i hazard szybciej niż on.

– Słucham?

– Powiedział pan, że ten odcisk jest niepełny. Dlaczego?

– No więc... – zaczął Mogiła i w ostatniej chwili ugryzł się w język. Stanowczo nie powinni wiedzieć, że w jego przekonaniu ktoś w tym miejscu zeskoczył z dachu. Uruchomiłby w ten sposób tornado pytań, na które nie zamierzał udzielać odpowiedzi. Nawet gdyby je znał. Zdecydował się zatem na unik. – W tym momencie to nieistotne.

– No jak? – Jusze opadły ręce razem z robótką. – Co ty im za fiński kit wciskasz?

– Pani ko... kochana, proszę zaufać procesowi. W tym momencie...

– No przecież taki kształt odcisków stóp może się brać z...

– W TYM MOMENCIE TO NIEISTOTNE!!!

W pomieszczeniu zapanowała grobowa cisza. Mogiła pomału nabrała powietrza przez usta. No cóż. Żegnaj, kariero. Żegnaj, awansie. Jedyne, co mogło mu uratować tyłek przed smutnym losem wiecznego posterunkowego w mieście powiatowym, to znalezienie Manieckiego rozwleczonego rytualnie i spektakularnie, z kindziałem bądź bez. Może wtedy Jucha uznałaby łaskawie, że kierowała nim wyższa konieczność. Może.

Była komendantka przez chwilę wpatrywała się w niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, po czym spokojnie, bez nerwów podniosła robótkę i zaczęła liczyć oczka.

– Nie chciałbym zaciemniać państwu obrazu – podjął Mogiła, gdy już odzyskał panowanie nad głosem. – Zebranie różnych informacji z miejsca przestępstwa, nawet takich z pozoru niezwiązanych ze sobą, może doprowadzić do sprawcy. I na tym się skupcie, okej? Naprawdę, im więcej wiecie, tym lepiej dla waszej historii. Zara, Gucci, traumy, radość na paśmie życia, tak, to też uwzględnijcie, oczywiście. Ale pamiętajcie, że dotarcie do niektórych informacji może wymagać uruchomienia kontaktów, dotarcia do baz danych, użycia specjalistycznych narzędzi, a przede wszystkim czasu. Bo wbrew temu, co pokazują w amerykańskich serialach, na wynik badań toksykologicznych czeka się tygodniami. Nie pół odcinka. I na tym zakończmy poranny blok warsztatowy, gdyż teraz... Teraz pan kierownik przyjmie państwa skargi.

ROZDZIAŁ 12

Zanim Sztywny zdążył zaprotestować przed tak bezczelnym zagranieniem, Mogiła był już na korytarzu i pędził schodami na piętro. Schował beczenny odlew, zbiegł z powrotem na parter, ignorując krzyki, które dobiegały z pokoju warsztatowego, wpadł przelotem do jadalnianego, gdzie wydebił od Krawczyka numer, a potem pospieszył do cudownego głazu. Musiał zadzwonić, zanim Jucha wyrwie mu krtań przez odbyt metodą długiej i bolesnej perswazji.

Po wykonaniu serii ciekawych wygibasów złapał zasięg i nawiązał połączenie. Półprzysiad ze skrzytem tułowia nie był może ani naturalną, ani wygodną pozycją do dłuższych konwersacji, ale przynajmniej udało mu się schować dłoń razem z telefonem pod kapturem. Na domiar złego zaczęło zawiewać i deszcz zaczął teraz pod dość ostrym kątem. Mogiła czuł, jak z tyłu ud dzinsy stopniowo nasiąkają mu wodą.

– CO ZNOWU! – huknęło mu do ucha po drugim sygnale i niewiele brakowało, żeby z tego zaskoczenia wypadł z zasięgu.

– Dzień dobry, pani Danielo, starszy posterunkowy Michał Mogiła – przedstawił się czym prędzej.

Aż się zachłysnęła własnym oddechem.

– Rany boskie, przepraszam!!! Bardzo pana przepraszam! Myślałam, że to kolejny telemarketer, coś się dzisiaj uwzięli, a ja nie mam do nich tyle cierpliwości co Areczek. Nie wiem, doznali jakiegoś wzmożenia, już trzech dzwoniło od rana, próbują nadrobić wczorajsze wolne czy jak? Fakt, my też dziś pracujemy, w obliczu plajty jakoś nikt nie ma nastroju do świętowania, ale... Dobra, nieistotne. Przecież nie po to pan dzwoni. W czym mogę pomóc? Czy coś się stało?

– Pani Danielo, potrzebuję pewnych informacji, a tu... – Wyjrzał spod kaptura na niebo, które dopiero się rozkręcało i do strug deszczu dołożyło efekty dźwiękowe. – No tu nie do końca mam warunki, żeby cokolwiek znaleźć. Muszę się dowiedzieć czegoś więcej o autorach i tym blogerze, który z wami współpracuje. Rafale Manieckim. Bo to pani go znalazła, prawda?

Po drugiej stronie zapadła cisza, która trwała i trwała, aż Mogiła zaczął się niepokoić, że może wysunął się jakoś z zasięgu i go rozłączyło.

– Halo?

– Sztywny panu nie wspominał? – odezwała się wreszcie. – Rozmawiałam z nim przecież, nie wiem, z godzinę temu? Na pewno jeszcze przed szesnastą.

Mogila zacisnęła mocno wargi, aż do bólu.

– No nie. Jakoś się nie złożyło.

– Co on, zdurniał czy co? – wymamrotała Daniela. – Co do autorów, to nie powiem panu zbyt wiele – przyznała od razu, kiedy Mogila streścił pospiesznie, w jakim celu zadzwonił. – Selekcją zgłoszeń zajmowała się Kasia Grzymska z tym swoim przydupasem Wafelkiem. Rany boskie, co ja wygaduję, Olafkiem, nie Wafelkiem... Przepraszam, naprawdę mamy tu dzisiaj kocioł. Spróbuję z niej coś wyciągnąć, ale... to nie takie proste.

– Czy coś się stało?

– Nie, nie... Znaczy... – Westchnęła. – Tak. Stało. Tylko błagam, niech pan nic nie mówi Sztywnemu, bo przysięgam, zemszczę się okrutnie. Wydarzyła nam się rano drobna katastrofa.

– Katastrofy chyba z zasady nie są drobne – zauważył Mogila. – O jakiej skali mówimy?

– Jakby wydawnictwo stanęło w ogniu, a my próbowalibyśmy je gasić psikającym jajkiem na wodę, takim wielkanocnym. Tylko najpierw musimy do tego jajka napluć, bo mniej więcej takie mamy możliwości techniczne i finansowe – odparła Majewska udręczonym głosem. – Otóż Kasia chciała sprawdzić w internecie pewien... szczegół.

– Coś mi mówi, że nie szukała tam przepisu na ciasto.

– No nie, nie tym razem. Chciała się dowiedzieć, co to są dikpiki.

– Dik... – Mogila na moment zaniemówił, gdyż przed oczami mignęło mu wspomnienie słodkiego dziewczątka w kwiecistej sukieneczce oraz, cóż, wzmiankowane zjawisko, którego szukała w internecie. Te obrazy nijak nie chciały mu się ze sobą połączyć w logiczną całość. – W sensie, że zdjęcia męskich...?

– Bardzo męskich. Widzi pan, Areczek coś parę razy chlapnął w temacie, Kasię to widać dręczyło, bo nie wiedziała, o co chodzi, a wyczuwała jakiś podtekst. Zna pan ją trochę, umarłaby z wrażenia, gdyby miała kogoś zapytać wprost, więc postanowiła dojść do tego tak bardziej... dyskretnie. No nie powiem, wyszło jej jak cholera. Z tą dyskrecją.

– Oj.

– A żeby pan wiedział, oj jak jasna cholera. Nie mam pojęcia, w jakie czeluści internetu ją poniosło ani w co kliknęła, ale... – Tu Daniela Majewska urwała, żeby westchnąć z rezygnacją. – Panie Michale, pracuję tu już ładnych parę lat i nigdy dotąd nie słyszałam, żeby Stalówka kłął.

Starszy posterunkowy Michał Mogiła z niejednego pieca chleb jadł, z niejednej powierzchni zeszkrobywał tkanki ludzkie, ale koncept klnącego Grzegorza Stalówki stanowczo przekraczał możliwości i granice jego wyobraźni. Co oznaczało, że katastrofa w wydawnictwie JaMas przybrała rozmiary biblijne.

– Wszystko nam padło na pysk – ciągnęła Majewska. – Jakiś szajs ekspresem zainfekował komputer Kasi, po czym wparował na nasz taki wspólny dysk sieciowy, gdzie trzymamy pliki, materiały i tak dalej, a stamtąd na pozostały sprzęt podpięty do sieci wewnętrznej. Zabezpieczenia mieliśmy chyba z patyczków po lodach, bo minuta, dwie i koniec, cześć pracy, rodacy. Nawet ten kombajn w sekretariacie zdurniał i drukował obsceniczne kolorowanki, póki nie wyciągnęliśmy mu wtyczki z gniazdka.

Tym razem Mogiła wyobraził sobie instalację naścienne-pośmiertną ku czci siostry Apostazji oraz stojące nieopodal urządzenie wielofunkcyjne, spluwające dikipikami prosto przed obliczem jaśnie dobrodziejki. Jacka Mastalerczyka chyba nie było dziś w wydawnictwie, w przeciwnym razie Daniela Majewska wspomniałaby zapewne o ofiarach śmiertelnych. Bo wobec takiego aktu profanacji majestatu ojciec dyrektor zszedłby jak nic na serce.

– W całym wydawnictwie ostały się tylko komputery Areczka i Sztywnego. Znaczący, tak nam się wydaje – doprecyzowała prędko Daniela – bo nikt się jeszcze nie odważył ich uruchomić. No i tak. Sztywny o niczym nie wie, dział redakcji leży, pech leży, Kasia na zmianę spazmuje i bredzi coś o... o ciecierzycy, rany boskie, nie wiem, o co jej chodzi z tą ciecierzycą?! A Stalówka krzesze iskry samym spojrzeniem i sypie słownictwem, o jakie nikt go nie podejrzewał. Próbuje coś zdziałać, bo on jeden ogarnia sprawy techniczne, tyle że tu trzeba fachowców. A fachowcom się niestety płaci...

No tak. Kolejny problem, który rozwiązałyby pieniądze rzucone w odpowiednim kierunku. Tyle że wydawnictwo w stanie przedagonalnym, spowodowanym martwym redaktorem, oszczędzało

na wszystkim i nie mogło sobie pozwolić na opłacenie fachowców. Nawet w obliczu inwazji dikpików na urządzenie wielofunkcyjne.

– Rozumiem – odparł Michał Mogiła, starając się zawrzeć w tym jednym słowie jak najwięcej współczucia. Nie tylko dlatego, że chciał sobie zaskarbić sympatię i wdzięczność Danieli Majewskiej. Komu nie zdarzyło się choć raz kliknąć w coś, w co klikać nie powinien, niech pierwszy rzuci kamieniem. – Byłbym jednak wdzięczny, gdyby udało się paniom, to jest pani i pani Kasi, znaleźć chociaż chwilę. To dość ważne.

– Jasne. Pewnie. Zaraz kopnę Kasię, żeby się ogarnęła. Zresztą to jej nawet dobrze zrobi, jak się skupi na czymś innymi niż męskie... no. A jak wrócę po południu do domu, siądę do komputera i postaram się wyszukać wam coś o Manieckim – obiecała solennie. – Teraz mogę panu powiedzieć tylko to, o czym już mówiłam Szytywnemu. Facet był tani, dostępny i bardzo taki... taki zajarany pomyślem, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Wypytywał mnie o scenariusz warsztatów, o autorów, antologię, generalnie o wszystko. Nawet o lokalizację czy różne kwestie związane już z produkcją. W sensie, że z wydaniem antologii. Jasne, w pięć minut znalazłabym panu dwudziestu blogerów z lepszymi statystykami, z lepiej dopasowanym profilem, tyle że dużo droższych. No cóż. Tak krawiec kraje, jak mu materii staje. A nam chwilowo stają tylko dikpiki.

Pożegnawszy się kilka minut później z Majewską, Michał Mogiła oparł się o cudowny głaz i pograżył w zadumie.

Rafał Maniecki nie wyszedł na wyjątkowo długi spacer, żeby uwiecznić piękno okolicznej przyrody celem sporządzenia kontentu, tylko zniknął – instynkt Mogiły nie miał już co do tego żadnych wątpliwości. Niestety, poza ewidentnym brakiem blogera w zamkniętym od środka pokoju wciąż nie dysponował żadnymi twardymi dowodami ani na samo zaginięcie, ani na ewentualny udział osób trzecich. Co najwyżej przypuszczeniami. Choć im dłużej nad tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Maniecki raczej nie stwierdził, iż całe to przedsięwzięcie jednak nie rokuje ani finansowo, ani wizerunkowo, i w związku z tym postanowił się wymiksować w trybie natychmiastowym. Zresztą, nawet gdyby uznał, że to jedyne rozsądne rozwiązanie, nie porzuciłby swoich rzeczy, a Mogiła nie musiałby się włamywać, żeby to w ogóle odkryć. Nie. Maniecki był napalony na ten projekt i nie kryłby się ze swoim

rozczarowaniem, wprost przeciwnie! Żądałby powtórek aż do zadowolającego skutku, który mógłby następnie przekuć w dopracowany kontent. Dlaczego więc zniknął bez słowa?

W tych okolicznościach Mogiła mógł jedynie czekać na więcej informacji od Danieli Majewskiej i liczyć, że naprowadzą go na jakikolwiek trop, a w tym czasie przejść się jeszcze raz po ośrodku. Kusilo go trochę, by wykorzystał autorów w roli psów tropiących – co prawda raczej wymuskanych kanapowców spuszczonech na moment ze smyczy niż rasowych gończych w swoim żywiole. Doszedł jednak do wniosku, że to kiepski pomysł. Może znów by im się poszczęściło i coś by znaleźli, ale po drodze zdeptaliby połowę śladów, nie wiedząc nawet, co czynią. Nie, tym musiał zająć się sam. Chociaż... było jeszcze coś, co mógł sprawdzić osobiście. Wsunął dłoń do kieszeni po telefon, odpalił Instagram i zaczął przeglądać zawartość profilu Manieckiego.

Z każdym kolejnym zdjęciem, z każdym kolejnym podpisem wzbierało w nim stopniowo znajome wrażenie. Coś tu było nie tak. Coś mu tutaj nie grało, nie pasowało do obrazka, którego się spodziewał. I tym razem nie chodziło o żaden filtr, chociaż tych Maniecki używał bez liku. Niestety, Mogiła nie znał się w ogóle na social mediach i kreowaniu kontentu, co oznaczało, że musiał wypytać Danię albo Sztynwego.

No właśnie.

Sztynwy.

Co się działo z tym człowiekiem? Mogiła pamiętał doskonale, że podczas przesłuchiwań, które zeszłego lata prowadzili w wydawnictwie JaMas w związku ze śmiercią Chojnowskiego, świeżo upieczony kierownik pecha zrobił na nim korzystne wrażenie. Ot, facet, który przychodził do pracy, żeby robić swoje, a nie zawierać przyjaźnie do grobowej deski. Owszem, jego chłód i skupienie na konkretach łatwo było wziąć za zwyczajną arogancję, co z pewnością nie przysparzało mu popularności wśród współpracowników, ale pod spodem krył się człowiek z właściwie ustawionymi priorytetami – fachowiec w miejscu pracy, troskliwy syn, psiarz i zapalony sportowiec w życiu prywatnym, do tego wszystkiego cięty jak osa na żółdnych dupków. Mogiła pomyślał sobie wtedy, że w innych okolicznościach mógłby tego gościa polubić. A teraz? Teraz już nie był tego wcale taki pewien. Od samego początku, właściwie odkąd Mogiła z Krawczykiem zobaczyli go wychodzącego z bramy, która oddzielała dwa podwórka przy ulicy

Górnicy, Wojciech Szumski zachowywał się dziwnie. Gdy tylko mógł, zniknął w pokoju na piętrze budynku, a gdy nie mógł, trzymał się na uboczu i milczał zawzięcie, wszelki *small talk* ucinając w zarodku. Autorów unikał, do sekretarki zaś i policjanta odnosił się z ewidentną, choć tłumioną kęśliwością. Nie żeby Arek nie pozostawał mu dłużny, wprost przeciwnie, warczał na kierownika przy każdej sposobności, ale... Mogiła zmarszczył czoło. No nijak nie dało się nie zauważyć, że od Sztynnego aż biło podskórne napięcie. Potem jeszcze ta jego niezrozumiała scysja z Manieckim, a teraz w dodatku zataił informację o swojej rozmowie z Danielą. Po co? Dlaczego?

Mogiła westchnął ciężko. Pozgonny by go rozgryzł w pięć minut... Usiadłby, spojrzął na człowieka i gotowe. On tak niestety nie potrafił. Musiał z mozołem drążyć, wiercić dziury w brzuchach świadków i podejrzanych, pieczołowicie gromadzić najróżniejsze klocki, a potem sprawdzać metodą prób i błędów, co się z czym łączyło, co zaś nie pasowało do niczego. Tymczasem świat był gotów podsunąć Pozgonnemu wszelkie potrzebne odpowiedzi pod nos, byle tylko ten dziwny facet przestał się tak gapić i zaczął znów mrugać.

No cóż. Mogiła pozostawało jedynie szukać nowych klocków, które dałoby się jakoś połączyć, trzymać Sztynnego w miarę blisko i czekać, aż pęknie. Albo chociaż się trochę rozszczelni.

ROZDZIAŁ 13

Wojciech Szumski wpadł na popołudniowy blok warsztatowy niczym burza z piorunami. Ktoś, kto nie znał kierownika pecha, mógłby to uznać za widok malowniczy, że nic tylko usiąść w oknie i wzdychając z tęsknotą, napawać się tym fenomenem. Cała reszta odłączyłaby czym prędzej co cenniejsze urządzenia od prądu i dla pewności schowała się w wannie.

– Przepraszam za spóźnienie, sprawy służbowe – wyjaśnił lakonicznie, nawet nie patrząc w stronę autorów.

Przysunął sobie wolne krzesło i rozłożył na nim laptop, do którego podłączył przenośny projektor. Gdy w końcu podniósł głowę i powiódł roziskrzonym spojrzeniem po pomieszczeniu, Oleńka aż zaszeleściła wianuszkami.

– Zaczynamy zatem. Podobno wszyscy państwo widzieli już nasz pierwszy materiał promocyjny, zatem... tak?

Margo Mesjasz, która ośmieliła się mu przerwać, unosząc rękę, rzuciła kierownikowi zdawkowy uśmiech.

– Nie wszyscy. Nie żebym się skarżyła.

– Rozumiem, że pani nie korzysta z social mediów?

– Nie. Uważam, że social media zżerają ludziom czas i szare komórki. A niektórzy nie mają ich aż tyle, żeby nimi szastać.

Xavier F. Wolf wzniósł oczy ku niebu.

– Och, wiem coś o tym! – zakrzyknął. – Oglądałem raz taki filmik, w którym jakaś kobieta przez minutę malowała sobie twarz na różowo. Nawet nie wiem po co. Ani czym, prawdę mówiąc.

– A po co to oglądałeś? – Mesjasz okazała głębokie zaintrygowanie.

– Tego też nie wiem. Ale jestem bogatszy o doświadczenie.

– Och, tak, te soł szal media są okropne, okropne! – Jucha zacmokała z dysgustem i na tym strategicznie poprzestała, jako że pojęcie o social mediach i internecie miała jeszcze mniejsze niż o robieniu na drutach. Jej robótka przyrastała konsekwentnie, tyle że z każdym kolejnym rządkiem traciła początkowy foremny kształt i coraz wyraźniej trąciła rombem.

– I dlatego lepiej mieć je po swojej stronie – podsumował Wojciech Szumski w nadziei, że to zakończy temat i pozwoli mu wreszcie przejść do sedna.

– Żeby z ładnej dziewczeczki nie wyszedł nagle skandynawski trup... – mruknął Troszczanec, na co Oleńka się nabzdyczyła, chociaż trudno było powiedzieć, czy bardziej wkurzył ją tą dziewczeczką, czy jednak trupem. W każdym razie zrobił to skutecznie.

Korzystając z chwilowego zamieszania, Sztynny prędko zajrzał do pliku kartek, które przyniósł ze sobą. Daniela wykazała się przezornością i wyposażyła go w scenariusz warsztatów, opatrzone odręcznymi dopiskami w rozlicznych kolorach. Oprócz prostych komunikatów w rodzaju: „cele projektu”, „porady od Kasi” czy „pamiętaj” zamieściła też bardziej rozbudowane uwagi, takie jak: „mów do nich, jakbyś chociaż trochę lubił ludzi”, „KONTAKT WZROKOWY!!!”, „sarkazm NIE JEST metodą komunikacji” i tak dalej. Mogły się wydawać obcesowe, świadczyły jednak dobitnie, jak dobrze Majewska знаła swojego przełożonego. Ogólne cele projektu, kwestie prawne, podstawowe elementy pracy twórczej... a tak, to od Kasi. Od... od pani Kasi. Była tak miła, że przekazała Danieli kilka wskazówek ze swojego poletka. Dzięki ich pracy Wojciech Szumski miał zatem jasny cel, jasne wytyczne – teraz musiał jedynie przełożyć teorię na praktykę.

Niestety, żadna z tych adnotacji nie wspominała o tym, co robić, kiedy najchętniej kazałby całemu towarzystwu iść w cholerę i nie wracać.

Sztynny oderwał się niechętnie od niejasnych myśli, jakie go naraz opadły, i spojrzał na piątkę autorów, którzy kłócili się zawzięcie o coś, czego zupełnie nie pojmował. „Gdyby ci ludzie byli pokemonami”, ni stąd, ni zowąd powstała mu w głowie taka niecodzienna myśl, „za moce mieliby parcie na sukces, cios pogardą, trzepot rzęs, stoicki spokój i drut w oczodole”.

– Proszę państwa, dla przypomnienia – odezwał się podniesionym głosem niczym nauczycielka starej daty, która już nie ma sił do tej współczesnej młodzieży. Metoda była może mało wysublimowana, lecz skuteczna, bo wreszcie zamilkli i skupili się na kierowniku. – Deklarując udział w tych warsztatach, zobowiązaliście się do wykonania pewnej pracy. Sugerowałbym zatem, abyście się na tym maksymalnie skupili. Tak? Tak. Zatem. Macie stworzyć opowiadania o tematyce kryminalnej, w terminie i objętości wyznaczonych przez wydawcę. Ukażą się w przyszłym roku w formie antologii. Planujemy szeroką dystrybucję. To znaczy, że książka będzie dostępna

w księgarniach sieciowych i kameralnych, internetowych i stacjonarnych. W ten sposób dotrzemy do możliwie szerokiego grona odbiorców.

– Znaczący... do czytelników? – upewnił się Xavier F. Wolf.

– Tak, zgadza się.

– Czyli... ludzi?

– Zazwyczaj.

– I oni to będą kupować?

– Miejmy taką nadzieję, że będą. Kupować i czytać.

– O Boże... – jęknął Wolf i osunął się na krzesło, jak gdyby miał zaraz zemdleć.

– A muszą? – zapytała Oleńka z nieśmiałą trwogą. – Naprawdę nie da się bez tego?

– Niestety – odparł krótko Wojciech Szumski, chociaż w głębi ducha darł się właśnie na całe gardło. – Rzecz jasna, otrzymają państwo egzemplarze autorskie.

– Ale to nie trzeba! – Oleńka Kulczańska zatrzepotała dłonią. – Kto by się przejmował takimi sprawami jak jakieś egzemplarze. My tu przecież jesteśmy, żeby przekuć radość i piękno naszych wnętrz w radosne i piękne słowa, które popłyną dalej w świat. My tylko po to tworzymy. Dla świata.

– Ale świat ma ich nie czytać, tak? – upewnił się kierownik pecha.

– No... no tak!

– Jakie to słodkie – zachwyciła się Jucha.

– Och, dziękuję. A... a co takiego?

– Takie oderwanie od rzeczywistości i przekonanie, że to nie dobra materialne motywują ludzi, tylko satysfakcja i piękno wewnętrzne. Niech zgadnę. Twoją życiową patronką jest Ania z Zielonego Wzgórza?

– Anne z Zielonych Szczytów.

– Skąd?

– Anne z Zielonych Szczytów – powtórzył Wolf. – Szczytów w rozumieniu architektonicznym, bo to one były zielone, nie wzgórze. Proszę sobie zaktualizować przekład. Moja mama mówi, że warto, a moja mama jest wielbicielek.

– Całe życie w kłamstwie...

– Satysfakcji nie mogę zagwarantować – podjął Szywny, podczas gdy Oleńka mierzyła się z sarkazmem, Jucha zaś z zawilościami

translacji – ale oprócz egzemplarzy autorskich będzie państwu przysługiwało również honorarium określone w umowie.

– Honorarium? – Tomasz Troszczaniec skrzywił się z obrzydzeniem. – A potem co? Etat w korpo i abonament medyczny?

– Pan zapewne wybrałyby pakiet zimnica, gruźlica i śmierć głodowa? Bez obaw, jest i taka opcja. – Po tej uwadze Sztywnego nastąpiła rytualna wymiana krzywych uśmiechów, po czym kierownik pecha kontynuował: – Mało komu udaje się zawojować świat i zbić majątek pierwszym opowiadaniem. Na rozpoznawalność, pozycję i sprzedaż pracuje się latami i są to lata ciężkiej pracy, chociaż przydaje się też spora doza szczęścia. Aczkolwiek debiutancką książką można się wbić w rynek, jasne, promocja zna i takie przypadki.

– A to jest bardzo ciekawe, co pan mówi. – Głos Juchy przywodził na myśl wczesny letni wieczór u ukochanej babuni, pachnący pierogami z jagodowym farszem i szczodrą warstwą cukru. – A czy promocja zna takie przypadki, że ukazuje się taka książka, powiedzmy, dla przykładu, no nie wiem, taki pierwszy tom romansu historycznego z momentami i wydawca zapewnia, powiedzmy, autorkę tej powieści, że wyciśnie z tego spektakularny bestseller, po czym następuje spektakularna kłapa?

A więc to o to chodziło. Stąd ten podstęp. Po to przyjechała tu nieoczekiwanie i podstępnie – żeby wziąć odwet, odplacić się pięknym za nadobne. No dobrze, skoro tak chciała grać... proszę bardzo. Szumski odruchowo ściągnął łopatki, jak gdyby szykował się do fizycznego starcia z byłą komendantką policji, chwilowo incognito pod warstwą weluru i pasteli.

– Owszem, zna. Natomiast chciałbym...

– O! Ojej. I co pan poleca na taki przypadek?

– Okład z drugiego tomu – odpowiedział chłodno. – Natomiast chciałbym, o ile pani pozwoli mi skończyć...

– Pozwolę.

– ...chciałbym zauważyć, że to, co powiedzmy autorka uznała za spektakularną kłapę, w oczach bardziej doświadczonego i obeznanego w realiach rynku wydawcy może być satysfakcjonującym wynikiem kwartalnym oraz perspektywą na przyzwoity longseller.

– No wie pan, pytanie, co kogo satysfakcjonuje – odparła Jucha z nieustanną dobroduszością ukochanej babuni, gotowej nieba

wnusiowi przychylić. – Ja tam lubię, kiedy na finiszu odpalają się fajerwerki.

– Droga pani, finisz to jeszcze nawet nie majaczy na horyzoncie.

– No nie wiem. – Xavier F. Wolf uznał za stosowne wtrącić swoje trzy grosze. – Podobno książka żyje teraz kwartał. Jak muszka owocówka.

– Muszka owocówka żyje troszkę krócej niż kwartał – zauważył Troszczanec. – Ale do nich się nie strzela, to skąd mógłbyś wiedzieć.

– To była metafora – odparował Wolf z godnością. – Zbyt skomplikowana, jak widzę.

– Ale jak to kwartał? – Z ocząt Oleńki ziało głębokie oszołomienie bezbronnego króliczka. – Ja myślałam, że jak się wyda książkę, to już tak na zawsze?...

– Kolega posłużył się daleko idącym uproszczeniem. – Szumski stłumił chęć mordy i pospieszył z wyjaśnieniami, zanim mu tu autorzy podpuszczeni przez Juchę wpadną w popłoch. – Nie chodzi o długość życia samej książki, tylko kumulację najbardziej intensywnych działań promocyjnych, która przypada na ten pierwszy kwartał sprzedażowy. Proszę też pamiętać, że są bestsellery i są longsellery.

– Oraz porażki.

Szumskiemu nawet powieka nie drgnęła.

– Porażka jaka jest, każdy widzi – podsumował i gładko przeszedł dalej. – Bestseller z kolei wygląda bardzo ładnie w topkach i social mediach, daje też autorowi miłe poczucie sukcesu. Longseller nie wyskakuje ludziom z lodówki, za to trzyma się na rynku długofalowo i wypracowuje stabilny zysk. W dodatku nasza, powiedzmy autorka, którą pani... Justyna podała nam za... hipotetyczny przykład, nie napisała jednotomówki. Rozpoczęła serię. To dwie różne dynamiki sprzedaży.

– No co pan nie powie? – zdziwiła się Jucha zgodnie z incognito. – A dlaczegóż to?

Naraz na przystojną twarz Wojciecha Szumskiego wypłynął ni to kpiący, ni to triumfalny uśmiech. Gdy zaczął mówić, w jego głosie rozbrzmiewał lżejszy, niemal radosny ton.

– Z dwóch powodów. W przypadku serii każdy kolejny tom napędza sprzedaż poprzednich, bo pozwala na nowo odpalić działania promocyjne. Poza tym część czytelników z zasady nie kupuje pierwszego tomu, dopóki nie zobaczy chociaż zapowiedzi drugiego,

a najlepiej uruchomionej przedsprzedaży w ulubionej księgarni. I nie rozumieją, że w ten sposób mogą w ogóle nie doczekać ciągu dalszego, jeśli wydawca z uwagi na zbyt niską sprzedaż zrezygnuje z wydania kontynuacji. Inaczej mówiąc, postawi na autorze krzyżyk. – Tu przerwał na moment, żeby Jucha mogła docenić elegancję i precyzję ciosu, o który sama się prosiła, po czym wyprowadził ostateczne uderzenie. – Dlatego w takiej sytuacji zalecałbym jednak zastosować drugi tom.

– No co pan nie powie. – Była komendantka policji, chwilowo w pastelach, odpowiedziała uśmiechem na uśmiech Szumskiego. Przypominali trochę dwa zębate aligatory, zataczające kręgi w wodzie i szykujące się do śmiercionośnego starcia. – I to zadziała?

– Czasem tak. Czasem nie.

– Ojej. Czyli jednak?

– Rynek wydawniczy to nie jest nauka ścisła. Nie wszystko da się tu precyzyjnie wyliczyć i przewidzieć. Czasem wszystko idzie w dobrym kierunku, po czym nagle się wali, bo umarł papież, umarła brytyjska królowa, wybuchła epidemia i ogłoszono ogólnoswiatowy lockdown. I pozamiatane, rynek staje na głowie, nawyki czytelnicze zmieniają się o sto osiemdziesiąt stopni, a sprzedaż dostaje drgawek – podsumował. A potem nachylił się nieco w stronę Juchy, jak gdyby składał jej ukłon. – Ale nawet precyzyjnie odpalony w idealnym momencie bestseller pójdzie na marne, jeśli po pierwszej powieści z serii nie ukaze się druga. A potem trzecia, czwarta i tak dalej. Inaczej cały impet pierwszego uderzenia pójdzie na marne. A wtedy nawet święty Boże nie pomoże naszej... powiedzmy autorce.

Rozwalony na krześle Troszczaniec wydał z siebie pełen złości bulgot.

– Przepraszam, czy to są warsztaty dla karpi biznesu, czy co? Pan nam tu ciągle gada o monetyzacji, a nic o literaturze.

– A to się wyklucza?

– Oczywiście! Już to panu mówiłem. Literatury nie tworzy się dla poklasku, żeby lechtać ego i chełpić się statystykami sprzedaży. Dla sławy czy pieniądza powstają co najwyżej wydmuszki. Niby ładne, kolorowe, ale wystarczy ścisnąć, żeby się rozsypały. – Żeby nie pozostawiać żadnych wątpliwości, Troszczaniec wydał wargi na znak pogardy dla opisywanego zjawiska. – Prawdziwa zbrodnia i prawdziwa literatura wyrastają z tych samych trzewi. Pan sobie odpala

bestsellery, skoro za to panu płacą. Ja nie zamierzam rzucać czytelnikom ochłapów, byle się zapchali, a potem szlochać jak jakaś pizda w rurkach nad sojowym latte, że wypadłem z topki i co teraz.

Zanim Szumski zdążył mu odpowiedzieć z podobną życzliwością, Jucha pomału opuściła robótkę i odwróciła się na swoim krześle.

– Młody człowieku – zwróciła się do Troszczańca. Już nie emanowała słodczą jagodowych pierogów dla wnusia ani subtelną sugestią mnogiego uzębienia. O nie. Wszak przydomek, jaki nosiła, nie był jedynie sprytną zbitką przypadkowych pierwszych sylab imienia i nazwiska, lecz odbiciem wrodzonego charakteru i pielęgnowanych skłonności. – W trakcie porodu ta pizda, jak pan to zgrabnie ujął, rozszerza się do dziesięciu centymetrów, żeby zrobić drogę dla głowy noworodka. Głowy, powtórzę dla lepszej wizualizacji. A następnie ta, jak pan to ujął, bardzo zgrabnie, bardzo, więc ta pizda wraca jak gdyby nigdy nic do rozmiarów spoczynkowych. O ile zatem pańskie przyrodzenie nie jest zdolne do zniesienia podobnych testów wytrzymałościowych co przeciętna pizda, to myślę, że stosowniejszym porównaniem byłoby raczej „szlochać jak miękki ciul w rurkach”.

Z ostatniego rzędu dobiegło radosne parsknięcie. Troszczaniec już otworzył usta, żeby splunąć polemiką, lecz Jucha boleśnie sugestywnym gestem wycelowała w niego drut.

– Morda – ucięła w zarodku, po czym już łaskawiej skinęła dłonią w kierunku Sztynnego. – Pan kontynuuje.

– Cóż. Proszę mieć świadomość, że rzeczywistość jest bliższa oczekiwaniom pana Troszczańca. – Sztynny stuknął w klawisz laptopa i projektor wyświetlił na ścianie klasyczny wykres kołowy w trzech kolorach. – Według doniesień prasowych ponad połowa autorów jest rozczarowana swoim debiutem, a zaledwie co piąty opisuje ów debiut jako pozytywne doświadczenie. Reszta wykazuje umiarkowany entuzjizm.

– I to rozumiem! – Troszczaniec ruszył z brawami. – To rozumiem! To jest to szambo, to bagno, ten ostateczny rozkład ducha i materii, z którego wyrośnie prawdziwa literatura. Chyba że nie.

– Ale przecież to jest straszne! Straszne! Biedni ludzie! – Oburzenie Oleńki było niemalże namacalne. – A panu nawet nie jest przykro!

– Nie na tym polega moja rola – wyłożył Szumski z nieustanną cierpliwością, chociaż z każdą minutą tej dyskusji kosztowało go to coraz więcej. – Moją rolą jest wiedzieć, na czym oprzeć strategię

promocji danego tytułu, do kogo uderzać z propozycją współpracy, a do kogo nie, jak oszacować grupę odbiorców i wybrać taką okładkę, która do nich trafi.

– No nie wiem. – Xavier F. Wolf wystudowanym ruchem założył nogę na nogę. Mało nie zrzucił przy tym swojego laptopa na podłogę. – Pan patrzy na to wszystko z perspektywy wydawcy. Przez jego interes, że tak powiem.

– Oj, to ciulato... – rzuciła Jucha znad drutów.

– Słucham?

– Nic, nic. Oczko. Laboga.

Sztywny skupił całą uwagę na glancusiu w tweedowej marynarce, który jak zwykle zaanektował szerokim rozkrokiem niemal całą przestrzeń na samym przedzie. Prezentował się starannie jak młody wilk literatury polskiej, ledwie trzydziestoletni, a już skazany na nieuchronny sukces.

– Nie rozumiem – przyznał wreszcie Szumski. – O ile mi wiadomo, interes wydawcy jest generalnie tożsamy z interesem autora. Dzielą i sukces, i porażkę.

– No nie wiem.

– Ale ja wiem – powtórzył kierownik pecha. – To naprawdę prosty mechanizm. Autor otrzymuje pewien procent od tego, co na książce zarobi wydawca, zgadza się? Zatem im więcej zarobi wydawca, tym wyższą kwotę może wypłacić autorowi. Żeby to panu zwizualizować na prostym przykładzie. Piętnaście procent od tysiąca to sto pięćdziesiąt złotych. Bez szału. Ale te same piętnaście procent od dziesięciu tysięcy daje już dziesięć razy więcej.

Xavier F. Wolf skrzywił się tak, jak gdyby Szumski zasugerował mu wynagrodzenie w balonach.

– Co to jest dziesięć tysięcy... Tyle to ja ostatnio wydałem z moją mamą w butikiu na wyprzedazy letniej kolekcji. Moja mama posiada ponadczasowy gust i byle czego nie kupuje. Nie, nie. Przeprowadziłem dogłębny research i coraz bardziej skłaniam się ku alternatywnym modelom wydawniczym. W końcu wydawanie książek to nie jest jakieś tam *rocket science*. Z moim wizerunkiem i głęboką świadomością social mediów już za rok mogę docierać do tysięcy czytelników i sprzedawać im tysiące książek. I co więcej, mogę czerpać z tego sto procent korzyści! A nie jakieś tam piętnaście.

– Wszystko pięknie – zgodził się Szumski gładko. Zbyt gładko, o czym jednakże Wolf nie mógł wiedzieć, dlatego przez tę krótką chwilę upajał się triumfem. – A czy ten dogłębny research objął też takie nieistotne szczegóły jak koszty redakcji, korekty, składu i opracowania graficznego, promocji, druku, transportu i magazynowania oraz tak zwane koszty stałe, gdyż telefony i komputery z reguły kiepsko działają, kiedy w gniazdku nie ma prądu? – Niebieskie oczy Szumskiego niby były jasne i zimne jak lód, lecz jednocześnie zdawały się palić niczym ogień. – Chyba że te wydatki pokryje panu tajemniczy sponsor. Zapewne ten sam, który jest sponsorem pańskiego tweedu. Będę strzelał. Też mamusia?

– Och, już nie bądźmy tacy drobiazgowi. W rodzinie trzeba sobie pomagać, to oczywiste. A moja mama rozumie, że inwestycja w wizerunek to inwestycja w karierę.

Szumski zacisnął zęby i przywołał wszelkie znane sobie techniki wyciszające. Naraz. Oddychał miarowo, liczył od jednego do dziesięciu i od dziesięciu do jednego oraz wizualizował sobie swoje radosne miejsce, swój azyl wypełniony ciszą, pustką i naturą w tej czystej, dzikiej postaci, która owszem, mogła odgryźć głowę przypadkowej ofierze, za to przynajmniej nie zadawała głupich pytań ani nie przerywała co rusz, żeby strzyknąć jadowitą pretensją lub dyletanckim komentarzem. A przecież się starał. Bardzo się starał. Wykładał, objaśniał mechanizmy jasno i rzeczowo. Emanował profesjonalizmem i pewnością siebie. Lecz z jakiegoś niepojętego powodu te warsztaty nijak nie chciały przebiegać zgodnie ze scenariuszem, który co chwilę miał w dłoniach, aż mu się tusz odbił na skórze.

– Najlepszą inwestycją w pańską karierę na tym etapie – zaczął najspokojniej, jak tylko umiał – jest stale przyrastająca liczba słów w pliku tekstowym. Obawiam się, że bez tego nawet najhojniejszy sponsor wizerunku i letnich kolekcji w niczym panu nie pomoże. Bo nie sprzeda pan nikomu książki, której pan nie ma, bo jej pan nie napisał. I może na tym się teraz skupmy, dobrze? Zakładam, że macie państwo już jakieś pomysły, może... – sprawdził w notatkach – ...może jakieś konspekty czy szkice koncepcyjne albo nawet gotowe fragmenty. Tak?

Z jakiegoś powodu, którego chłodny i logiczny umysł Wojciecha Szumskiego nie ogarniał, w pokoju warsztatowym zapanowało poruszenie. Nawet Jusze opadły druty.

– No wie pan? – Wolf pogardliwie uniósł brwi. – To trochę nieuprzejme tak wchodzić człowiekowi w proces twórczy.

– Cóż, pan mi codziennie wchodzi w proces minimum sześciu godzin snu na dobę, domagając się kawy o piątej nad ranem, więc sądziłem...

– Ale pisanie to jest sprawa intymna! – Oleńka poparła kolegę. – Nieładnie.

– Niektórzy to mają tupet – zgodził się z nimi Troszczaniec.

– Nie rozumiem – powtórzył Szywny któryś już kolejny raz. – Macie zapewnione warunki do pracy koncepcyjnej i twórczej, możliwość konsultacji z fachowcem w kwestiach technicznych oraz, w perspektywie, szybką publikację. Znacie też dokładnie gatunek wraz z jego założeniami, objętość tekstu oraz deadline. Na czym więc tak właściwie polega problem?

A przede wszystkim, zastanawiał się teraz intensywnie, czemu stał się jego problemem?

– Młody człowieku. – Jucha z teatralną dezaprobatą pokręciła głową. – Żeby to było takie proste, jak się tobie wydaje...

– Ale to JEST takie proste – upierał się Szywny, kompletnie ignorując sygnały, które w tym momencie wysyłał mu wszechświat. – Na tym przecież polega pisanie. Że się siedzi i pisze.

Jak na znak pięcioro autorów zamilkło i zastygło na swoich krzesłach. Przy cichym szumie uruchomionych laptopów z niepojętą intensywnością i jeszcze większym obrzydzeniem wpatrywali się w kierownika pecha, który już nic z tego nie pojmował.

– No teraz to pan przesadził.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy zaczęło zmierzchać, starszy posterunkowy Michał Mogiła uznał, że nic więcej nie zdziała. Nie miał porządnej latarki na podorędziu, a bez niej wolał nie zapuszczać się o tej porze w głąb lasu. Ta w telefonie nie oświetlała zbyt wiele – wbrew temu, co twierdził Krawczyk – w związku z tym dalsze błąkanie się po ośrodku i wypatrywanie Manieckiego w zapadającym mroku zaczynało mijać się z celem.

Nie żeby kiedykolwiek pozostawało z nim na zgodnym kursie, skądże znowu, ale przynajmniej dawało policjantowi poczucie, że nie siedzi beczynn timer na czterech literach i nie czeka na objawienie. Dlatego po obiedzie, korzystając z wolnego popołudnia oraz tego, że autorzy tkwili w szponach Sztywnego, Mogiła bez zbędnego pośpiechu okrążył obydwa budynki, lecz nie znalazł niczego więcej poza już uwiecznionymi fińską owsianką śladami, które odkryła Oleńka. Na wszelki wypadek sprawdził też parking i stojącego tam minivana. Nic. Potem ruszył dalej drogą w kierunku Czech. Obszedł trzeci budynek na uboczu, upewnił się, że drzwi wciąż są zamknięte, a potem przekroczył mostek i pomaszzerował aż do szlabanu na granicy. Stał tam przez chwilę, przyglądając się puściuteńkiej szosie i drzewom po drugiej stronie, po czym zawrócił. Po drodze zauważył jeszcze, że mniej więcej w połowie odległości między mostkiem a szlabanem zaczynała się niepozorna gruntowa ścieżka. Przymocowana do drewnianego słupka pod zabawnym daszkiem biało-zielona strzałka wskazywała, że biegnie tamtędy szlak turystyczny. Późną wiosną czy latem te okolice musiały skrywać wiele niespodzianek... o wiele miłszych niż zagadka zniknięcia Rafała Manieckiego. Odruchowo stanął bliżej i przyjrzał się ścieżce, ale dostrzegł na niej jedynie znajome ślady uggów. Widać Margo Mesjasz dotarła tu przed nim, w przerwach między warsztatami ciesząc się ciszą, samotnością i pięknem okolicznej natury. Poza nią chyba nikt więcej tamtędy nie chodził.

Mogiła zboczył jeszcze raz z szosy, żeby złapać zasięg przy cudownym głązie i sprawdzić, czy Daniela Majewska nie próbowała się z nim skontaktować w sprawie Manieckiego. Nic. Żadnych nieodebranych połączeń, żadnych nieprzeczytanych wiadomości tekstowych. Musiał czekać.

Do budynku doszedł zaraz po tym, jak nieśmiało rozbłysły latarnie. Ciężkie drzwi wejściowe zgrzytnęły niczym wrota piekiel, kiedy próbował dyskretnie dostać się do środka. Jak to ujęła Majewska? I tyle wyszło z tej dyskrecji. Błyskawicznie, zanim ktokolwiek zauważył jego obecność, Mogiła przemknął przez parter, wbiegł na piętro i schronił się w pokoju, który dzielił z Krawczykiem. Nie zdążył jednak nawet ściągnąć kurtki, gdy jego spojrzenie przyciągnął nieoczekiwany widok za oknem. W dole, za budynkiem, w wytyczonym kamieniami kręgu płonęło ognisko. Jakaś posępna postać stała po przeciwnej stronie, zapatrzona w trzaskające płomienie. Po chwili Mogiła rozpoznał w niej Wojciecha Szumskiego.

Policjant wydał z siebie niski pomruk, po czym wymknął się z budynku i skierował na jego tyły. Oj, mieli do pogadania z panem kierownikiem. Na przykład o ukrywaniu informacji istotnych dla sprawy prawdopodobnego zaginięcia.

Szumski w ogóle nie zareagował, kiedy Mogiła przysiadł na wprost niego, na skraju mokrej ławki, tylko dalej stał ze wzrokiem zatopionym w trzaskającym ogniu.

– Przepraszam, jakim cudem udało się panu rozpalić ognisko po takim deszczu? – zagaił Mogiła niezobowiązująco po kilku minutach wspólnego milczenia.

Sztywny nieszczęśliwie spieszył się z odpowiedzią.

– Da się – przemówił wreszcie. – Trzeba tylko wiedzieć jak i czym.

– A pan wie.

– Wiem. Wiem też, że mnie pan wrobił.

O proszę, więc tu go gryzło. Doskonale.

– Troszeczkę – odparł Mogiła, uśmiechając się wesoło mimo delikatnej irytacji. – No dobrze, może trochę bardziej. Nic osobistego, po prostu uznałem, że nie będę wchodził panu w kompetencje. W końcu jest tu pan kadrą kierowniczą. Zna się pan... na rzeczach, nawet panu za to płacą. I słusznie, słusznie, fachowcom się płaci. A tak poza tym... wszystko w porządku, panie Wojtku? – zapytał, bo zapatrzony w ogień Szumski nic nie mówił, za to sprawiał wrażenie, jak gdyby mierzył się z własną śmiertelnością. Albo planował zmierzyć się ze śmiertelnością kogoś innego z pomocą szerokiego wachlarza ostrych narzędzi.

– Tak.

– Dowiedział się pan czegoś?

– Niestety.

Mogiła miał już na końcu języka pytanie, czy niestety tak, czy niestety nie, lecz w paradę wszedł mu Krawczyk, przybywający z naręczem akcesoriów, wliczając w to trzy długie kijaszki, należycie zaostrzone na końcach.

– O, Michaś! Weź, bo mi tu leci... – Znieruchomiał na moment, żeby Mogiła mógł pochwycić swawolny chleb tostowy, który już wysuwał mu się z objęć, mierząc prosto w kałużę. Wśród akcesoriów znalazł się również sześciopak piwa, słoik masła orzechowego, paczka pianek w niepokojącym kolorze, rolka ręcznika papierowego, plik równie papierowych talerzy i sztucce. – Powiedziałem tym patafianom, że ognisko ma charakter służbowy, bo już tu leżli. A takiego wała. To się jeszcze poskarżyli na odchodnym, że ich jaśnie pan kierownik raczył zelżyć w czułą osobowość twórczą. Kolejny sukces, panie kierowniku. Gratuluję.

Z narastającym niepokojem Mogiła obserwował, jak sekretarka nabił na kijaszek pierwszy kawałek chleba tostowego, potem dwie puchate żółto-różowe pianki oraz drugi kawałek chleba. Ścisnął wszystko razem, po czym zatknął kijaszek nad ogniem tak, żeby całość ładnie się zapiekła. Lecz autentyczna groza miała dopiero przyjść. Po paru minutach Krawczyk ściągnął bowiem tost z patyka, przekroił na dwie połowy, po czym zaczął smarować jedną z nich masłem orzechowym.

– Nie żebym ci żałował kalorii – zastrzegł na wstępie Mogiła, którego aż ścisnęło w gardziółku na ten widok – szczególnie ze ogarniam koncepcję zajadania emocji, ale... To chyba nie jest zbyt zdrowe.

– Nie jest. Ale za to jak wchodzi. – Sekretarka posmarował drugą połówkę masłem orzechowym i podał policjantowi. – Masz gryza.

Sklejone pianką, przypieczone i utyłane masłem tosty nie prezentowały się zbyt zachęcająco, nic więc dziwnego, że Mogiła przez dobre pół minuty zbierał się w sobie. W końcu jednak ugryzł.

– Rany boskie...

– Dobrze, co nie?

– Obrzydliwe – wybełkotał Mogiła, po czym wziął kolejny kęs.

– Czy my... – Krawczyk urwał i zerknąwszy przez ramię, czy nikt nie podsłuchuje, zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu. – Czy my już coś wiemy?

– Niestety.

– Ale niestety tak czy niestety nie?

– Maniecki nie wraca ranki i wieczory, we łzach go czeka rodzina – podsumował Mogiła w przyływie literatury. Przełknął ostatni kęs obrzydliwego tosta i otrzepał dłonie z okruszków. A przynajmniej próbował. Niestety, okruszki przylepiły mu się na amen do skóry i mankietu kurtki. – Liczę, że informacje od pani Danieli rzucają nowe światło na sytuację.

Nie kryjąc się z tym specjalnie, czekał na jakąkolwiek reakcję ze strony Sztynego – może nerwowe drgnienie, bolesny spazm albo hurtowe wyznanie win i grzechów? Bo że kierownik pecha coś ukrywał, czymś się gryził, to było już bardziej niż oczywiste. Lecz kolejny raz w paradę Mogiła weszła Jucha, której pastelowa sylwetka ukazała im się w blasku latarni. Chwilę potem była komendantka policji opadła ciężko na ławkę obok starszego posterunkowego.

– No, mów, młody. Jak na spowiedzi. Co tam się dziś odpięrdoliło?

– Przepraszam, pani komendant, to... to z nerwów – wymamrotał, zasłaniając się pierwszą wymówką, jaka mu przyszła do głowy. – Ja się na wykładowcę nie nadaję, ja to dobrze wiem. I co gorsza, oni też już wiedzą.

Wymówka wypadła wiarygodniej, niż w popłochu założył, bo Jucha nie odpowiedziała przemocą i szykanami, tylko machnęła ręką.

– A tam, ciul z nimi. Dasz radę, tylko potrzebne ci hobby. Coś, co pozwoli ci się wyciszyć, zająć czymś umysł i uwolnić emocje. Na przykład takie ręk... oż jebaniutki! Ty patrz!!! – Uniosła robótkę tak, żeby Mogiła mógł się dobrze przyjrzeć, czy tego chciał, czy też niekoniecznie. Wzór był dość frapujący dla laika, nieobeznanego w meandrach jakiegokolwiek rękodzieła. Bo może to tak miało być, że początkowy prostokąt z rzędu na rząd przechodził w kształty już nawet nie romboidalne, lecz wielowymiarowe? A może jednak niekoniecznie, uznał szybko, gdy Jucha dodała:

– Ty patrz, jak to mi się zakałapućkało!

– Co zrobiło, przepraszam?

– A idź w cholere. Ech, ci młodzi... Zero wsparcia. Zero szacunku.

Nie był pewien, czy to element incognito, czy może nowe hobby Juchy. Raczej to pierwsze, bo nie posądzał byłej komendantki o pasję do robótek ręcznych – choć z drugiej strony nie przypuszczał również, że na emeryturze mogłyby się oddawać pisaniu erotyków historycznych i paradowaniu w kostiumach z epoki. A jednak.

– A pani komendant się tak męczy z tym... z tym rękodziełem z jakiegoś konkretnego powodu? – zagaił ogłędnie.

– Bo mnie to relaksuje – wycedziła Jucha przez zaciśnięte zęby. Chyba siódmy raz usiłowała przerobić to samo oczko tak, żeby nitka jej się nie rozwarstwiła, dając drugie oczko gratis. Po ósmej próbie w końcu się poddała. Wszak jak dają, to bierz i darowanemu oczku w ścieg nie zaglądasz. – A, ciul z tym, co ja się przejmuję. Z tego się przecież nie strzela.

– Jakby się uprzeć... – mruknął starszy posterunkowy, po czym szybko zmienił temat, bo wyobraźnia podsunęła mu wizję własnoręcznie wydzierganej przez komendantkę procy rzymskiej, dwadzieścia pięć procent wełny, siedemdziesiąt pięć akrylu i sto śmiercionośności. Już i tak wystarczyło, że odruchowo zaczął się zastanawiać, czy na coś podobnego trzeba mieć pozwolenie na broń, czy jednak niekoniecznie. – A z tą Łebą to... to pani komendant też tak poważnie?

Jucha zarechotała radośnie.

– Jeszcze mnie tak nie pojechało. Ale sąsiadka kultywuje i chętnie się dzieli opowieściami z frontu, więc sobie pożyczyłam to i owo na potrzeby chwili oraz wizerunku. Pamiętaj, młody, grunt to dobre źródła osobowe. Synek, co ty tam komponujesz? – zaczęła Arkadiusza Krawczyka, który właśnie klecił kolejny tost z nadzieją.

– Kanapczkę, pani komendant. Pani reflektuje?

– Refluksuję, niestety. Ale taki chlebek to mi przypiecz.

– Klasa dresiwo, pani komendant – skomplementował Krawczyk, zgodnie z życzeniem nabijając na drugi kijaszek samotny kawałek pieczywa.

– No ba. Armani.

– Oryginalny?!

– Armani Głuch. Możliwe, że troszkę mi się rączka omsknęła, jak go ostatnim razem przetrzepałam po mordzie w celach pedagogicznych, bo chyba ujrzał światełko na końcu tunelu. Ale liczy się efekt końcowy, nie przyjęta metoda, a efekt jest taki, że ten ciul niemyty postanowił odmienić swoje życie i otworzył prawie legalny biznes w budzie na placu targowym. Nazwał to, uwaga, trzymajcie się slipów, „Tani Armani”. Asortyment w sam raz do mojego incognito, czyli welur, poliester i chińskie koronki. Wszystko modne, tanie i łatwopalne. – Jucha z łaskawym skinieniem głowy przyjęła z rąk sekretarki puszkę

piwa. Pstryknęła zawleczką, lecz zamiast się napić, zmrużyła chytrze powieki i zmierzyła wzrokiem posępną postać kierowniczą po drugiej stronie ogniska. – A pan to się we mnie wpatruje, że aż nie wiem, co robić. Szukać osłony przed ostrzałem z ziemi i powietrza czy szminkować usta i luzować gorset?

– Czekam na wyjaśnienia – wycedził Sztywny. – Co to miało być? Odwet czy sabotaż?

– Chciał pan incognito, to proszę, weszłam w rolę gładko jak nóż w dupę. – Zaśmiała się, bardzo zadowolona z własnego dowcipu, zwłaszcza że mina Szumskiego nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Kierownik pecha doskonale wiedział, czyją dupę miała teraz na myśli Jucha. – No, pan się tak nie nadyma. Zna mnie pan już trochę. Ja się w tańcu nie pierdole.

– Z całym szacunkiem, ale nie kupiłbym tego kitu, nawet gdyby mi go pani wciskała do gardła.

– Zawsze możemy spróbować i tej opcji...

– Po to pani przyjechała? – drażył z uporem kierownik pecha. – Żeby się na mnie odegrać, tak?

– O? – zdziwił się uprzejmie Mogiła. – Pan podpadł pani komendant, panie Wojtku? Śmiały ruch.

– No. – Krawczyk zachichotał, szczęśliwy jak nigdy. – Taki lekko samobójczy.

Jucha nachyliła się i z drapieżnym uśmiechem łypnęła spode łba na kierownika pecha.

– A owszem, podpadł mi. I to jak podpadł. Miała być sława, topki i zaszczyty, a tu się cały plan wzięwszy i zjebawszy. A taki był ładny, amerykański, co? Cała para poszła w trupa i moja książka przepadła jak sen złoty. Z petardy wyszedł kapiszon i nawet gołoklatesy nie pomogły.

– A to zależy komu i na co... – mruknął sekretarka, uśmiechając się do własnych myśli.

– No na pewno nie mnie na sprzedaż!

– Ja kupiłem! – zapewnił niezwłocznie Mogiła, jednocześnie wykazując się rozsądkiem i przemilczając fakt, że owszem, kupił, ale nawet nie zajrzał do środka. Aż za dobrze pamiętał wyraz twarzy Pozgonnego, ilekroć wspominał tych kilka zdań, które niechący przeczytał. Zamiast tego Mogiła zawinął swój egzemplarz dzieła w firmową torebkę z logo księgarni i wcisnął na najwyższą półkę. Żeby

się nie zniszczył, rzecz jasna. – Wszyscy kupili, cała komenda kupiła. I zapewniam, że wśród mundurowych jest pani hitem w skali powiatu!

– Ta. Dzielę pudło z takimi arcydziełami literatury jak *Pusia Kapusia u dentysty* oraz *Kajdanki dla bystrzaków*. – Jucha rzuciła starszemu posterunkowemu zgryźliwe spojrzenie, po czym wróciła do dręczenia pierwotnej ofiary. – Pięćset siedemnaście egzemplarzy. Tyle zeszło, co do sztuki. Z ilu? Pięciu tysięcy?

– Trzech. W ostatniej chwili udało nam się zmniejszyć rozmiary... nakładu. – Szumski zamknął na moment oczy. – Już to przecież pani tłumaczyłem. I to kilka razy. Książka sama w sobie jest dobra, tylko okoliczności nam nie sprzyjały. Całą uwagę mediów skupiła na sobie Głazina. Ale sprawa jeszcze nie jest przegrana, musimy tylko jak najszybciej wydać drugi tom. Tak? Ruszymy na nowo z promocją i drugi tom pociągnie za sobą sprzedaż pierwszego. Poza tym część pani potencjalnych czytelników wstrzymuje się z kupnem. Ludzie nie lubią wydawać pieniędzy na sprawy beznadziejne, takie jak pierwszy tom bez kontynuacji albo roczny abonament w siłowni.

– A, bo ludzie to są jednak... – Jucha splunęła ze wzdargą, pociągnęła łyk piwa i zapatrzyła się w ogień, jak gdyby dało się z niego wyłowić przepowiednię dalszych trendów i tąpnięć rynku wydawniczego na najbliższy rok. Kiedy się znów odezwała, brzmiała na pogodzoną ze swym smutnym losem. – Dobra, pan już się tak nie ciska. Jebło to jebło, na ciul drążyć temat. Zresztą to samo mówiła mi ta błada bździągwa w kwiatki, więc albo uzgodniliście tę śpiewkę, albo inaczej naprawdę się nie da. Będę musiała napisać tę cholerną książkę...

Z niepojętego powodu dopiero teraz, gdy zrezygnowana Jucha w końcu złożyła broń, Sztywnego nagle jakby coś trafiło. Mogiła ze swojego miejsca widzieć, jak wiele wysiłku kosztowało teraz kierownika pecha, żeby nie skoczyć przez ten ogień.

– Ja chyba czegoś nie rozumiem. – Gdy Sztywny się odezwał, w jego głosie pobrzmiwało ledwie echo tamtego pragnienia. – Nie wiem, co mnie ominęło? Wydawało mi się dotąd, jak widać naiwnie, że na tym właśnie polega naturalny porządek rzeczy, że nauczyciel uczy, kucharz gotuje, policjant... policjantuje, a zatem pisarz powinien pisać, prawda? Więc nie rozumiem, dlaczego nagle stanowi to dla was taki wielki problem?!

– Przepraszam, pani komendant, ale... – Michał Mogiła prędko odwołał się do zasobów osobistej pamięci. – Wydawało mi się, że już latem wspominała pani coś o trzecim konspekcie. Znaczy... że co?

– Znaczy, że idź ty w cholerę z taką robotą! – skwitowała Jucha od serca. – Tak było. To prawda. I co z tego? Chojnowski spierdolił mi całe nabożeństwo! Nie miał kiedy umierać, dziad niemyty, na tym przekłętym kiblu! Ja bym już dawno napisała ten drugi tom, w połowie jestem, ale patrzę teraz na te seksy gorące jak zimny budyń, na te dialogi sztywne jak kij w dupie i myślę sobie, że no nie, no przecież Chojnowski by mnie zjebał z góry na dół i na okrętkę. Och, on by mnie tak zjebał... To był redaktor... że ciulu złoty... – Westchnęła tak, że aż jej się welur na dekolcie zmarszczył. – Jak on mi się zagłębił w równoważniki, jak on mi wycisnął sedno, jak on przeleciał przez rozkład akcentów w fabule, jak on mię wymęczył i wytarmościł, to mnie się aż mokro w maszynopis robiło. Po nim już żaden opierdól nie smakuje tak samo. – Naraz wciągnęła powietrze przez rozchylone usta, ale jakoś tak dziwnie, jakby jej się zbierało na mdłości. No bo przecież nie na szloch, prawda, wszak wedle krążących o niej legend była komendantka policji przyszła na świat bez uczuć wyższych w pakiecie startowym. – Jednak to prawda, co mi zawsze powtarzała mamusia. Łobuz kocha najbardziej.

Mogiła byłby gotów przysiąc na życie rodzonej matki, że w tym momencie usłyszał, jak brew Wojciecha Szumskiego uniosła się wysoko ponad swą naturalną pozycję. Sam poprzestał na odchrząknięciu, gdyż swoje zdanie na temat łobuzów miał, i to też raczej takie wprost przeciwne do poglądów Juchy, nie chciał jednak przerywać wspominek.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. Czyli Chojnowski zabrał pani sukces ze sobą do grobu, a teraz z zaświatów sabotuje proces twórczy?

– Mniej więcej – burknęła Jucha.

– No proszę. Facet chyba naprawdę lubił swoją pracę.

– Co fakt, to fakt. – Sekretarka w zadumie pokiwała głową. – Chojnowski to był dziad kalwaryjski, za to jedyny w swoim rodzaju. Słyszałem raz, jak odpalił korektorze wykład o wyższości średnika nad półpauzą. Zbudował cały system filozoficzny wokół znaku przestankowego.

– Mnie raz rozrysował siedmioma kolorami schemat składniowy zdania, żebym zaczęła odróżniać cel od przyczyny i przestała mu

mieszać w spójnikach, bo nie ręczył za siebie. Oprawiłam to sobie w rameczki...

– Coś mi mówi, że nasz świętej pamięci redaktor robi teraz w grobie za wentylator – zauważył z rozbawieniem Mogiła.

– No i słusznie! Niech gość ma coś z życia. – Krawczyk uniósł tost z piankami. – Jego zdrowie!

Sekretarka i była komendantka wzniesli toast za pośmiertny dobrostan redaktora współpracującego, a następnie zabrali się do opiekania kolejnej porcji tostów.

– Wy to jesteście jednak popaprani – skwitował nieoczekiwanie Szumski.

– Że niby jacy my? – Jucha aż się na powrót najeżyła, gotowa odwinąć się w celu pedagogicznym. – Mundurowi?!

– Autorzy. Nie spotkałem jeszcze tak... nielogicznych ludzi. Chcą wydawać za wszelką cenę, o niczym innym tak nie marzą, ale najbardziej się boją, że ktoś te dzieła przeczyta. Ta siedzi i drze szaty, zamiast siedzieć i pisać, bo żywy redaktor nie dość twardy, a martwy nadmiernie zaangażowany w proces. Troszczaniec życzy sobie tworzyć i majaczyć z niedożywienia. Widać lepszy szkorbut niż wpływ na konto, wszak od nadmiaru pożywienia niejednemu geniuszowi się w dupie przewracało. A do tego dochodzi ten pajac Wolf, który dla odmiany zrobi wszystko, byle się wcisnąć w aktualny trend i sprzedać. Gdyby na topie było wędkarstwo zimowe, pierwszy siadłby gołą dupą na lodzie i ciulem wiercił przeręble.

– Panie kierowniku! – Krawczyk aż uniósł brwi. – Skąd pan zna takie koncepty?

– Mówiłem przecież. Bywałem na koloniach.

– No ja nie, to fakt. Ale mnie rodzice kochali.

Wojciech Szumski nie zaszczycił tej zniewagi nawet jednym miążdżącym spojrzeniem. Zamiast tego zasępił się jeszcze bardziej.

– Zarządzam ludźmi, zasobami i czasem – wycedził. – Deleguję zadania. Znajduję w człowieku potencjał i kompetencje, a potem je odpowiednio ukierunkowuję na wyznaczony cel. Potrafię to robić, naprawdę potrafię. Nie dostałem stanowiska za piękne oczy i uroczą osobowość. Ale jak, do jasnej cholery, mam ukierunkować kogoś, kto nie rozumuje logicznie? Mówię, żeby pisali, no bo przecież przyjechali tu po to, żeby pisać, jak napiszą, to wydadzą, a ja to sprzedam. Proste.

Czy może być coś prostszego? A ci wywalają na mnie gały, jakbym im kazał podpalać bezcenne zabytki i topić ślepe kocięta!

– Pan to jest jednak cienki jak dupa węża w kontaktach społecznych – podsumowała Jucha, kręcąc patykiem z zatkniętym tostem, który osiągał właśnie kolejny stopień zwęglenia.

Jak gdyby słowa byłej komendantki coś w nim uruchomiły, pierwszy raz, odkąd Mogiła zobaczył go przez okno na piętrze, Wojciech Szumski się poruszył. Wyciągnął ręce z kieszeni kurtki i przycisnął dłonie do twarzy.

– To nie jest nawet moja działka... – wymamrotał przez zaciśnięte zęby. – Od tego jest... nie wiem, kto jest od tego, ale ja się do tego nie nadaję, mnie tu w ogóle nie powinno być!

– To co pan tu właściwie robi, panie Wojtku? – zapytał cicho Mogiła, wpatrując się uważnie w kierownika pecha.

– Marnuję czas – warknął Sztywny.

– Pan kierownik się nie martwi – rzucił Krawczyk znad kolejnej porcji tostów z grubą warstwą pustych kalorii. – Dwa lata szybko zlecą.

Sztywny opuścił dłonie.

– No co? – Sekretarka bez drgnienia powieki wytrzymał palące spojrzenie kierowniczych oczu. – Źle mówię?

– Ale że o co chodzi? – Jucha nie pojmowała, o czym ci dwaj mówią. – Dwa lata czego? Odsiadki?

– W sumie można to tak ująć – zgodził się Krawczyk, kontynuując przewiercanie Sztywnego spojrzeniem. – Pan kierownik podobno ma taki zwyczaj, że kibluje nie dłużej niż dwa lata w tym samym przybytku. Dlatego pan kierownik nie musi się przejmować porażką. Nie umie? Nie wyszło? No trudno. Najwyżej poszuka innej roboty, jak tu już puści wszystkie mosty z dymem.

Sztywny wyglądał, jak gdyby istotnie rozważał puszczenie z dymem tego i owego.

– Tak o mnie myślisz? – zapytał, niby cicho i spokojnie, ale coś w jego głosie sprawiło, że Mogiła i Jucha wyprostowali się odruchowo na swoich miejscach. A i ich ręce jakoś tak same sięgnęły tam, gdzie zwykle czekała wierna kabura.

– Młody, powiedz, że masz broń – szepnęła była komendantka.

– Nie.

– Nie masz czy nie powiesz?

– Po prostu NIE, pani komendant.

Mogiła mało nie zemdłał z ulgi, kiedy Sztynny bez słowa wyjaśnienia obrócił się na pięcie i porzucił zebrane przy ognisku towarzystwo.

– A niech idzie w cholerę... – rzucił za nim Arkadiusz Krawczyk.

– Wolałbym jednak, żeby się aż tak nie oddalał... – wymamrotał Mogiła bardziej do siebie niż do niego. Ignorując pytające spojrzenia sekretarki i byłej komendantki, spiesznym krokiem podążył za kierownikiem pecha, który oddalał się nieubłaganie i dynamicznie.

Gdy tak szedł przez trawnik w stronę żwirowego podjazdu, naraz opadło go nieprzyjemnie znajome odczucie, że coś przeoczył, że coś mu umknęło. Prawdopodobnie coś istotnego, a zarazem na tyle nieokreślonego, że nie mógł tego teraz wyłowić z zakamarków pamięci. W innej sytuacji przystanąłby i się skupił, żeby to odczucie od razu uchwycić, obejrzeć uważnie i doprecyzować – lecz naraz spostrzegł, że Wojciech Szumski zniknął mu z oczu.

Mogiła natychmiast przyspieszył i już miał skręcić do podcieni, gdy jakiś podszept policyjnego instynktu kazał mu iść dalej, prosto przed siebie. Rzeczywiście, gdy tylko wypadł zza linii świerków, który osłaniał budynek od strony szosy, ujrzał męską postać kroczącą asfaltem przez ostatni krąg światła. Jeszcze kilka, może kilkanaście metrów i zniknie gdzieś w listopadowych ciemnościach.

Nie było na co czekać. Mogiła puścił się truchtem, omijając kałuże, które mogłyby go zdradzić chłupotem. Nie mógł stracić Sztynnego z oczu, a jednocześnie musiał się do niego maksymalnie zbliżyć, tak by samemu pozostać przy tym niezauważonym, dlatego starał się trzymać tuż za granicą światła rzucanego przez latarnie. Podeszwy miejskich butów ślizgały mu się na błocie i mokrych niedobitkach trawy, co zmuszało Mogiłę do nerwowego zerkania na zmianę to pod nogi, to przed siebie. Wtem zachwiał się w pół kroku i dosłownie na sekundę podniósł wzrok na porośnięty lasem górski stok, który wznosił się na wprost niego. Mógłby przysiąc, że gdzieś tam, pośród nieprzejranej gęstwiny, poniósł się jakiś dźwięk. A może tak mu się tylko wydawało?

Zaklął. Ta jedna sekunda wystarczyła, żeby Szumski zniknął mu z pola widzenia.

Mogiła rzadko klął, lecz teraz był bliski wyrzucenia z siebie naprawdę soczystej wiażanki. Aż naraz nieprzeniknioną ciemność daleko przed nim rozciął snop jasnego światła. To Szumski odpalił

nieodłączną latarkę, wskazując policjantowi dalszą drogę. Teraz nie było już żadnych wątpliwości. Kierownik pecha zmierzał do cudownego głazu.

Mogła nie miał czasu do stracenia. Musiał zaryzykować. Odbił czym prędzej na szosę, aby jak najszybciej nadrobić stracony dystans, zanim Sztynny wpadnie na taki śmiały pomysł, żeby się odwrócić. Na palcach pokonał kilkanaście metrów po asfalcie, przesadził barierkę i przygarbiwszy się, zaczął się podkładać pod osłonę rzadkich krzaków.

– Teraz ja mówię, a ty słuchasz. – W ciemności dobiegł go cichy głos Wojciecha Szumskiego. – Nie będziesz mnie dłużej szantażować.

ROZDZIAŁ 15

Atmosferę, która panowała przy śniadaniu, dałoby się kroić plastikowym nożem.

Autorzy utyskiwali na niedostatecznie kleistą żywność, Jucha siłą woli wypierała kaca, gdyż słabo jej się komponował z przyjętym wizerunkiem, a Sztynwy z Krawczykiem ignorowali nawzajem swoje istnienie, zachowując starannie wyliczony dystans. Kierownik pecha koncentrował się na emanowaniu niechęcią do wszystkich i wszystkiego, sekretarka zaś szurał drewnianą łyżką po patelni, z której zeszkrobywał zaschnięte resztki jajecznicy na suchej żywieckiej.

Osamotniony Mogiła siedział w kącie i bez zaangażowania grzebał widelcem w stygnącej porcji na papierowym talerzyku. Minę miał przy tym nietęgą, choć nie z powodu doznań smakowych czy też estetycznych. O nie. To jego uczucia zawodowe doznały uszczerbku. Minęła już doba, odkąd stwierdzili niedobór Rafała Manieckiego, i wciąż wiedzieli tyle co nic. Starszy posterunkowy z samego rana przeszedł się na drugą część piętra, żeby kontrolnie zapukać do zamkniętych drzwi, lecz żaden cud nie nastąpił. Blogger nie zstąpił z gór na obłoczku swej żółtej kurtki i nie odpowiedział, że przebywa w pokoju i żeby mu nie zawracać głowy.

Wrodzona i utrwalona służbą praworządność coraz wyraźniej uwierała Michała, a wątpliwości mnożyły się niczym bakterie w odpływie. W dodatku pozostawało jedynie kwestią czasu, kiedy autorzy zainteresują się tematem i zaczną dopytywać, dlaczego ten pan od obsługi medialnej w ogóle ich nie uwiecznia, tak jak to robił pierwszego dnia. Zwłaszcza po odkryciu cudownego źródła zasięgu, do którego mogli pielgrzymować i taplać się w wirtualnej atencji. No, może nie Mesjasz z Troszczańcem, im analogowy model istnienia w zupełności wystarczał, ale taki Wolf na pewno zacznie się domagać nowego kontentu dla podbicia zasięgów i ego. Czym ich zająć, żeby nie zauważyli niedoborów personalnych? Numer z owsianką drugi raz nie przejdzie, chociażby dlatego, że poprzedniego dnia zużyli cały zapas, a Mogiła rozpaczliwie potrzebował swobody ruchu, żeby cokolwiek ustalić, zanim się podda i wezwie służby.

Może gdyby tak owinąć Sztynwego w plastry boczku i rzucić na pożarcie Jusze...

– A mówiłaś, że nie masz nic ciepłego – usłyszał naraz tuż obok. – Kłamczucho.

– Och, chodzi ci o to? Znaleziony, nie kradziony.

Zaintrygowany Mogiła podniósł nieco głowę i spojrzał w bok. Zamiast czegoś zwiewnego i stylowego, co pasowałoby jej do obecnego wianka, tego ranka Oleńka Kulczańska miała na sobie czerwony polar – gruby, zapinany na zamek, za duży na nią o jakieś dwa, trzy rozmiary. Tonęła w nim, chociaż nie zapięła się po samą szyję, a rękawy podwinęła, żeby jej nie wpadały do śniadania.

– Dobra, dobra, już się nie tłumacz. – Xavier F. Wolf sprawiał wrażenie, że dobrze się bawi kosztem koleżanki i jej niekonsekwentnego wizerunku.

– Ale on naprawdę jest znaleziony! – zaprotestowała Oleńka. – Margo poszła przed śniadaniem na spacer i znalazła.

– Poważnie? – Wolf wbił czujne spojrzenie w Mesjasz. – Gdzie?

– Przy tym trzecim budynku – wyjaśniła. – Któryś z panów zostawił go tam na murku.

– O. To szybko wysechł – rzucił Mogiła. Niby niezobowiązująco, bez przyczajonych oczekiwań, ukrytych intencji, ot, zwyczajnie prowadził konwersację przy śniadaniu, lecz w środku cały aż chodził.

Albowiem starszy posterunkowy Michał Mogiła zwał trop.

Mesjasz tylko wzruszyła ramionami, za to Oleńka z furkotem wianka obróciła się do policjanta.

– Ale on właśnie był suchy! I tylko trochę brudny, ale z polaru to można bardzo łatwo zetrzeć – zapewniła czym prędzej, żeby ktoś jej przypadkiem nie podejrzewał o abnegację. – Ja go oddam, obiecuję, tylko po warsztatach. Przecież nie mogę znowu utknąć w szaliku...

Wodziła cielęcym wzrokiem po zebranych, czekając wyraźnie, aż właściciel bluzy ujawni się i zapewni, że nic nie szkodzi, pani Oleńko, pani tak w nim do twarzy, nie to co mnie, pani Oleńko, proszę się nie martwić i rozkoszować ciepłkiem. Tyle że jakoś nikt się nie rwał do deklaracji, co więcej – nikt nie przyznawał się do związków z polarem.

Mogiłę aż zemdliło. Skoro nikt się nie przyznawał, to znaczy, że polar nie należał do żadnej z osób w pomieszczeniu, kto więc w takim razie zostawił go na murku? Może ten, kogo brakowało w ich gronie? Rany boskie, niech ktoś coś powie, cokolwiek, przecież oni zaraz coś zauważą, zaraz zaczną zadawać pytania...

I wtedy wkroczył Arkadiusz Krawczyk, cały na białą, i odpowiedział Oleńce uśmiechem.

– Jasne. Żaden problem.

Rozpogodzona autorka wróciła do posiłku i konwersacji. Michał Mogiła bez pośpiechu dokończył śniadanie, sprzątnął po sobie i podszedł do stolika, przy którym sterczał sekretarka. Dla niepoznaki sięgnął po papierowy kubeczek i pudełko z herbatą.

– To nie twój polar, prawda? – upewnił się cicho, udając, że mierzy się z trudnym wyborem między herbatą czarną a czarną.

– Michaś, nawet bym ręki do kieszeni nie wcisnął.

Czyli tak, jak sądził Mogiła. Najchętniej zerwałby natychmiast ten polar z Oleńki, żeby zabezpieczyć resztę śladów, ale coś mu mówiło, że w ten sposób wzbudziłyby jednak pewne podejrzenia. Zresztą... skoro go nie wyprała, coś się powinno zachować.

– To ja się przejdę – zdawkowo poinformował Krawczyka. – I zabiorę ze sobą Szumskiego.

– No weź, Michaś. Przecież ci go nie zjem. Co najwyżej się trochę pobawię.

– A tego to nie byłbym taki pewien – odparł Mogiła w podobnym tonie.

Ucieczka w żart pozwoliła mu zręcznie zamaskować prawdę, którą nie chciał jeszcze z nikim się dzielić, nawet z Arkiem. A może zwłaszcza z nim? Tak czy owak, wolał mieć Sztywnego na oku.

Obejrzał się na kierownika pecha, który niespecjalnie zwracał uwagę na to, co działo się dokoła. Chwilę potrwało, zanim Sztywny zauważył, że stanowi obiekt żywego, acz dyskretnego zainteresowania ze strony funkcjonariusza policji. Ale kiedy Mogiła odwrócił się i z pustym kubkiem w garści wyszedł na korytarz, Szumski w mig załapał, czego się po nim oczekuje.

Starszy posterunkowy czekał na niego przy pierwszych schodach. Nawet gdyby ktoś postronny postanowił właśnie teraz udać się do łazienki albo do pokoju, nie usłyszałyby, o czym rozmawiają policjant z kierownikiem pecha.

– Przejdźmy się, panie Wojtku – poprosił Mogiła. – Chciałbym coś sprawdzić i przyda mi się towarzystwo.

– Natrafił pan na coś? – zainteresował się Sztywny. – Jakiś ślad?

– Tak sądzę. Nie są to może rozwleczone wnętrzności, jak pan sobie życzył, ale... Pani Oleńka znalazła przy trzecim budynku męską bluzę

polarową. Tak się składa, że byłem tam wczoraj po południu i mógłbym przysiąc, że żadnej bluzy na żadnym murku tam nie widziałem. Na dodatek nikt się nie przyznaje do zguby.

– Zbłąkany turysta?

– Może tak. A może nie. Bo widzi pan, panie Wojtku, znaleziony dziś rano polar był suchy. A przecież wczoraj aż do późnego popołudnia intensywnie padało, co nie? Zatem ktokolwiek go tam porzucił, musiał to zrobić mniej więcej między zachodem a wschodem słońca. Czyli zeszłej nocy.

Rozeszli się po kurtki. W przebłysku geniuszu lub elementarnego ogarnięcia Mogiła zapukał jeszcze do pokoju Mesjasz i pod pierwszym pretekstem, jaki przyszedł mu do głowy, wyżebrał od niej resztę jednorazowych rękawiczek i woreczków strunowych, którymi wypchał wszystkie kieszenie.

– Czyli podpadł pan Jusze, co? – zagaił swobodnie kierownika, kiedy parę minut później spotkali się przed budynkiem i zaczęli iść w dół szosy. – To w sumie nic dziwnego, że jest pan ostatnio taki spięty, panie Wojtku.

– Nie jestem spięty. Skąd ten pomysł?

– Nie? – zdziwił się Mogiła. – Ja bym był. Zamordowany współpracownik, zła prasa, kluczowa pracownica w areszcie, ojciec dyrektor na wolności. Wszystko się wali. Nieudana premiera, utrata praw do wszystkich bestsellerów, wydawnictwo na skraju upadku... – Pokiwał głową na boki, jak gdyby zastanawiał się intensywnie. Z jakiegoś powodu z potencjalnym uwikłanym rozmawiało mu się o wiele swobodniej niż ze stadem Bogu ducha winnych autorów. Może i stąpał teraz cienistą doliną, ale był to przynajmniej znany krajobraz. – Ja tu widzę sporo presji. A wie pan, jak to jest z ludźmi. Nawet ci najbardziej rozsądni pod presją zaczynają robić naprawdę głupie rzeczy. To wyłącznie kwestia odpowiedniej dawki. Albo odpowiedniego argumentu.

– Głupie rzeczy, powiada pan. – Przez cały ten czas Sztynny siedł, patrząc prosto przed siebie. – Na przykład zdradzają osobom postronnym informacje zdobyte w trakcie przesłuchania?

Auc. Prosto w miękkie. Mogiła bez protestu przełknął tę zasłużoną pigułkę, jedynie skinął głową na znak, że przekaz dotarł. Resztę drogi przebyli w milczeniu.

– Proszę się nie oddalać, okej? – odezwał się cicho, kiedy zbliżali się już do trzeciego budynku. – A jeżeli pan coś zauważy, proszę mnie od razu zawołać. I niczego...

– Nie dotykać – wyręczył go Szumski. – Nie dotykać, nie oddychać, nie rzucać naskórka. Pamiętam doskonale.

Począwszy od miejsca, gdzie od szosy odbijał podjazd, Mogiła ze Sztynnym w charakterze ogona posuwali się metr po metrze w poszukiwaniu śladów czyjejś obecności. W paru miejscach, gdzie szuter ustępował piaskowi, tworząc dostatecznie miękkie podłoże, znaleźli świeże odciski butów – to tędy szła rano Margo Mesjasz w swoich uggach. Nikt poza nią ich nie nosił, a wątpliwej urody obuwie miało charakterystyczną podeszwę, którą Mogiła rozpoznawał bezbłędnie. Kobieta przystanęła kawałek przed trzecim budynkiem i przez chwilę tam stała, rozglądając się, o czym świadczyła głębokość odcisków oraz ich charakterystyczne roztarcie, aż wreszcie przeszła na trawiaste zbocze po lewej, gdzie znajdowało się takie samo palenisko z ławkami jak w sercu ośrodka. Niestety. Jeżeli nawet właściciel polaru zostawił tu jakiegokolwiek ślady, Mesjasz udało się je doskonale zdeptać, przystąpili więc do oględzin samego budynku.

I tu ich narastające pożądanie zostało zaspokojone niemalże od ręki. Na ziemi pod zewnętrznym kranem leżało coś w rodzaju tulei wykonanej z niebieskiego plastiku.

– Co to jest?

Mogiła uwiecznił dziwny przedmiot na zdjęciach, szybko włożył rękawiczki i przykucnął, żeby przyjrzeć się z bliska.

Sztynny, który uprzejmie trzymał się kilka kroków z tyłu, teraz stanął nad policjantem, rzucił okiem i z miejsca zidentyfikował znaleźisko.

– Filtr do uzdatniania wody – oświadczył z tym charakterystycznym spokojem człowieka, który zjadł zęby na jakimś temacie. – Turystyczny.

– Ten pizdryk? Serio? – Mogiła z fascynacją obrócił tuleję w dłoniach. – I jak to działa?

– Nabiera pan wodę do butelki albo do specjalnego woreczka, potem tą stroną tutaj – Sztynny wskazał palcem – przykręca filtr do gwintu, a z tej drugiej pije. Jak z bidonu albo przez słomkę. Przydatny gadżet. Zajmuje mało miejsca, a przefiltruje nawet wodę z kałuży.

– Ciekawe. No proszę, nie wiedziałem nawet, że coś takiego istnieje. Pan się bawi w takie survivala?

– Akurat w survival to nie. – Sztywny aż się wzdrygnął na taką sugestię. – Jak to mawiają w pewnych kręgach, istnieją cztery poziomy sztuki przetrwania. Bushcraft, survival, preppers oraz życie w Polsce.

Tu Mogiła nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Spojrzał w górę i zobaczył, że Wojciech Szumski też się śmieje. No proszę. Czyli gdzieś tam pod spodem, pod grubą warstwą napięcia i posępnosci, wciąż krył się tamten bystry i rzutki facet, którego poznał latem. Nie potrafił sprecyzować, co w tym momencie zaskoczyło go bardziej – ten szczerzy uśmiech czy ulga, jaką poczuł na jego widok. Prawdę mówiąc, Mogiła chętnie dałby się otulić tej uldze na dłużej. Gdyby tylko mógł.

– Osobiście wolę bushcraft – ciągnął tymczasem Sztywny – bo stawia na minimalizm i wydajność, jeden plecak i w drogę. Wtedy takie maleństwa jak to tutaj bardzo się przydają. Survivaliem trochę zbyt często jak na mój gust zajmują się ludzie, którzy mają dużo kasy, za to mało rozumu. Obkupią się we wszystko, nabiorą gratów na trzy miesiące i cztery pory roku, żeby przez dwa dni nie żyć jak zwierzę w szalasię z patyczków. Jak ten idiota – dorzucił, wskazując na niebieski filtr.

– Dlaczego idiota?

– Bo nie dość, że zgubił istotny element wyposażenia, to jeszcze wykorzystywał go do filtrowania wody z kranu.

Chcąc nie chcąc, Mogiła musiał przyznać kierownikowi rację. Schował filtr do woreczka, dokładnie zamknął i podjął oględziny budynku. Okna wyglądały w porządku, ale przy drzwiach stanął jak wryty. Tym razem to jemu wystarczył jeden rzut oka, żeby popisać się fachową wiedzą.

– A to... to, panie Wojtku, są ślady włamania. – Ostrożnie, żeby niczego nie dotknąć, pokazał Szumskiemu rysy wokół zamka. Rysy, których nie było tu poprzednim razem, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. – Na moje oko bardzo nieudolnego... i bardzo nieudanego.

Uwiecznił rysy na zdjęciu, po czym obeszli budynek jeszcze raz, powoli, przyglądając się jeszcze uważniej każdemu oknu, do którego dałoby się dosięgnąć z poziomu ziemi. Nie znaleźli jednak niczego więcej.

Gdy wchodzili z powrotem na asfalt, Mogiła obejrzał się odruchowo przez ramię na zamknięty, samotny budynek. I wtedy oprzytomniał. Przypomniał sobie to, co zapomniał. Skinął na Sztywnego i ruszył szybkim krokiem, sprawdzając regularnie, czy kierownik pecha nie został aby za bardzo w tyle. Już pamiętał! Pamiętał, co zobaczył i co go tak zastanowiło. Gdyby nie nagłe zjawienie się Juchy, sprawdziliby to od razu i teraz nie kręciłby się bezradnie jak dziecko we mgle. Miał ochotę kląć. I biec. I krzyżeć. A najlepiej biec i wykrzykiwać przekleństwa na całe gardło.

– Za dużo budynków, za dużo... – mamrotał do siebie, pchając upiorne drzwi wejściowe do pierwszego budynku. Wpadł do środka i aż się rozpromienił na widok Arkadiusza Krawczyka, który właśnie wychodził z łazienki. – Jesteś! Doskonale! Słuchaj, musisz czymś zająć autorów. Najlepiej intensywnie.

– Ja?! – Krawczyk aż zdębiał na te słowa. – Sztywny niech się wykaże. Zasłużył na cierpienie.

– Niestety, Szumski jest mi teraz potrzebny. Żywy. Zna się na rzeczach, o których ja nie mam za bardzo pojęcia, a które mogą się okazać ważne.

– A ja nie mam pojęcia, co się robi z autorami!

– Co? Ty też? Ojej. – Mogiła wziął się pod boki niczym Superman w cywilu. Bardzo możliwe, że gdyby się trochę bardziej postarał, zdołałby teraz przewiercić Krawczyka wzrokiem na wylot. – Arek, mam ci przypomnieć, jak długo truleś mi odwłok, żebym się zgodził na udział w tej farsie? Że już nie wspomnę o tym, jak dosrałeś wczoraj Sztywnemu? I jak się przed nim wygadałeś, że wiesz o zasadzie dwóch lat? Dobrze, że mnie nie wyspał przed Juchą, bo gdyby Jucha się dowiedziała, że usłyszałeś o tym ode mnie, to na komendzie mógłbym co najwyżej sprzątać, wiesz? Ja ci pomogłem dostać się do Głaziny i odzyskać hasła, a ty mi się tak odwdzięczasz?

Krawczyk wyraźnie się stropił, choć bardzo się starał nie dać po sobie nic poznać.

– Już ty dobrze wiesz, dlaczego trulem – mruknął wreszcie skruszonym barytonem. – I chyba nie żałujesz, co?

– Nie – przyznał bez wahania Michał Mogiła. – Ale skoro ja dałem radę skompromitować się na ich oczach i przeżyć, to ty też jakoś dźwigniesz ten ciężar. Okej? Wyciągnij ich z budynku na co najmniej godzinę. Dwie godziny. Ile wytrzymasz.

ROZDZIAŁ 16

Ponieważ poranny blok warsztatowy miał się opóźnić, Justyna Chamanowicz postanowiła zająć do pokoju jadalnianego. W budynku było zimno, welur od Armaniego co prawda zapewniał przyjemne ciepło, ale nie sięgał poniżej nadgarstków, a chętnie rozgrzałaby dłonie o kubek z gorącą herbatą. Może nawet znalazłaby się jakaś miła wkładka z delikatnym kopem na rozpęd mocy twórczych?

W środku zastała tego miłego sekretarkę, siedzącego na tapczanie w charakterze kupki nieszczęścia z paczką chrupek.

– A ty co taki zatroskany, synek? – zagaiła, wciąż w pastelach i roli, chociaż chwilowo bez robótki pod ręką.

– Długo by opowiadać, pani komendant. – Arkadiusz Krawczyk patrzył tępo przed siebie. – Głazina by wiedziała, co robić. A ja nie wiem.

– A z czym robić?

– No z tymi lebiodami. Michaś poległ, Sztywny poległ, zostałem sam na placu boju. I nie wiem, jak ich ogarnąć.

– Fakt, zarządzać zasobami ludzkimi to trzeba umieć. Mieć to we krwi. – Jucha pstryknęła czajnikiem, przysiadła obok sekretarki i czułym gestem poklepała go po kolanie. – Powiem ci, jak ja to widzę. Musisz znaleźć coś, czym pierdolniesz na dzień dobry i przejmiesz inicjatywę, coś, w czym będziesz wiarygodny. Ja na przykład klnę, tak? Kląć niby każdy może, jeden lepiej, drugi gorzej. Ale jak ja klnę, jak ja klnę, to mówię ci, synek, nie ma ciula we wsi. Sam przyznasz.

– Przyznam.

– No! Na dzień dobry dostają prosto w pysk i zanim się obejrzą, już mi wołą nie podpadać, bo teraz jestem spokojna, wyluzowana, a co to będzie, jak się zirytuje? Nie? Lepiej nie sprawdzać, dokąd mnie wtedy poniesie, więc robią to, co im mówię.

– Jak szewc, pani komendant?

– Jak cała eskadra szewców bojowych na ciężkim kacu.

– Ech, pierdolnąłbym na dzień dobry, dobry wieczór i do widzenia, ale... Ja to za miękki jestem, pani komendant. Za miękki.

– Wiesz co, synek? Ja chyba też. – Nastrój Krawczyka był chyba zaraźliwy, bo Jucha przyklapła, a potem sięgnęła do paczki po chrupka. Teoretycznie miał smakować grzybami, w praktyce bardziej

trącił skarpetą. – Nie wiem, na co ja w sumie liczyłam. Chyba na coś... więcej. I co? I nic. Jebło to jebło i tak dalej. Ale jak tak patrzę na te topki, na te dzikie kolejki do tych siks, co to ledwo wyrosły z aparatów ortodontycznych i piccolo, a teraz podpisują bestsellery różowymi długopisikami w króliczki, to się we mnie aż... aż lęgnie takie pytanie. Dlaczego im się udało, a mnie nie? Co takiego one mają, że mnie brakuje? Czemu ich książki znikają z półek, a moje leżą smętnie jak ciul na marach?

– Bo to pornosy, pani komendant – wyjaśnił Arkadiusz Krawczyk tonem czułym i miłosiernym, gdyż trochę mu się zrobiło żal Juchy. – Dlatego tak idą.

– Ale że co?

– Wszystko.

– Ty sobie ze mną w kulki lecisz.

– A gdzie. Trzy czwarte tych powieści to lepiej lub słabiej zawoalowane erotyki i pornosy na tle. Obyczajowym. Historycznym. Prawniczym. Mafijnym. Saj-faj. Haj fantasy. Łoł fantasy. Dark fantasy. Akademia fantasy. Dark akademia fantasy. Urban fantasy... to że w mieście, nie że z uszami. Akurat pornosów fantasy jest dużo. Z jakiegoś powodu ludzie lubią, jak gość w jednej ręce dzierży nagi miecz, a w drugiej nagiego drąga. I żeby chociaż wydawca napisał otwarcie, że to pornos. Ale nie, bo to brzydko wygląda w portfolio, więc cisną twardo, że fantastyka, panie, Tolkien w pas się kłania. – Krawczyk westchnął smętnie. – A potem człowiek sięga, spodziewając się solidnego światotwórstwa, scen bitewnych i nadludzkiej mocy, a tu mu główny bohater co drugi rozdział rozstawia namiot... Nie żebym narzekał albo komuś żałował, co to, to nie, ale aż takim fanem biwakowania to ja nie jestem.

Gdyby ją tu i teraz strzelił w pysk i poprawił z półobrotu, Jucha nie byłaby nawet w połowie tak skonsternowana. Wtedy przede wszystkim odwinęłaby się w elementarnym odruchu, a potem poszłoby już z górki. Tymczasem Krawczyk ogłuszył ją koncepcją niepojętą, koncepcją, która cały jej świat postawiła na głowie i kazała mu się zakręcić.

– To... to ja... To ja tu próbowałam szokować odbiorcę namiętym erotykiem z gorsetami, a ty mi dopiero teraz mówisz, że tu się harde porno czai na każdym regale?! Do ciula pana! Przy czymś takim moje książki brzmią jak kombatanckie opowieści starszej pani!!!

– No. No i co poradzisz. Pani komendant musi albo iść w literaturę bardziej odzieżową, albo podkreślić atmosferę i podążyć za targetem. Okiełznać drąga.

– Ale ja nie umiem w haj faj! Ja nawet w wi-fi nie umiem!

– Ja to bym szukał bliżej – doradził Krawczyk. – O, proszę. Pani komendant ma unikatowy zestaw cech osobniczych i profesjonalnych doświadczeń? Ma. Może warto pójść tym tropem? Takim bardziej zawodowym.

– Co mam niby pisać? Memuary?!

– Ja bym raczej fabularyzował. Thriller policyjny z momentami porno. Albo porno z momentami policyjnymi, to już jak pani komendant woli. Takie *true love*, *true crime*. Może postrzeliła pani komendant jakiegoś groźnego przestępcę? Prowadziła medialne śledztwo? Brała udział w obławie?

– Raz przytrzasnęłam takiemu jednemu palce drzwiczkami. Trzy razy.

– Ale czemu trzy?

– Bo się wrywał.

– Może jednak pani komendant przemyśli te kajdanki dla bystrzaków, co? – Krawczyk zacmokał. – No dobra. Ja to bym poszedł tak – zaczął z rozmysłem. – Musi być ona, niewinna lelija typu ćma, którą ciągnie w niewłaściwym kierunku. I musi być on, czyli ten niewłaściwy kierunek. Warkliwy, seksowny, ujmujący brutalnym wdziękiem oraz aurą głęboko skrywanej tajemnicy.

– No nie wiem. – Jucha skrzywiła się i pokręciła szybko głową. – Trochę mi za bardzo trąci Sztynnym.

– Ale to dobrze trąci, pani komendant! Bardzo dobrze! Cokolwiek by powiedzieć, pan kierownik się doskonale nadaje do roli. Ma skubany warunki.

– Oj, ma...

– Ale może lepiej nie Sztynny, to by trzeba zamerykanizować pod rynek... O, proszę. Harden – rzucił naraz głosem tak niskim, tak aksamitnym, że Jucha mało nie spadła z tapczanu. – James Hardwood Harden. To istotny atrybut bohatera, trzeba to podkreślić tak, jakby erekcja była główną cechą jego charakteru – wyjaśnił z przekonaniem. – Bajecznie bogaty, wiadomo, bez tego nawet nie ma co startować.

– Fakt. – Jucha przytaknęła bez wahania. – Dymanie na pokładzie prywatnego odrzutowca to nie to samo co w kuszetce do Władysławowa. Albo nawet czarterze do Szarm-el-Szejk.

– Nie wnikiem, ale fakt, pościgi też się wtedy lepiej komponują z fabułą. Lecimy dalej. Bogaty, uwikłany w szemrane interesy. Mafia, kryptowaluty czy tam inne respiratory. Do tego drapieżna eks, seksowny bodyguard z naciskiem na body, żeby było pokuśnie, no i równie seksowny przeciwnik gotowy posunąć wszystko i wszędzie, i leliję, i eks, i bodyguarda, byle się zemścić na Hardenie za tajemnicze sprawy sprzed lat. Ewentualnie brat bliźniak, nie do odróżnienia od oryginału inaczej niż organoleptycznie. Ale jego bym zostawił do drugiego tomu.

– Wszystko pięknie, tylko zapominasz o jednym szczególe – rzekła Jucha ponuro. – Ja piszę erotyki historyczne, a nie mafijne pornosy.

– Czyli trochę gangster, a trochę Wokulski? – Krawczyk pokiwał głową. – Da się zrobić, pani komendant. Wyjdzie mniej kryptowalut, za to się wstawi płomienie świec, skórzane oficerki, fikuśne koronki, suknie równie powłóczyście co spojrzenia, dumnego ogiera między udami... i wcale nie mam tu na myśli Hardena.

Puścił oko do Juchy, a ta zachichotała jak nastolatka.

– Oj, synek, synek. Powiem ci, że ty jesteś niepokojąco obeznany z tematem.

– A co ja mam lepszego do roboty, pani komendant? W pracy nic się nie dzieje. Telefon wyłączony, nikt nie pisze, nie dzwoni... znaczy, nikt normalny. A siedzieć trzeba, póki za to płacą. To sobie chociaż poczytam coś dla podniesienia. Na duchu, ma się rozumieć.

– No nie mów, że czytasz w robocie takie książki.

– Wbrew pozorom jestem tradycjonalistą – odparł Krawczyk, prężąc wytatuowane bicepsy pod flanelową koszulą.

– Biała suknia, te sprawy?

– W bieli, szanowna pani komendant, wyglądam jak milion dolców – podkreślił nie bez zadowolenia. – W pracy pikantna lektura pod blatem dla nasycenia fikuśnych fantazji, krew, pot i łyż na siłowni, a w zaciszu domowym święty spokój, harmonia i ciepły posiłek, gdyż wiadomo, przez żołądek do serca.

– No przecież, że nie przez mostek – zgodziła się Jucha. – Lepiej przez tkanki miękkie.

– Z rączką wszystko gra, pani komendant? – Krawczyk zmienił temat, bo zauważył, że przez całą rozmowę jego rozmówczyni co rusz zginała i rozprostowywała palce prawej dłoni, czym wzbudziła z miejsca jego hobbystyczne zainteresowanie.

– A wiesz, tak mi się jakoś zrobiło... No zobacz. – Zaprezentowała mu mały palec, który prostował się chętnie, za to zginać nie chciał już wcale, przez co sterczał arystokratycznie z zaciśniętej pięści, jak gdyby raczej wybierał bliskie spotkanie z gilotyną niż zaimplementowanie koncepcji *egalité* do światopoglądu. – Dwa dni robienia na drutach i już mi szlag trafił paluszek.

– Bo to trzeba nad sobą pracować, pani komendant – pouczył ją surowo sekretarka. – Wzmacniać regularnie gorset mięśniowy, obręcz barkową, rozciągać ścięgna, uelastyczniać stawy, poprawiać krążenie i ogólną postawę. Nie mówiąc o tym, że człowiek siedzi, a dupa rośnie. Czy się macha drutem, czy stuka w klawisze, choroby zawodowe nie omijają nikogo. Niko... go. O! O ciulu złoty, jak mawia klasyk...

– Oho, znam ten błysk w męskim oku. Albo erekcja, albo olśnienie. – Jucha machnęła ręką. – A, co ci będę żałować. Nieważne, co cię dopadło, baw się dobrze, synek.

– Zamierzam! Ale najpierw ucałuję urobione rączki pani komendant – oświadczył Krawczyk uroczyście i jak powiedział, tak też zrobił, składając siarczysty pocałunek na kontuzjowanej dłoni Juchy. – A teraz idziemy.

Chwilę im zajęło odnalezienie reszty towarzystwa, nie tylko dlatego, że po drodze musieli jeszcze raz zająć do samochodu. Podczas gdy sekretarka i była komendantka policji mierzyli się wspólnie z kryzysem egzystencjalnym, autorzy uznali, że mają chwilowo dość siedzenia, i teraz błakali się po terenie ośrodka.

– O, patrzcie! – zakrzyknęła radośnie Oleńka Kulczańska, wskazując wzgórze za bliźniaczymi budynkami, gdzie wysoko w oddali, pod samą ścianą lasu, przemknęły jedna za drugą masywne zwierzęce sylwetki. – Sarenki!

Xavier F. Wolf prychnął.

– To dziki, nie sarenki. Jak ty skończyłaś przedszkole?

– Oj, nie czepiaj się dziewczyny – skarciła go delikatnie Margo. – Byłby z niej doskonały myśliwy.

– Pewnie zwęszyły truchło Manieckiego i teraz ucztują – rzucił Troszczanec z osobliwą tęsknotą w głosie.

- Co?!
- Mówię wam, że leży gdzieś i śmierdzi. Zawinięty w dywan...
- I one go tak... tak na surowo?
- Nie no, jak chcesz, to możesz im rozpalic ogieniek.

Zanim ktokolwiek zdążył rozwinąć ten jakże obiecujący temat, Krawczyk odchrząknął, żeby zasygnalizować swoją obecność. Co prawda w innych okolicznościach chętnie by wysłuchał, co mieli do powiedzenia na temat Manieckiego, ale obecność Juchy wszystko zmieniała. Zaraz by odpaliła tryb śledczy i zepsuła całą niespodziankę.

Autorzy obrócili się jak jeden mąż.

– Państwo tacy bardziej dynamiczni, co? Przebieżka, świeże powietrze, integracja? A to się dobrze składa. Dzisiejsze warsztaty będą wyzwaniem.

– A kto je poprowadzi, przepraszam?

– Ja.

– Pan? – Xavier F. Wolf uniósł brwi. Łuna kapitału kulturowego aż od niego biła, gdy mierzył sekretarkę wątpiącym spojrzeniem. – Ale przecież pan jest taki raczej... umięśniony.

– No i teraz sam nie wiem. To był komplement czy obelga?

– Pamiętaj, synek – wtrąciła pospiesznie Jucha, łapiąc sekretarkę za łokieć. – Nie żebym potępiała w czambuł użycie przemocy, ale jeśli go zatłuczysz, zyska nieśmiertelną sławę.

Co racja, to racja. Uznawszy, że jednak komplement, Arkadiusz Krawczyk klasnął w dłonie, aż się echo poniosło po ośrodku, po czym zabrał się energicznie do realizacji planu.

– No to tak. Pani się pożegna z wianuszkiem. A pan z godnością. Zaczynamy blok literacko-sprawnościowy.

– Czy mnie się wydaje, czy Arek właśnie robi autorom trening personalny? – zapytał Michał Mogiła, kiedy razem z Szumskim doszli szosą na wysokość parkingu i dostrzegli na stoku pięć miotających się sylwetek i jedną dostojną, zaganiającą ich niczym pies pasterski zbłąkane owce. – I czy mnie się wydaje, czy wśród tych autorów jest też Jucha?...

Przeszli jeszcze kawałek i wtedy ze stoku wraz z wiatrem spłynęły do nich słowa rzucane w świat jakże gromkim i jakże czułym barytonem krasnoludzkiego sekretarki:

– JESTEŚ KWIATUSZKIEM?! JESTEŚ! ALE NIE BYŁE JAKIM KWIATUSZKIEM! JESTEŚ SUKULENTEM! MASZ SKRAJNE WARUNKI POGODOWE GŁĘBOKO! GŁĘBOKO W TKANCE WODNEJ!!! DAJESZ, KWIATUSZKU, DAJESZ, DAJESZ, DAJESZ!!!

Oleńka zatem dawała, dawała jak nigdy przedtem bądź potem. Margo Mesjasz truchtała przodem i machała trzykilogramowymi hantlami, jak gdyby nic nie ważyły, podczas gdy Troszczaniec ledwo wyrabiał z pojedynczą półkilówką, której trzymał się niczym tonący brzytwy. Jucha walczyła, jeśli nie o życie, to chociaż o dobrze zachowane zwłoki, a Xavier F. Wolf już tylko rzeźił i błagał, żeby go dobić szpadlem.

Choć Mogiła i Sztynny nie zamienili nawet słowa, jednogłośnie uznali, że lepiej nie wnikać. Arkadiusz Krawczyk był w swoim żywiole? Był. Autorzy mieli zajęcie? Mieli. Doskonale. A jeśli przeżyją... to tym lepiej dla nich. Pokonali prędko szutrowy podjazd i zatrzymali się mniej więcej w połowie drogi między miejscem na ognisko a budynkiem, w którym mieszkali uczestnicy warsztatów.

– Tam. Widzi pan, panie Wojtku?

Kryty blachodachówką dach był równie zaniedbany co trawnik. Miejscami pokrywały go rdzawe plamy, a od strony lasu dodatkowo porastał miękkie mech. Sądząc po grubości, jaką osiągnął, nikt mu w tym nigdy za bardzo nie przeszkadzał.

– Widzi pan? – powtórzył Mogiła i wyciągnął rękę, żeby pokazać Sztynnemu, o co chodzi. Dokładnie nad miejscem, gdzie Oleńka znalazła na ziemi dziwne odciski czyichś butów, w ciemnozielonym kozuchu widniały dwa podłużne ślady. Jak po poślizgu. – Zobaczyłem to już wczoraj, ale wtedy objawiła się Jucha i na moment odebrało mi rozum wraz z umiejętnością wiązania faktów. Mnie to wygląda na ślady stóp, a panu?

– O cholera... Ma pan rację. Ktoś chodził po dachu.

– Pan się bawi we wspinaczkę, prawda, panie Wojtku? Dobrze pamiętam?

– Dobrze. Ale ja bym tam nie wlaźł – odpowiedział, bez pudła odczytując intencje policjanta.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, stąd nie da się wleźć na dach. Czy inaczej. Może ktoś sprawniejszy ode mnie dałby radę, ale ja jestem na to za cienki w uszach. Nie widzę tu nigdzie bezpiecznej drogi. Chyba że ze

sprzętem... – Zmarszczył na moment nos w zadumie, roztrzásając tę teorię. – Ale nie. Sprzęt zostawiłby ślady.

– Okej. Czyli po pierwsze mamy odfajkowane. Co dalej?

– Po drugie, może i jestem w pańskich oczach szują zdolnym do wszystkiego, ale nie idiotą, żeby łązić w listopadzie po mokrym mchu na blachodachówce. A sądząc po tamtych śladach poślizgu, to właśnie idioty pan szuka. Albo kogoś bardzo zdesperowanego.

– Wcale nie uważam pana za szuję.

– Czyżby? – odparował Szumski i nie czekając na odpowiedź policjanta, ruszył trawnikiem wzdłuż budynku.

Mogile nie pozostało nic innego, jak tylko podążyć za nim. Przypatrzyli się uważnie całej powierzchni dachu, lecz nie znaleźli niczego więcej, co wzbudziłoby ich podejrzenia. Podobnie po drugiej stronie budynku.

– SZYBCIEJ!!! BARDZIEJ!!! – ryczał w oddali Krawczyk motywująco i nieustannie, co było trochę przerażające, a trochę praktyczne. Dzięki temu nie musieli się rozglądać ani nawet zastanawiać, gdzie aktualnie przebywa stado autorów i czy aby nie za blisko, tylko mogli niezauważeni przemknąć prosto do wejścia.

Wbiegli pierwszymi schodami na piętro. Mogiła nakazał Szumskiemu włożyć rękawiczki, sam zrobił to samo, a potem raz jeszcze posłużył się wytrychem, żeby otworzyć pokój Manieckiego. Podczas gdy Sztywny został uprzejmie za progiem, starszy posterunkowy raz jeszcze przetrząsnął całe pomieszczenie. Zajęło mu to niespełna pięć minut, chociaż szukał bardzo dokładnie. Sprawdził pod łóżkiem, za łóżkiem i na łóżku, przesunął krzesło w lewo i w prawo. Na koniec przyjrzał się szafie najpierw z zewnątrz, a potem od środka, po czym westchnął ciężko. Nic. Jasna cholera. Nic.

– Nie wydają się panu dziwne? – usłyszał naraz za sobą.

– Co takiego?

– Te ubrania.

Upewniwszy się, że drzwiczki nie zamkną się samoczynnie, Michał Mogiła puścił je i stanął kawałek dalej, obok Sztywnego. Przez chwilę przyglądali się w milczeniu zawartości szafy.

– Okej. O czym myślimy?

– Przedwczoraj, w dniu przyjazdu, Maniecki miał na sobie ciuchy za pięciocyfrową kwotę. Znam dobrze marki, którymi był obrzygany,

choć sam ich aż tak nie wyznaje. To sprzęt turystyczny z wyższej półki.

– Bardzo wyżej?

– No pan nie doskoczy – stwierdził krótko, a Mogiła uznał, że w sumie nie ma sensu dyskutować z faktami, nawet jeśli trochę go bolą. – Sama bluza, którą ubabrał sobie lazanią, to już kilka stów. Buty kosztowały go jakieś półtora tysiąca. A ten żółty kokon udający kurtkę? Ze cztery jak nic. Drożej wyszedłby go chyba już tylko kombinezon do intensywnych wypraw wysokogórskich. Wyglądałby w tym jak ludzka poczwarka.

– No cóż. Przyjechał w góry...

– Sudety to nie Himalaje. Takie ciuchy są przydatne, owszem, nawet bardzo, ale podczas trudnej technicznie wspinaczki w skrajnych warunkach pogodowych. Nie na warsztatach literackich pięćset metrów nad poziomem morza.

– Czyli co? Pozer? – zapytał Mogiła. – Na grzbiecie kurtka za średnią krajową, żeby wszyscy dobrze widzieli, że go stać, a na tyłku, gdzie nikt nie zagląda, gacie z chińskiego sklepu po pięć złotych sztuka?

– Może. Social media skupiają się wyłącznie na tym, co widać, niekoniecznie na prawdzie. Prawda, o ile nie trąci skandalem, kiepsko się sprzedaje. – Naraz kierownik pecha przechylił głowę i potoczył czujnym wzrokiem po niewielkim pokoju. – A gdzie jest ten jego worek na zwłoki?

Mogile na moment aż zaparło dech w piersi, bo Szywny miał rację. Gdzie się podziała ta wielka torba, z którą przyjechał Maniecki? Co prawda wyglądała, jak gdyby mogła w każdej chwili dostać nóg i oddalić się samodzielnie, ale bez przesady. Czyli brakowało telefonu, worka i drogich ciuchów, o których mówił Szywny, a które wszyscy przecież widzieli na własne oczy. Bo też, tak po prawdzie, nie dało się ich nie widzieć. Tymczasem w szafie Manieckiego zostały tylko tanie koszulki i kilka sztuk bielizny osobistej. Mogiła sięgnął po skarpetki i ku własnemu zaskoczeniu odkrył, że wciąż były spięte plastikowym zabezpieczeniem. A przy jednej z koszulek znalazł doczepioną papierową metkę.

Starszy posterunkowy zamknął szafę i zaczął pomału przesuwając wzrokiem po pokoju Manieckiego. Pomieszczenie najwyraźniej

skrywało więcej niespodzianek, niż z początku mogło się wydawać. Co jeszcze przeoczył? Co jeszcze umknęło jego uwadze?

I wtedy dotarł do okna.

Podobnie jak pozostałe okna w budynku również i to było stare, drewniane, z podwójną szybą. Czyjaś ręka przeciągnęła kiedyś ramę białą farbą równie szczerze, co pospiesznie, bo nie oszczędziła niczego – ani gwoździ, ani zawiasów, ani haczyka, ani nawet klamek. Nadmiar farby zebrał się też w rogach szyb.

Mijały minuty, a Mogiła tylko stał i wpatrywał się jak zahipnotyzowany w okienną ramę, czując rozkoszny dreszcz. Aż wreszcie zrobił krok, potem drugi, wyciągnął rękę, ruchem jednego palca zwolnił haczyk i pociągnął za klamkę.

Okno otworzyło się swobodnie.

ROZDZIAŁ 17

– Co to było?... – zapytał z nieskrywaną fascynacją, ale też nutą podziwu Michał Mogiła, kiedy po przegonieniu autorów przez cały ośrodek Arkadiusz Krawczyk powrócił spod zasłużonego prysznicza świeżutki, pachnący i bardzo zadowolony z siebie. Kierownik pecha wraz z policjantem czekali na niego w pokoju na piętrze, z dała od autorskich oczu i uszu.

– Zarządzanie zasobami ludzkimi metodą SKS, czyli ćwiczenia ogólnorozwojowe dla miękkich korniszonów – wyjaśnił sekretarka. Rozwiesił wilgotny ręcznik na uchylonych drzwiach szafy i zabrał się do nacierania brody pachnącym słodko olejkiem. – Żeby im kręgosłupy nie padły od tego klepania literek.

– Ciekawa metoda.

– Działa? Działa. Przynajmniej nie będą mieli siły fikać. A! Żeby nie było, że nie ostrzegałem. Brak Manieckiego im nie umknął, więc zachowajcie czujność bojową.

Niedobrze... Pole manewru kurczyło się coraz bardziej. Mogiła musiał szybko przemyśleć dalsze kroki. Co prawda jednocześnie zbliżał się też ostateczny termin, jaki przyjęli w porozumieniu ze Sztynnym, ale czuł wyraźnie, że jego osobista i zawodowa duma ucierpiałaby mocno, gdyby musiał wezwać lokalnych kolegów po fachu i przyznać się do całkowitej porażki. A potem wieść jak nic dotarłaby do Pozgonnego, który milczałby o tym z wyrzutem przez następny rok.

– Okej. Zrobimy tak. Ty bierz się za obiad i miej oko na autorów, a my, panie Wojtku, idziemy do cudownego głazu. Musimy szybko zadzwonić do Danieli Majewskiej.

– Jest sobota – zauważył Sztynny.

– No... no tak. Zgadza się. I co w związku z tym?

– Sobota jest dniem wolnym od pracy. Nie mam prawa wydzwaniać do pracowników w dzień wolny. A oni nie mają obowiązku odbierać.

O rany. Mogiła był naprawdę pod wrażeniem. Rzadko spotykał kogoś, kto pasowałby do swojej ksywki tak idealnie jak ten człowiek. Sztynny był tak sztywny, że prędzej by się złamał pod presją, niż ugiął.

– Proszę to uznać za stan wyższej konieczności, dobrze? – poradził łagodnie, żeby go nie płoszyć. – A jeżeli to nie wystarczy, chętnie wezmę na siebie to ciężkie naruszenie praw pracowniczych.

Pięć minut później przyjęli sprzyjającą zasięgowi pozycję przy cudownym gładzie. Ponieważ Sztywny konsekwentnie odmawiał aktywnego udziału w tym procederze, powołując się na kodeks pracy, PIP i powszechny obyczaj, Mogiła musiał dotrzymać słowa. Wklepał numer Danieli Majewskiej do swojego telefonu i nacisnął przycisk połączenia, żeby osobiście zakłócić dzień wolny od pracy.

– Dzień dobry, pani Danielo, starszy...

– RANY BOSKIE, PRZEPRASZAM!!! – zakrzyknęła Majewska, zanim posterunkowy zdążył dokończyć formułkę. – Naprawdę przepraszam, nie sądziłam, że tyle mi na tym zejdzie. Miałam do pana zadzwonić, jak tylko coś ustalę, ale skończyłam w środku nocy, a potem zaspałam, bo wie pan, mój sąsiad z naprzeciwnka...

– Rozumiem, pani Danielo, nie musi się pani tłumaczyć, po prostu przejdźmy szybko do konkretów.

– Jasne! Tak. Okej. Więc tak. Coś ustaliłam, ale... Nie ma tam gdzieś w pobliżu Sztywnego, co?...

– Jestem.

– Kurwa... – W głośniku smartfona rozległo się ciężkie westchnienie, a potem na dobrą minutę zapadła cisza. – Okej. No dobra. No... no trudno. Zawaliłam. Koncertowo.

– Dwa razy.

– Dwa?! A tak, regulamin... No tak. Ale facet miał gadane, sprawiał wrażenie kogoś, kto zna się na rzeczy, kto się przebije z przekazem, nam właśnie na tym zależało, skupiłam się na jego profilu i zasięgach i... i nie pogrzebałam głębiej.

– A trzeba było? – Mogiła już się domyślał, w jakim kierunku potoczy się ta rozmowa.

– Tak. – Daniela Majewska znów zamilkła. Zbierała siły do nieuchronnego starcia. – W wielkim skrócie, Rafał Maniecki to jest szuja, menda i oszust. A przynajmniej tak wieść gminna niesie, co chciałam z całą stanowczością potwierdzić. Dlatego tyle to trwało.

– Gdzie niesie?

– W internecie. W branży. Podobno też w jego rodzinnym mieście, ale tego już nie potwierdzałam, bo to chyba gdzieś na drugim końcu kraju. W każdym razie wygląda na to, że facet był zamieszany w kilka afer. Ja generalnie nie siedzę w marketingu internetowym, nie znam za bardzo blogerów, booktuberów i tak dalej, więc jego nazwisko nie obilo mi się o uszy. Zresztą wiadomo, ludzie nie zawsze rzucają

nazwiskami, konkretami, żeby nie mieć później nieprzyjemności, gdyby się okazało, że jakaś plotka nie znalazła pokrycia w rzeczywistości, a potem naprawdę trudno ustalić, ile z tego to prawda, a ile fantazje czy oszczerstwa...

– Okej, rozumiem, w czym rzecz – wtrącił szybko Mogiła, bo Majewska wyraźnie nabierała rozpędu, a Szumski zaczynał się spinać. Znaczący, spinać jeszcze bardziej. – Plotki i pogłoski, żadnych twardych dowodów. O jakich aferach mówimy, pani Danielo?

– Branżowych. Finansowych. Obyczajowych...

Mogiła gwizdnął z uznaniem.

– Brzmi jak wszechstronny talent.

– Był najtańszy, okej?! A nasz budżet ledwo zniósł biszkopty!!!

– Spokojnie, pani Danielo. Spokojnie. Proszę powiedzieć, do czego się pani dogrzebała.

Usłyszeli szybkie kliknięcie myszką.

– Okej. – Majewska odkaszlęła. – Więc tak. Pierwsza afera, do której dotarłam, jest sprzed trzech lat. Chodziło o małe wydawnictwo typu *vanity press*.

– Już chyba gdzieś słyszałem to słowo – przypomniał sobie Mogiła. – Tak! Maniecki o to pytał. Pana pytał.

– Owszem – potwierdził Szumski. – Ale zabrakłoby mi słów powszechnie uważanych za obelżywe, więc nie wdawałem się w dyskusję, tylko go zbyłem. W miarę możliwości, bo gość był uparty.

– Sprawiał pan wrażenie, że chętnie urwałby mu pan głowę.

– Owszem. A co?

– Dlaczego? Co to takiego to całe *vanity press*?

– Taki nie do końca fajny model wydawniczy – wyjaśniła Daniela, zanim Sztywny zdążył dobrać słownictwo i wyrazić pogardę. – Mówiąc ogólnie. *Vanity* po angielsku oznacza próżność, co już powinno panu sporo zdradzić. Ten model bazuje na tym, że autorom bardzo zależy na wydaniu książki, naprawdę bardzo, ale nie do końca się orientują, jak się to właściwie robi, i dają sobie wmówić kilka głupich rzeczy. Że tak zwane normalne wydawnictwa nie wydają inaczej niż po znajomości. Czyli albo kogoś znasz, kto cię wepchnie, albo nie masz szans zaistnieć. To raz. Dwa: że za wydanie książki się płaci. Zawsze. I trzy: że wydawcy przyjmują wyłącznie książki profesjonalne, czyli zredagowane i po korekcie, a najlepiej to już razem z okładką. Albo wysłali swoją

książkę do dwudziestu wydawnictw, minął kwartał i nikt im nie odpisał, że bierze, więc stracili wszelką nadzieję.

– Też bym stracił – zauważył policjant.

– Takiemu autorowi pozostaje wtedy opcja desperacka, czyli takie *vanity press* – ciągnęła Daniela. – Wyłożyć żywą gotówkę na stół i zapłacić wydawcy, żeby wydał jego książkę. Każdą książkę.

– Okej, a co w tym niefajnego?

– Po pierwsze, umówmy się, nie każda książka powinna zostać wydana. Po prostu. Nie chodzi nawet o psucie rynku czy marnowanie papieru na czystą grafomanię, tylko... najpierw człowiek ciśnie, żeby wydać cokolwiek za wszelką cenę, nie przyjmuje do wiadomości, że naprawdę nie powinien się tak spieszyć, że lepiej dopracować tekst, rozwinąć warsztat i tak dalej, a opamiętanie przychodzi dopiero po latach. Ale prawdziwy problem polega na tym, że w modelu *vanity press* wydawca, o czym autor nie wie, zawyża koszty produkcji. Często wielokrotnie. Zazwyczaj chodzi o zwykłą powieść, czyli sam tekst na przeciętnej jakości papierze, bo do tego nie trzeba kredy, miękka oprawa z folią, przypadkowa okładka ze stocka, żadnych ilustracji czy innych wodotrysków, które by uzasadniały taką wycenę, tymczasem oni wyliczają koszty rzędu trzydziestu, trzydziestu paru złotych za egzemplarz.

– Rozumiem, że to dużo? – upewnił się Mogiła, którego ten nadmiar informacji odrobinę przytłoczył.

Sztywny prychnął.

– No nie. Produkcja takiej książki nijak nie kosztuje trzydzieści złotych. Zdzierstwo, i tyle.

– Ale na tym nie koniec – tłumaczyła dalej Majewska. – W normalnych okolicznościach wydawca musi sam najpierw wyłożyć pieniądze, a potem je możliwie szybko odrobić, czyli sprzedać jak najwięcej, a żeby sprzedać jak najwięcej, musi promować książkę i autora. Wydawca *vanity press* dostał pieniądze z góry, tak? Pokrył z nich wszystkie swoje koszty, a co zostało, to jego. Zero zmartwień. Za to autor zostaje z kartonami bardzo drogich książek, bez promocji, bez dystrybucji, więc musi sobie ze wszystkim radzić sam. Tyle że nie wystarczą dobre chęci i dostęp do internetu. Zderzenie z rzeczywistością bywa... bolesne.

– Czyli co? Maniecki chciał tak wydać książkę? Skoro pytał...

– Może, nie wiem. – Sztywny wyraźnie nie zamierzał podejmować teraz tej dyskusji.

– Jeśli tak, to byłabym bardzo zaskoczona – stwierdziła Majewska dość kategorycznie. – Podobno trzy lata temu Maniecki naganiał autorów takiemu jednemu wydawcy. Robił mu bardzo entuzjastyczną reklamę na swoich profilach, ale też grasował u innych w komentarzach i szukał ludzi zainteresowanych takim wydaniem. Nie wiem, czy mu za to płacili, czy robił to po znajomości albo z dobroci serca. Tak czy siak tamten wydawca naobiecował ludziom gruszek na wierzbie, podpisał umowy, zainkasował od każdego po kilka tysięcy złotych, po czym zaczęły się na niego sypać plagi egipskie. Żona chora, dziecko chore, pies chory, kot, chomik, teściowa, sąsiadka, pożar, powódź, deszcz żab i sraczka. Ciągłe coś nie pozwalało mu dochować terminu. Książki się nie ukazały, a po wydawcy wszelki ślad zagaął. Telefon milczał, maile pozostawały bez odpowiedzi, ktoś mieszkał w pobliżu, więc wsiadł w samochód i pojechał, a na miejscu okazało się, że wydawnictwo zmieniło siedzibę i teraz szukaj wiatru w polu. Wieść się rozeszła, kilkoro autorów się skrzyknęło i złożyło zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Prokurator przyjrzał się sprawie, podumał i rozłożył ręce, że tu nie widać ewidentnego oszustwa, no bo co człowiek winien, że mu biznes nie wyszedł, jak on się tak starał, a tu teściowa, żaby i sraczka. Samemu Manieckiemu też niczego nie udowodniono, postępowanie zostało umorzone. Ale smród pozostał.

Mogila darował sobie komentarz, który cisnął mu się na usta, chociaż gdyby to od niego zależało, ktoś w tej samej chwili zostałby uszczęśliwiony nagłym atakiem żab. Oraz sraczki.

– Okej. Czyli to pierwsza afera. Lećmy dalej.

– Potem była sprawa z taką jedną antologią... bodajże horroru czy czegoś w tym rodzaju. Mały projekt, niszowy, fanowski od początku do końca. Ludzie, którzy nad tym pracowali, byli profesjonalistami, po prostu robili to w swoim wolnym czasie, bo tak chcieli. Wszyscy, od autorów po składacza. Supersprawa, bo rzadko który wydawca jest zainteresowany takimi tytułami.

– Chyba że *vanity*.

– Chyba że – zgodziła się z Mogilą – ale na szczęście nie przyszło im to do głowy. Antologia miała się ukazać jako darmowy e-book, na dwa tygodnie przed premierą wszystko było już dopięte, zaczęły się pojawiać

informacje w różnych portalach, serwisach i tak dalej. Dzień później pod tymi informacjami zaczęły się pojawiać oceny. I komentarze. A potem też na blogach, forach, w social mediach, ogółem wszędzie, gdzie ktoś tylko wspomniał ten tytuł. Że projekt gównu wart, ale redaktor naczelny łązi po internecie i brutalnie atakuje wszystkich uczciwych recenzentów, którzy go krytykują albo odmawiają pozytywnej recenzji, bo mu autorzy za to zapłacili. Oczywiście nikt czegoś takiego nie robił. Owszem, redaktor gdzieś tam w jakiejś dyskusji rzucił, że proszę się zachwycać arcydziełem, inaczej w dziób, tyle że żartował i wszyscy wiedzieli, że to żart, bo dyskutował w znajomym gronie, ale to najwyraźniej wystarczyło, żeby ktoś doznał wzmożenia i zapaskudził internet. Ktoś inny się w końcu wkurzył i zaczął grzebać, śledzić adresy IP i inne ślady zostawione w sieci przez tego wzmożonego moralistę, no i wyszło sztydło z worka. Otóż antologia miała bezpośrednią konkurencję, która zapewniła sobie medialne wsparcie kogo?

– Rafała Manieckiego.

– Bingo. Wydawca tej konkurencyjnej antologii odciął się natychmiast, bo nie chciał mieć nic wspólnego z takimi działaniami. Maniecki się bronił, że został źle zrozumiany, że trzeba czytać ze zrozumieniem, że jego słowa wyrwano z kontekstu, ale jeśli ktoś się poczuł urażony, to on oczywiście przeprasza. Ostatecznie antologia się ukazała, aczkolwiek w okrojonej formie, bo po tym kałszkwale dwóch czy trzech autorów się wycofało. Za to jeden z tych, którzy zostali, przebił się swoim opowiadaniem i debiutował pół roku później całkiem dobrą powieścią. Ale smród pozostał.

Mogła zanotował w pamięci, żeby sprawdzić potem listę również i tych autorów.

– Coś jeszcze, pani Danielo?

– Tak. Ostatnia sprawa jest trochę śliska – zaczęła ostrożnie. – Wszyscy albo nabierają wody w usta, albo mówią tak, żeby nic nie powiedzieć. Każdy słyszał, nikt nic nie wie, nikt się nie chce mieszać i być tym, który pierwszy rzucił nazwiskiem. Okej. Nie naciskałam. – Zrobiła przerwę na głęboki wdech. – Podobno Maniecki miał romans z paroma kobietami z branży. Blogerką, redaktorką, recenzentką, kimś tam jeszcze. Wszystkie co do jednej były rude i starsze od niego o co najmniej dziesięć lat. No... no okej, mnie nic do tego, każdego coś kręci.

Facet ma swój typ, ma też bajkę, bajera ewidentnie działa. Nie na mnie, ale nie jestem targetem.

– Jeden lubi ogórki, drugi ogrodnika córki – przywołał przysłowie Mogiła i od razu poczuł się jakoś tak inteligentniej.

– Tak, tyle że tych córek ogrodnika było zazwyczaj kilka. Jednocześnie. Ktoś coś w końcu zasugerował, a że branża aż tak duża nie jest, a populacja rudych też raczej niewielka, to parę aktualnych pań się przypadkiem zgadało. No i gówno wpadło w wentylator. Tyle że... sami rozumiecie. Ja mogę tego nie popierać, nawet z oburzeniem, skoro sama preferuję monogamię, ale to nie moja sprawa, jak dorosły człowiek układa sobie życie osobiste, prawda? Nie on pierwszy i nie ostatni grał na kilka frontów, że pozwolę sobie przywołać chociażby przykład z naszego podwórka, więc... no.

– Ale smród pozostał – podsumował Mogiła.

I to jaki smród. Grono potencjalnych wrogów, którzy chętnie przyczyniliby się do zaginięcia Rafała Manieckiego, rozrosło się właśnie do co najmniej kilkunastu osób. A przecież nie wiedzieli o wszystkim, w co mógł być zamieszany bloger.

– Tak. Generalnie konkluzja jest taka, że ziarnko do ziarnka, a zbierze się wilczy bilet. Facet był w branży skończony. Nikt już nie chciał z nim pracować, nawet w barterze. Podejrzewam nawet, że niektórzy byliby skłonni mu płacić, byle nie pokazywał u siebie ich książek, bo zrobiłby im tylko złą prasę. O cholera. Mam nadzieję, że na to nie wpadł...

– Aż znaleźliście się wy – wytknął Mogiła. – Skończeni i zdesperowani jeszcze bardziej niż Maniecki.

– Na to wygląda...

– No cóż, pani Danielo. Cóż mogę powiedzieć.

– Tak, wiem – wymamrotała do telefonu. – Mam przesrane.

– Nie będę pani okłamywał, pan Wojtek wygląda teraz... intensywnie.

– Dziękuję, Danielo. Pogadamy w poniedziałek – odezwał się kierownik pecha.

– Szefie, wiem, że spieprzyłam, i to nawet dwa razy, wiem, że mogłam przebierać w dziesiątkach, setkach uczciwych blogerów, którzy ogarnęliby nam więcej materiału niż całe dwa filmy po trzy minuty każdy, a wybrałam jakiś kompletny odpad atomowy z ujemną moralnością, ale przysięgam...

– Pogadamy w poniedziałek – powtórzył stanowczo Sztymny i na wypadek, gdyby komuś ta stanowczość jednak umknęła, puknął palcem w czerwoną słuchawkę. – Co?

– Ona naprawdę nie chciała. Ludzie popełniają błędy.

– Tak. Wiem – rzucił kierownik pecha i zaczął iść z powrotem do szosy.

Starszy posterunkowy kolejny raz pogratulował sobie szczerze, że zostawił broń w domu, bo mógłby teraz ulec pokusie i strzelić do człowieka. Może nie od razu tak, żeby zabić, ale już taki drobny postrzał prosto w lewy póldupek...

– Chwileczkę. – Wojciech Szumski stanął jak wryty, po czym obejrzał się przez ramię na Mogiłę fantazjującego o amunicji typu dum-dum. – Jak to... jak to DWA FILMY?

Z błyskiem w oczach rzucił się z powrotem do cudownego głazu. Michał tymczasem wyszarpnął telefon z wewnętrznej kieszeni, odpalił Instagrama i po krótkich poszukiwaniach znalazł profil Manieckiego.

Drugi film został opublikowany poprzedniego dnia, wczesnym wieczorem, mniej więcej wtedy, kiedy przy ognisku toczyła się zażarta dyskusja między ogniwami procesu wydawniczego. I w niczym nie przypominał tego pierwszego. Żadnych filtrów kreujących klimat, żadnego dynamicznego montażu i innych efektów specjalnych, żadnej dodanej muzyki w tle. Jedyne obraz kręcony bezpośrednio z ręki oraz cichy głos Rafała Manieckiego.

„Słuchajcie... nie wiem. Sam nie wiem”, mówił bloger. Zwracał się do swojego telefonu, lecz bez przerwy strzelał przy tym wzrokiem gdzieś na boki. Obrazem kołysało, bo Maniecki siedł, słyhać było odgłos jego kroków, chyba na jakiejś gruntowej ścieżce czy czymś w tym rodzaju. Za nim widać było korony drzew i ciemnosine, listopadowe niebo. Nawet bez skandynawskich filtrów wyglądało to ponuro, jak gdyby zbrodnia wisiała w powietrzu, dyndała na ostatnim cieniutkim włosku. Jedyłą plamą jakiegokolwiek innego koloru niż wszelkie odcienie szarości była bluza z kapturem w krzyklywym odcieniu zieleni, chyba ta sama, którą Maniecki miał na sobie podczas pierwszego obiadu.

„Niby wszystko gra, niby *no hard feelings*, jak to się mówi, ale... nie wiem. No. Czuję, jak na mnie patrzą. Nie wiem, wczuli się w klimat czy co?...” Tu mężczyzna się zaśmiał, tyle że jakoś tak niezręcznie, nerwowo. Pociągnął nosem. „Kiedy warsztaty o zbrodni wejdą za mocno, co? Nie no, żartuję, ten glina nie jest aż tak dobry, żeby ich do

czegokolwiek nakręcić, ale... no nie wiem. Nie wiem. Serio. Chciałbym się mylić. Może się mylę, może mam jakąś paranoję czy coś... Pewnie tak. No. Pewnie tak”. Uśmiechnął się blado i spojrzał prosto w kamerę. „Bo wiecie, chyba nikt nie byłby jakoś zaskoczony czy coś. Gdybym zniknął”.

Ostatnia sekunda, ostatnie drgnienie ręki trzymającej telefon – i koniec.

Jeśli po obejrzeniu pierwszego nagrania Michała Mogiłę opadło wrażenie, że coś mu tu dzwoni w jakimś nieokreślonym kościele, to teraz w jego głowie odpalił się policyjny kogut. Odtworzył nagranie ponownie, chłonąc każdy szczegół, a potem znowu. Trochę przez przypadek zrobił zrzut ekranu, lecz po szybkim namyśle postanowił go nie kasować z pamięci komórki. Zapisane zdjęcie miało tę małą przewagę nad filmikiem wrzuconym gdzieś do social mediów, że nie wymagało zasięgu, by dało się je obejrzeć.

– Czyli nikt nie sprawdził przeszłości Manieckiego. To miło – skwitował, chowając telefon z powrotem za pazuchę, i wtedy za tą jedną myślą przyszła zaraz druga, chyba jeszcze bardziej niepokojąca. – A czy ktoś sprawdził autorów?

ROZDZIAŁ 18

– No nareszcie... – mruknął Xavier F. Wolf, kiedy kierownik pecha wkroczył do pokoju warsztatowego.

Popołudniowy blok warsztatowy opóźnił się jeszcze bardziej niż poranny i autorzy zaczęli się już niepokoić, że zaraz zgarnie ich ten brodaty okrutnik i znowu zmusi do robienia przysiadów albo, nie daj Boże, pompek, pod pozorem, że to wszystko dla ich zawodowego dobra, więc szerzej te rączki, szerzej!

Na ich szczęście Wojciech Szumski nie wykazywał podobnych skłonności. Aktywność fizyczną lubił, owszem, tyle że bez cudzego sapania nad uchem. A już z pewnością nie przyszłoby mu do głowy kogokolwiek przeciągać pod kilem, jak to uczynił Krawczyk. No, przynajmniej nie dosłownie. Ale dzisiaj zamierzał wprowadzić w życie zupełnie inny plan. Na ostatniej stronie scenariusza, który ze sobą przyniósł, miał zapisane wskazówki podrzucone przez Kasię Grzymską, kiedy wczorajszego wieczoru zadzwonił do niej w wielkiej tajemnicy, na zmianę przepraszając żarliwie i na klęczkach błagając o wsparcie. Bo co prawda dopisała na jego scenariuszu kilka przydatnych komentarzy na temat pracy twórczej, za które dziękował jej co drugie zdanie, jednak żaden z nich nie uwzględnił całkowitego braku tej pracy. Innymi słowy, czy Kasia mogłaby podsunąć, co on, do jasnej cholery, miał zrobić z twórcami, którzy nie mogli tworzyć?! Kasia była tak miła, że go nie zrugowała za to naruszenie prawa do prywatności i regeneracji po ciężkim tygodniu pracy, wprost przeciwnie. Służyła mu pomocą i pogodą ducha. Najpierw odpowiedziała na każde pytanie, dorzuciła sporo od siebie, śmiała się i żartowała tak wdzięcznie, aż Sztynny całkiem zapomniał, że to sobotni wieczór, że wokół jest całkiem ciemno i zimno, a on stoi przy głazie pośrodku niczego, od robienia notatek w komórce grabieżą mu dłonie i traci czucie w czubku nosa. Ale kto by się tam przejmował takimi drobiazgami jak czucie.

Potem, już w ciepłe pościeli i zaciszu pokoju na pięttrze, przez kolejne dwie godziny przepisywał notatki z telefonu na wolną stronę scenariusza, porządkując informacje i szykując się na ostateczne starcie z tą bandą upierdliwców.

Bandą upierdliwców, która na jego widok stężała, po czym powróciła do promieniowania urazą. Cóż. Sztynny nie byłby sobą, gdyby się tym

przejmował.

– Zakładam, że od wczorajszego dnia nic się nie zmieniło i pisanie nadal stanowi dla państwa problem nie do przezwyciężenia.

Odczekał chwilę, żeby mogli zgłosić protest, lecz cała piątka milczała jak głaz, przy czym czwórka z tej piątki również jak głaz znieruchomiała. Jedynie Jucha nonszalancko wywijala drutami, nie przerywając produkcji czegoś, co z każdym rządkiem kształtem i rozmiarami coraz bardziej przypominało romboidalny koc.

– Tak też sądziłem. Wobec tego porozmawiamy dzisiaj o blokadzie twórczej i metodach walki z tym... jakże bolesnym dla państwa zjawiskiem.

Musiał się bardzo postarać, żeby nie zareagować szerokim uśmiechem na przerażenie, które wzbudził w autorach tą deklaracją. Ale cóż. Sami się o to prosili.

– Blokada twórcza zachodzi, kiedy krucha psychika twórcy zostaje postawiona w obliczu przymusu o charakterze zewnętrznym, takiego jak termin złożenia tekstu, data premiery lub oczekiwania, czytelników lub własne – wyrecytował, posiłkując się notatkami. – Dotknąć może każdego. Ale tym, co odróżnia amatorów od zawodowców, księżniczki na ziarnku grochu od księżniczek wojowniczych, jest umiejętność sprawnego przełamania tej blokady. Na państwa szczęście można się tego nauczyć. Metod istnieje kilka. Zacznijmy od warunkowania.

Tomasz Troszczaniec nie zamierzał hamować sarkazmu.

– Będzie pan dzwonił dzwoneczkiem, a my będziemy się ślinić? Jak pies Pawłowa?

– Och! – ożywiła się Oleńka na wzmiankę o psach. – To ja bym była mopsem, one są takie urocze! Chociaż w jednym quizie wyszedł mi kiedyś chart. To już sama nie wiem, co wybrać...

– Charty nie są zbyt mądre – wtrąciła Jucha znad chyba koca.

– No właśnie!

Patrząc na trajkoczącą Oleńkę i Juchę, która z wrażenia zgubiła dwa oczka, więc na wszelki wypadek dobrała cztery, Wojciech Szumski pomyślał sobie, że praca w wydawnictwie to byłaby czysta przyjemność, gdyby nie autorzy. Tak. Autorzy psuli całą zabawę.

– Owszem, mniej więcej o taki efekt mi chodzi – zwrócił się do Troszczańca. – Chociaż wolałbym, żeby zamiast śliny wytwarzali państwo tekst. Zatem. – Zerknął do notatek. – Dla wielu pisarzy

podstawowym bodźcem warunkującym skupienie na pisaniu jest tak zwany rytuał. Czyli wypracowanie sobie skojarzenia pewnych czynności, okoliczności lub przedmiotów z aktem twórczym. Czegoś, co działa na poziomie odruchu. To może być zaparzenie herbaty w ulubionym kubku. Zajęcie określonego miejsca czy pozycji. Włączenie odpowiedniej muzyki. Albo... – Tu zawiesił głos, bo musiał odwołać się do długiej listy przykładów, które podyktowała mu Kasia. Z początku Szumski sądził, że stroi sobie z niego żarty, ale nie. Kasia zapewniła go solennie, że to co do jednego przypadki autentyczne, szeroko opisywane w biografjach i innych pozycjach okołoliterackich. A potem sam przyznał, że znani mu osobiście autorzy są wystarczająco dziwni, by odwalić coś podobnego, więc najwyraźniej tak to już w tym środowisku bywa, że dzisiejsze popierdolenie to jutrzejsza anegdota. I teraz mógł błysnąć, zaczął więc wymieniać: – Albo wpatrywanie się w krowy, zmywanie naczyń, leżenie w wannie, leżenie płasko w wygłuszonym pomieszczeniu, leżenie na brzuchu... okej, chyba dostrzegam tu pewien wzorzec. Jak również pisanie w samych majtkach, pisanie nago bądź wprost przeciwnie, pisanie w garniturze lub noszenie tego samego ubrania aż do ukończenia prac nad tekstem... Co brzmi nieco obrzydliwie, ale cóż, nie mnie oceniać. Sportowcom też zdarza się nie zmieniać szczęśliwych skarpetek przed końcem sezonu, więc...

– Och, tak! – Nieco przyklapnięty Xavier F. Wolf ożywił się w mgnieniu oka. – Pełna zgoda, rytuał to podstawa. Świetna rzecz. Ja na przykład piszę codziennie wczesnym rankiem, między godziną szóstą a ósmą piętnaście. Pracuję na pusty żołądek, nie licząc świeżej kawy, oczywiście. Jak... jak ten, no... jak Balzac! – dodał, pstrykając triumfalnie palcami.

– Oczywiście – zgodził się Sztynny z całkowitą powagą. – Wypisz wymaluj jak Balzac.

– I rzeczywiście, to wtedy wspinam się na wyżyny, wyżyny! Najwyraźniej moje ciało już wie, że dopiero intensywnym wysiłkiem umysłowym zasłuży sobie na posiłek – kontynuował Wolf. – Poza tym moja mama nie wstaje przed siódmą i najpierw bierze leki, więc i tak muszę czekać na śniadanie co najmniej do ósmej trzydzieści.

Siedząca obok Jucha wydała z siebie coś jakby głośnie, przeciągłe rżenie.

– Ja tam skarpetki mimo wszystko zmieniam regularnie – przyznała, gdy już doszła do siebie – ale faktycznie, bez herbaty ani

rusz. I papierosa. No, ewentualnie paczki, jeśli się rozkręcę.

Pierwszy rząd autorów zakończył wyznania, przyszła zatem kolej na rząd drugi.

– A ja nie mam żadnych rytuałów – oznajmiła Oleńka Kulczańska, uśmiechnięta i promienna. – Uważam, że w literaturze najważniejsze są autentyczne emocje, spontaniczność i niczym nieskrępowana radość tworzenia.

– I to dlatego obecnie nie tworzy pani wcale? – upewnił się Sztynny.

– Ale jestem w tym bardzo autentyczna. Bardzo. I mimo wszystko radosna! – Obróciła się na swoim krześle do koleżanki po piórze. – A ty?

– Ja? – Margo Mesjasz wzruszyła ramionami. – Nie mam czasu na rytuały. Jestem matką czworga dzieci w wieku od lat czterech do trzynastu. Mogę pisać wszędzie, byle chociaż przez pięć minut nikt do mnie nie mówił, nie wymiotował ani nie usiłował czegoś podpalić. Lub kogoś.

– To co ty tu w ogóle robisz? – zapytał Tomasz Troszczaniec z czymś, co równie dobrze mogło być nieskrywanym niesmakiem, jak i permanentnym wyrazem jego twarzy.

– Pytasz, dlaczego jestem tutaj i wysypiam się po raz pierwszy od trzynastu lat, zamiast jak na dobrą matkę przystało warować całą dobę przy potomstwie beze mnie niechybnie skazanym na upadek moralny, moczenie nocne i ogólną zagładę?

– Chodziło mi raczej o to – Troszczaniec warkliwym tonem przystąpił do sprostowania – że matki zwykle piszą wesołe wierszyki i bajeczki dla dzieci. To chyba ich naturalny gatunek?

Margo Mesjasz uśmiechnęła się z politowaniem.

– Widać, że nigdy nie byłeś na szkolnym zebraniu, które zamiast dwudziestu minut trwa godzinę pięćdziesiąt, bo jakaś matka musi koniecznie poznać mechanizm komponowania przez stołówkę zupy z drugim daniem z uwzględnieniem kompotu z owoców sezonowych, a czyjś ojciec forsuje implementację narzędzi, które doskonale sprawdzają się w jego międzynarodowej firmie, gdzie odnosi wielkie sukcesy z widokami na awans. Mniej więcej po trzecim kwadransie człowiek jakoś tak odruchowo zaczyna myśleć o krwawej zbrodni. Więc tak, naturalnym gatunkiem dla matki dzieciom jest kryminal. No, ewentualnie horror. I to raczej *Piła* niż *Opowieści z dreszczykiem*.

Wojciech Szumski spodziewał się po tych warsztatach wielu rzeczy, w tym ofiar, lecz z pewnością nie tego, że będzie musiał z wielkim wysiłkiem ukrywać rozbawienie.

– Jak widać, nie wszyscy mają wypracowane rytuały – podjął, gdy nadęty Troszczaniec powrócił do swej nonszalanckiej pozy. – Jedni ich nie potrzebują, inni dopiero są na etapie szukania. Bądź wyparcia. Istnieją również pewne narzędzia. Na przykład programy blokujące przeglądarki internetowe albo specjalne edytory tekstu, których nie da się wyłączyć przed osiągnięciem zadanego z góry celu.

– Ale po co?

– Pomagają w koncentracji na pracy twórczej bez ściągania majtek. Co jeszcze... A tak. Niektórzy stosują też podobno prostsze sztuczki psychologiczne, takie jak zamiana fontu na Comic Sans albo jego koloru z czarnego na... nie wiem, błękitny. Brzmi dziwacznie, to prawda – przytaknął, widząc ich zaskoczenie. – Cóż, nawet mnie byłoby trudno traktować ze śmiertelną powagą tekst napisany błękitnym Comic Sansem. A podobno dzięki takiemu posunięciu autor może złapać dystans do tekstu i uwolnić się od przytłaczającego ciężaru oczekiwań. I zacząć, bo ja wiem... pisać? Co niniejszym serdecznie państwu polecam.

– Ale jaki znowu dystans, co pan mi tu chrzani?! – wybuchnął Troszczaniec. – W tekst trzeba wejść, wskoczyć na główkę, taplać się w nim i brodzić!

– A tak. Byłbym zapomniał. Pan Troszczaniec pisze metodą Stanisławskiego. Gdybyście państwo nie znali tej metody, polega ona na tym, że stoi się przez pół nocy na podwórku w listopadowym deszczu, żeby chłonać rozpacz istnienia. Na przykład. No cóż, jest pan dorosły. Jeżeli pan chce, mogę jeszcze napluć panu do kawy, żeby dopełnić szczęścia.

– Skoro na nic lepszego pana nie stać.

– Stać mnie na dużo, dużo więcej. – Sztywny wyprostował się powoli, leniwie, niczym czarna pantera, której znudziło się wylegiwanie na gałęzi, i postanowiła dla odmiany rozerwać coś na strzępy. – Pytanie tylko, czy jaśnie pan autor zawiesi ego na kołku, zniży się do poziomu literatury komercyjnej i będzie zapierdalał na sukces. Bo ja będę. A może jaśnie pan autor tak bardzo boi się porażki, że na wszelki wypadek nawet nie spróbuje się... jak to szło? A tak. Zmonetyzować.

– Prawdę mówiąc, mam to gdzieś.

– To może zrobimy tak. Proponuję panu mały eksperyment. Spokojnie, bez ślinienia – zapewnił czym prędzej. – Pan rzygnie tym swoim wysublimowanym mrokiem prawdziwej literatury. Ja go ładnie opakuję i sprzedam tak, że pogubi się pan przy liczeniu zer. Pan na tym zarobi i będzie z tego tytułu niezmiernie cierpiał, no bo jak to tak, monetyzacja, a fe. Rozdarcie wewnętrzne, konflikt, obrzydzenie, te sprawy, będzie pan mógł przebierać w traumach. Więc z tego cierpienia znów rzygnie pan mrokiem. I w ten sposób zamkniemy kółeczko. Pan mi dostarcza mroku, ja panu cierpienia. Stoi?

Troszczaniec zaprzestał dalszych dyskusji i aż do końca warsztatów milczał jak kamień, trawiąc tę propozycję, podczas gdy Sztynny nie tyle zachęcał, ile słowem i przemocą symboliczną zapędzał pozostałą czwórkę do obmyślania sposobów na przełamanie twórczego impasu. Kiedy popołudniowy blok warsztatowy dobiegł końca, autorzy byli gotowi zmierzyć się nie tylko z własną blokadą, lecz także przebić gołymi rękami nowy tunel przez Alpy, przez Kaukaz nawet, byle tylko ten facet wreszcie się od nich odwalił.

Spotkali się kwadrans później w pokoju jadalnianym na kolacji. Sztynny nie był szczególnie głodny, więc nawet nie usiadł, tylko porwał suchą bułkę i kubek herbaty. Już miał się związać, kiedy zatrzymał go Xavier F. Wolf.

– Panie Wojtusi, miałbym taką gorącą prośbę – wymamrotał półprztytomny. – Gdyby mógł pan się jutro nieco bardziej przyłożyć do tego parzenia, bo ja nie wiem, jak pan to robi, ale po tej pańskiej kawie ja zasypiam na siedząco! A jak ja mam tworzyć w takich warunkach?!

– Och. To przykre. Zapewniam, że dokładam wszelkich starań, a na parzeniu kawy znam się jak mało kto. Kolega zaświadczy – dodał Sztynny, wskazując za siebie na Krawczyka, który przytaknął uroczyście.

– Zaświadczam. Wczoraj wziąłem łyżeczek i nadal mam migotanie przedsióneków.

– To ja już nic nie rozumiem...

– Może to przez zmianę klimatu? – podsunął Sztynny z troską. – Górskie powietrze bardzo pobudza przemianę materii.

– Faktycznie, coś może być na rzeczy! Ja jestem bardzo wrażliwy na takie zmiany. Moja mama do dziś wspomina, jak źle zniosłem odstawienie od piersi...

– Czy ja dobrze zrozumiałem? – zapytał Krawczyk, kiedy skołowaciały Wolf oddalił się celebrować swą wrażliwość oraz zmianę diety w ustronniejszym kącie. – Pan kierownik zrywa się bładym świtem, żeby parzyć kawusię autorowi?

– Owszem. Pan Wolf potrzebuje kawy, żeby tworzyć. Codziennie między godziną szóstą a ósmą piętnaście.

– I pan kierownik mu tak tę kawusię robi w podskokach?

– Robię.

– A jaką?

– Najlepszą, na jaką zasługuje, rzecz jasna.

Krawczyk splótł mocarne ramiona na piersi i uniośł brwi, wężąc ściemę z kilometra.

– Czyli jaką?

– Bezkofeinową – rzucił Sztywny, po czym zostawił sekretarkę sam na sam z ekstazą. Jeszcze na piętrze słyszał jego donośny, krasnoludzki rechot.

Po zarwanej nocy oraz zbyt wczesnej pobudce kierownik pecha padał z nóg. Pochłonał bułkę trzema kęsami, szybko wskoczył pod prysznic, a potem jeszcze szybciej pod kołdrę. Przez chwilę zastanawiał się, czyby może nie poczytać choćby pięć minut, tak dla zachowania pozorów rozwoju intelektualnego, lecz nim się zorientował, że zaczynają mu ciążyć powieki, już odplynał na szerokie wody.

Obudził go – jakżeby inaczej – jakiś hałas na parterze.

Ledwie widząc na oczy, Sztywny wygrzebał się spod kołdry, chwycił bluzę i poczłapał na dół. Miał szczerą ochotę kogoś zabić. Kogokolwiek, choć prawdopodobnie padłoby na Troszczańca, bo to zapewne on znowu siedział po nocy i z tego siedzenia zapragnął potaplać się w deszczu i cierpieniu. Nie przewidział tylko, że drzwi wyjściowe znowu będą zamknięte na cztery spusty i żadne szarpanie za klamkę tego nie zmieni.

Tyle że na parterze nikogo nie było. Ani w podcieniu, ani na korytarzu, ani w łazience – nigdzie ani śladu ludzkiej czy autorskiej obecności. Zdezorientowany Sztywny przeszedł się na drugi koniec budynku i naraz przystanął, wyężdżając wszystkie zmysły. Nie potrafił określić, czy coś usłyszał, czy bardziej poczuł, ale ogarnęło go dziwne wrażenie, że w pokoju jadalnianym ktoś jest. Spróbował nacisnąć klamkę, napotkał jednak opór. Niech to szlag, czyżby Krawczyk

zamknął drzwi, za to zostawił otwarte okno? Przy tej pogodzie za chwilę wszystko będzie zalane deszczówką...

Gdy był w połowie schodów na piętro, naraz dobiegł go z góry stłumiony męski głos:

– Co ty... co ty robisz?

Po tych słowach znów zapadła cisza, aż naraz ten sam głos zakrzyknął rozpaczliwie:

– Michaś?! Błagam, Michaś, nie rób tego!!! MICHAŚ!!!

Szumskiemu więcej nie było trzeba.

Wziął szturmem ostatnie stopnie i szerokość piętra, która dzieliła go od pokoju Krawczyka i Mogiły. Gdyby drzwi otwierały się w należytą stronę, prawdopodobnie wpadłby do środka razem z nimi. Zamiast tego pociągnął za klamkę z taką mocą, że prawie wyrwał zawiasy z futryny, i wparował do pomieszczenia niczym tornado w ludzkiej formie.

Po czym ledwo wyhamował i go zamurowała.

Arkadiusz Krawczyk i Michał Mogiła, również zbaraniałi bezgranicznie, gapili się na kierownika pecha z poziomu podłogi. Przed nimi rozciągała się wielka plansza w mrocznych barwach, zdobiona ornamentami i mnogością macek, na której stały jakieś figurki, leżały karty i skomplikowane kości, ogółem – działo się tam coś, czego Szumski nie ogarniał.

– Pan kierownik czegoś szuka? – zagaił uprzejmie sekretarka, gdy już odnalazł język w gębie.

– Co tu się dzieje?! – Szumski siłą rozpędu zażądał wyjaśnień, chociaż pomału zaczynało do niego docierać, że zapewne trochę zbyt pochopnie ocenił sytuację. Plansza trąciła nieco okultyzmem, owszem, ale nikt tu chyba nikogo w ofierze pradawnym bogom nie składał. Przynajmniej nie w tym momencie.

– A co ma się dziać? Korzystamy z okazji i jedziemy z ostatnim scenariuszem, żeby się uwinąć do jutra z całą kampanią. Tyle że Michaś właśnie się srodze rąbnął przy liczeniu zasięgu leczenia, więc chyba przegramy i trzeba będzie zaczynać od nowa... Ech, Michaś, gdzieś ty się uczył liczyć do trzech. No i tak... – Krawczyk pokiwał głową nad smutnym losem kampanii, którą czekał niechybny koniec, tyle że zupełnie inny, niż sobie założyli, po czym podniósł zasmucony wzrok na Sztywnego. – A pan kierownik co myślał?

– Nieważne – uciał Szumski. – Przepraszam za najście.

Lecz w umyśle Krawczyka doszło już do nieuchronnego procesu myślowego, zwieńczonego szokującym wnioskiem.

– A niech mnie. Pan kierownik przybył na ratunek?!

– Być może – warknął Sztynny. – Nie rozumiem, o co to całe zamieszanie.

– Widzisz, Michaś? Widzisz? Są jeszcze na tym świecie prawdziwi herosi! A ty mnie zostawiłeś samego w podziemiach z Kijanu Potężnym i jego bandą przydupasów bez twarzy. Nieładnie. Nieładnie!

– Przepraszam, panie Wojtku... – Zadumany Mogiła pomału złożył karty, które trzymał w dłoni. Strategia walki z potężnymi przeciwnikami na planszy interesowała go teraz o wiele mniej niż pewien szczegół. – A tak właściwie to skąd pan się tu wziął?

– Usłyszałem krzyk Arka, więc przybiegłem.

– Mój rycerz... – zagruchał prawie że czule Krawczyk znad planszy.

Mogiła jednakże nie podzielał ciepłych uczuć sekretarki. Wprost przeciwnie, hodował sobie własne, zupełnie odmienne, na solidnej pożywce. Na przykład taką podejrzliwość.

– To musiał pan być naprawdę blisko, panie Wojtku, skoro pan usłyszał krzyk Arka, a autorzy w swoich pokojach już nie. Nie mieszka pan przecież za ścianą.

Nawet na sekundę nie odrywał przy tym oczu od kierownika pecha. Jeżeli jednak sądził, że Szumski się spłoszy, to mocno się przeliczył.

– Ależ proszę, już tłumaczę – odpowiedział Sztynny, po czym zaczął sucho relacjonować. – Obudził mnie jakiś hałas. Sądziłem, że to Troszczaniec znów próbuje chłonać nikotynę, deszcz i rozpacz. Więc zszedłem na dół, żeby go zdrowo... przywołać do porządku.

– I co? To rzeczywiście był on?

– Może. Nie wiem, nikogo tam nie zastałem. A jeśli nawet, to cóż, pokrzyżowałem mu plany, bo wieczorem osobiście zamknąłem te drzwi na klucz, żeby nikt się nie pętał po nocy. Korytarz też był pusty. Przeszedłem się kontrolnie i wtedy coś... nie tyle usłyszałem, ile... – Ten jeden raz Sztynny urwał, jak gdyby musiał najpierw dobrze przemyśleć, co się właściwie stało, zanim podzieli się tym z przedstawicielem organów ścigania. – Wydawało mi się, że ktoś jest w pokoju jadalnianym. Nacisnąłem klamkę, żeby to sprawdzić. Drzwi były zamknięte, co w pierwszej chwili trochę mnie zaskoczyło, ale potem pomyślałem, że pewnie Arek zostawił uchylone okno i teraz wiatr z deszczem hulają w środku. Stąd te dźwięki.

– Zamykałeś?

– Zamykałem – potwierdził Krawczyk. – Odkryłem, że jakaś małpa wyżera mi słodczyce proteinowe pod osłoną nocy. Sam rozumiesz, musiałem ukrócić ten niecny proceder.

– I co było potem? – Mogiła zwrócił się na powrót do Sztynnego.

– Chciałem do was zapukać i poprosić o klucz. Szedłem już na górę i wtedy usłyszałem krzyk.

– Rozumiem.

Sztynny zmrużył delikatnie powieki, jak gdyby właśnie się zastanawiał, czy wkomponować starszego posterunkowego w podłogę w charakterze krwawej miazgi, żeby lepiej pasował klimatem do planszy, czy jednak nie.

– Pan chciałby mi coś zarzucić, panie Michale?

– Poza nie do końca rozsądnym odcięciem jedynej drogi ewakuacyjnej? – Starszy posterunkowy uprzejmie udał, że się namyśla. – Nie, chyba nie.

„Jeszcze nie”, dodał w myślach Mogiła, patrząc, jak Szumski obraca się na pięcie i wychodzi z pokoju.

ROZDZIAŁ 19

Michał Mogiła do późnej nocy leżał i myślał, próbując rozgryźć zniknięcie Manieckiego, zanim nadejdzie ten moment, gdy będzie już musiał wezwać wsparcie. Przyznać się do porażki. W rezultacie kiedy się obudził, za oknem było zdecydowanie zbyt jasno. Ubrał się w pośpiechu, mycie zębów zostawił na później, i zbiegł na dół, gdzie minął się na korytarzu z Margo Mesjasz w pełnym rynsztunku spacerowym. O rany, naprawdę zaspał... Nabrał głęboko powietrza i wkroczył do pokoju jadalnianego.

I tam odkrył, że niedzielne śniadanie przybrało jeszcze bardziej osobliwy obrót niż sobotnie.

Listopadowa pogoda chyba uznała, że teraz albo nigdy, oto ostatnia szansa, żeby zaimponować towarzystwu, bo odkręciła wszystkie kurki z deszczem i wypuściła wiatr, by sobie poszalał do woli, a razem z wiatrem zaczęło też szaleć ciśnienie. Nic dziwnego, że w takich warunkach Xavier F. Wolf utracił pion i zasnawszy z policzkiem na toście, chrapał jak stary niedźwiedź. Oleńka Kulczańska zawiesiła się nad swoim śniadaniem, aż jej wianuszek oklapł smętnie na płowej głowie. Tomasz Troszczaniec wcisnął się w kąt, gdzie w zaciętym milczeniu mierzył się z kawą oraz propozycją, jaką mu złożył kierownik pecha. Wyraźnie przegrywał. Najbardziej przytomny z tej zgrai wydawał się Krawczyk, który szykował sobie właśnie pajdę chleba z trzema warstwami żółtego sera przekładanego keczupem.

Wojciech Szumski nawet nie zaszczyił ich swoją obecnością.

– A ty co? – zagaił Mogiła, stając obok Krawczyka. – Znowu zajadasz stres?

– Mam co – wytknęła sekretarka z urazą. – Chociaż nie mam czym, bo mimo zasięków jakiś pawian zżarł mi ostatnie słodczyce proteinowe z parapetu, więc jestem skazany na nabiał z cukrem. W takiej chwili!!!

– Oj, no weź już nie mirmiluj. Przegraliśmy to przegraliśmy, bywa i tak. Jakbyś nie znał tej gry.

– Mówiłem, żebyś jeszcze raz przeliczył – wyburczała sekretarka. – Ale nie. Nawet nie sprawdziłeś karty warunku na tę rundę. A tam stało jak wół, że dopóki Kijanu Potężny jest w grze, to zasięg leczenia spada wszystkim o jeden!

I wtedy to się stało. Być może sprawiła to niepowtarzalna kombinacja potęgi Kijanu z ciśnieniem i chrapaniem Xaviera F. Wolfa, a być może Mogiła osiągnął masę krytyczną – w każdym razie nagle powiązał dwa dyndające sznureczki, aż mu z tego olśnienia przed oczami rozbłysła supernowa.

– ZASIEG – sapnął ciężko.

– Tak, zasięg, no przecież, że nie mana!

Fachowym chwytem, którego raczej nie powinien używać na cywilach, Mogiła złapał sekretarkę za łokieć i w ułamku sekundy wywlókł na korytarz. Musiał mówić, musiał mówić i myśleć, jednocześnie, myśleć, mówiąc, i mówić, myśląc, a żadnej z tych rzeczy nie mógł robić w obecności autorów!

– Oni są uzależnieni od internetu bardziej niż od powietrza – zaczął półgłosem, ledwie oddalili się na kilka kroków od pokoju jadalnianego. – Autorzy, blogerzy, promotorzy. Bez dostępu do sieci nie mogą nic zrobić. Nic, rozumiesz? NIC!!!

– Nic. Tak. Rozumiem. Nic nie rozumiem.

– Czyli Maniecki musi być gdzieś, gdzie ma zasięg, bo bez zasięgu nie wrzucałby tych filmów do internetu, prawda? Chociaż... czekaj. W pokoju też go nie miał... – uświadomił sobie. – A przecież opublikował jakoś pierwsze nagranie, i to jeszcze przed tym, jak zniknął. Chyba przed. A potem drugie, już po tym, jak zniknął. JAK? Jak on to zrobił? Kiedy on to zrobił? Gdzie?!

– Powiedziałbym, że w dupie, ale to taka luźna uwaga.

– Maniecki nie zaginał. Ktoś chciał, żeby się nam tak wydawało, ale on wcale...

Nie zdążył dokończyć. Ciche, miękkie kroki, które przemknęły gdzieś w tle, mogłyby im umknąć w ferworze obustronnego mówienia i myślenia, lecz upiorny zgrzyt nie miał już szans ująć ich uwadze. Żadne z autorów nie opuściłoby pokoju jadalnianego tak, żeby tego nie widzieli, zatem to mogła być tylko jedna osoba.

Sekretarka i policjant zdążyli dopaść drzwi wyjściowych, zanim te zatrzasnęły się z hukiem.

– A ten dokąd? – wymamrotał Mogiła, patrząc za oddalającą się energicznie atletyczną postacią Wojciecha Szumskiego.

Nie tracili czasu na szukanie kurtek, tylko obydwaj, tak jak stali, podążyli za kierownikiem pecha.

Podobnie jak poprzednio, kiedy Mogiła go śledził, tak i tym razem Sztynny maszerował w dół szosy, żeby w pewnym momencie odbić w prawo, przeskoczyć barierkę z godną pozazdroszczenia łatwością i następnie ruszyć na przełaj w stronę lasu. Wydawało się z początku, że zmierzał prosto do cudownego głazu, minął go jednak i zatrzymał się dopiero kawałek dalej, tuż nad samym brzegiem strumienia. Z kieszeni turystycznej kurtki wyciągnął telefon. Sądząc po ruchach, wybrał numer i nawiązał połączenie, ale szum intensywnego deszczu i płynącej warko wody zagłuszały jego słowa – oraz kroki podkradających się coraz bliżej mężczyzn.

– ...siedemset dwadzieścia osiem – dobiegł ich głos Sztynnego, kiedy zbliżyli się na zaledwie kilkanaście metrów. – Osiem. OSIEM. Tak. Już? Dobra, czekaj, sprawdzam. – Oderwał telefon od ucha i przez parę sekund w nim grzebał, garbiąc się tak, żeby osłonić urządzenie przed ulewnym deszczem. – Dobra. Załatwione.

Rozłączył się, lecz zanim zdążył wsunąć telefon do kieszeni, Michał Mogiła wyprostował się, wyłaniając zza krzaka, i rzucił w przestrzeń:

– Dzień dobry, panie Wojtku. Z kim pan rozmawiał?

Sztynny okręcił się tak szybko, że podeszwa zapiszczała mu na mokrym kamieniu.

– Nie pański interes.

– Ja bym mu teraz jebnął tak profilaktycznie... – wtrącił półgębkiem Krawczyk, lecz Mogiła nie byłby sobą, a już z pewnością nie byłby starszym posterunkowym, gdyby tak łatwo ulegał pokusom. Nawet takim. Powoli podszedł do kierownika.

– Panie Wojtku, ujmę to tak. Albo mi pan odpowie, albo zaraz powrócimy do bardziej formalnych stosunków. Takich z użyciem paragrafów i innych chwytów obezwładniających.

Nie obyło się bez kilku piorunujących spojrzeń, lecz koniec końców Szumski odblokował ekran komórki i zaprezentował Mogile i Krawczykowi listę ostatnich połączeń.

– Zadowoleni?

Dwaj mężczyźni z zainteresowaniem nachylili się nad telefonem. Sekretarce wystarczył jeden rzut oka.

– Przecież to numer Stalówki.

– Jesteś pewien?

– Tak, Michaś. Jak zasięgu leczenia.

– Co to za cyfry mu pan dyktował? – zwrócił się Mogiła do kierownika pecha. – To był jakiś kod?

– Owszem, można to tak nazwać. – Uznawszy, że prezentacja dowodu dobiegła końca, Szumski natychmiast schował telefon. – Płaciłem blikiem.

– Co?

– Płaciłem. Blikiem. Czy inaczej: podawałem Stalówce kod do płatności blikiem, żeby go wprowadził u siebie. I zapłacił.

– Za co?

Sztywny spochmurniał jeszcze bardziej i zacisnął usta, gotów raczej umrzeć niż zdradzić tę tajemnicę. Ale tak daleko idąca ofiara nie była konieczna. Michał Mogiła domyślił się w okamgnieniu, o czym kierownik pecha tak bardzo nie chciał rozmawiać.

– A, no jasne. Za fachowca.

O proszę. O ile starszy posterunkowy znał się choć trochę na ludziach i reakcjach odruchowych, to zaskoczenie, jakie rozbłysło w niebieskich oczach Szumskiego, było autentyczne.

– To pan wie?

– O czym? Michaś? – Zdezorientowany sekretarka wodził wzrokiem od Mogiły do Szumskiego. – O czym on wie, że ja nie wiem?

– Pani Kasia niechęć ściągnęła na sprzęt firmowy potężną klątwę dikpików – wyjaśnił w wielkim skrócie Mogiła.

– TO NIE JA – zastrzegł od razu Krawczyk.

– Trochę jednak ty – zauważył uszczypliwie policjant, zamiast jednak wdać się w szczegółowe wyjaśnienia, na powrót skupił się na Sztywnym. Ten człowiek skrywał wiele niespodzianek. – Czyli pan też wie. Od Stalówki?

Czy mu się tylko zdawało, czy Wojciech Szumski jak gdyby spuścił z siebie część pary?

– Od Kasi. – Gdy się odezwał, z jego głosu przebijała cicha rezygnacja. – Rozmawiałem z nią o sprawach służbowych i jakoś tak nam zeszło... Wszystko mi wyplakała. Więc zadzwoniłem do Stalówki i powiedziałem mu, że ma się nie wydurniać i nie bawić w tatusia złotą rączkę, który wszystko potrafi i wszystko naprawi sam, tylko natychmiast ściągnąć fachowca, żeby odzyskał dane i doprowadził sprzęt do stanu używalności. Problem w tym, że budżet wydawnictwa by tego nie udźwignął, więc... Cóż. Właśnie zapłaciłem z własnego konta.

– Naprawdę? – Krawczyk zbaraniał.

– Tak, naprawdę – warknął Sztywny, ponownie się najeżając. – Może nie jestem przełożonym do rany przyłóż, ale wbrew pozorom miewam ludzkie odruchy i dbam o trzy podstawowe prawa moich podwładnych. Uczciwe warunki pracy, święty spokój po godzinach i wypłaty na czas. A jak wspominałem, budżet wydawnictwa nie zniósłby kolejnego wydatku bez uszczerbku na wynagrodzeniach. Nie po tym, jak wyrwałem z ojca dyrektora kasę za nadgodziny.

Mogila przypomniał sobie zaciekle opór, jaki poprzedniego dnia stawiał mu Sztywny, powołując się na świętość kodeksu pracy. Okej, musiał przyznać, że to się nawet układało w spójną całość. W spójny wizerunek kierownika pecha.

Ale jednego tu nadal nie rozumiał.

– I to Stalówka pana szantażuje? – strzelił na oślep.

– Nie no, gdzie. – Szumski na powrót spochmurniał. Zmarszczył brwi, zniżył głowę i spał się cały, jak gdyby przymierzał się do wzięcia byka za rogi nie tylko w przenośni, ale też dosłownie. – Daniela.

– Daniela?!

– Czym?!

Choć wydawałoby się to już niewykonalne dla dwudziestu dwóch mięśni mimicznych ludzkiej twarzy, Wojciech Szumski skrzywił się jeszcze bardziej, lecz w końcu znów sięgnął po telefon. Znalazł właściwy czat, przewinął kawałek i z ciężkim sercem kliknął w strzałkę, żeby ponownie pobrać usunięte zdjęcie. Sekundę później ukazało się w całej okazałości.

– CHRYSTE PANIE!!! – wrzasnęła sekretarka wraz z policjantem.

– Kto ją tak urządził?!

Na widok zdjęcia, które Daniela Majewska przesłała przełożonemu, Krawczykowi aż się żołądek skręcił w supeł. Choć to akurat mógł być skutek uboczny śniadania, co nie zmieniało faktu, że zbliżenie na wielkie grudkowate krosty z rozległym obrzękiem, strupami i delikatną sugestią ropienia już samo w sobie było dostatecznie wstrząsające, żeby przyprawić człowieka o gwałtowny przypływ empatii.

– Półpasiec. Wyszedł jej na twarzy. I do tego jeszcze się lekko nadkaził jakimś syfem.

– Lekko?... – powtórzył zdławionym głosem Mogila, gdyż jemu to wcale nie wyglądało na lekkie cokolwiek. Raczej na srogi dylemat: co tu

weszać, karetkę czy od razu karawan?

– Daniela nie dała mi żadnego wyboru – podjął Sztywny, gdy już się wstępnie otrząsnęli po niespodziewanym widoku. – Zagroziła, że jeżeli nie zastąpię jej tutaj osobiście, tylko zostawię całe warsztaty na waszych głowach, jak pierwotnie zamierzałem, to przyjedzie do wydawnictwa i obliże mi biurko. W przeciwnym razie w ogóle by mnie tu nie było. Co? – warknął na widok miny sekretarki.

– Nic, panie kierowniku – odparł słodko Krawczyk. – Wielkie nic.

– A czy w trakcie rozmowy z panem pani Kasia wspominała coś o autorach?

– Nie. Nasza rozmowa dotyczyła zupełnie innych kwestii.

– No cóż, panie Wojtku. W takim razie mam dla pana bardzo złą wiadomość. Warsztaty dobiegają końca, wszyscy potencjalni świadkowie zniknięcia Manieckiego zaraz zaczną się pakować i zbierać do wyjazdu. To nasza ostatnia szansa, żeby coś jeszcze ustalić. Więc albo zadzwoni pan do niej tu i teraz, wbrew niedzieli i kodeksowi pracy, albo ja zadzwonię po odpowiednie służby.

Naprawdę nie chciał go stawiać tak bezpardonowo pod ścianą, bo Sztywny w takim położeniu odruchowo zaczynał koncentrować się na kontrofensywie zamiast na współpracy. Ale czas im się kończył nieubłagane – do umówionego transportu powrotnego zostało siedem godzin, a oni wciąż nie mieli pojęcia, gdzie się podział Maniecki.

Najwyraźniej podobne procesy myślowe toczyły się nie tylko w głowie starszego posterunkowego, bo kierownik pecha nasrożył się w pierwszym odruchu, lecz potem, wbrew obawom Mogiły, chwycił za telefon.

– Dzień dobry, pani Kasiu.

– Och, dzień dobry!

Kasia Grzymska odpowiedziała mu z głośnika tak radośnie, że Mogiła nie zapanował nad twarzą i wytrzeszczył oczy. I mógłby przysiąc, że na dźwięk jej głosu nozdrza Szumskiego drgnęły niczym u ogiera spinającego się do galopu. O rany... Więc...? Więc to takie buty. Nic dziwnego, że Sztywny prawie stracił nad sobą panowanie, kiedy Jucha nazwała Kasię bzdziągwą.

– Pani Kasiu, dzień dobry – pospiesznie przejął inicjatywę. – Z tej strony starszy posterunkowy Michał Mogiła. Pamięta mnie pani?

– O Boże... znaczy, tak! TAK! Pamiętam, oczywiście!

– Nie no, bardzo mi miło. Pani Kasiu, mam takie małe pytanie, a pani Daniela Majewska odesłała mnie z tym do pani. Pani podobno rozmawiała z Rafałem Manieckim, tym blogerem od obsługi medialnej. To prawda?

– Och, tak. Zadzwoił do mnie któregoś dnia. Naprawdę bardzo miły człowiek. Bardzo. Taki kontaktowy. Był dobrze zorientowany w różnych sprawach, takich wydawniczych i w ogóle. Od razu znaleźliśmy wspólny język.

– Na przykład jakich sprawach?

– No... no takich wydawniczych...

– Pani Kasiu, ale tak precyzyjniej – poprosił Szumski. – Redakcyjnych? Promocyjnych? Sprzedażowych?

– Bardziej redakcyjnych. Chociaż... sprzedażowych chyba trochę też?... Na przykład bardzo go interesowały stawki za różne rzeczy, ile to jest dużo, a ile za mało, żeby komuś zaoferować. Wypytywał o współpracę autora z redaktorem, o sprawdzone drukarnie z krótkimi terminami. Bardzo go zaciekawilo, czym się różni druk offsetowy od druku cyfrowego. Potem mi pomógł w podzięcie, kiedy mu się przyznałam, że utknęłam i nie potrafię wybrać finałowej piątki. Naprawdę, bardzo, bardzo miły człowiek. Na przykład raz...

– Chwileczkę – przerwał redaktorze Mogiła. – Maniecki znał nazwiska osób biorących w warsztatach?

– No... no tak. A to źle?

– Proszę się nie martwić, próbuję tylko coś ustalić – odparł uspokajająco, lecz Kasia Grzymska już się zapowietrzyła ze stresu.

– O Boże – wydyszała do słuchawki. – O Boże, ja nie powinnam była?! Zdradziłam tajemnicę przedsiębiorstwa?!... Ale ja naprawdę nie chciałam, robiłam coś takiego pierwszy raz! Olafek też się pogubił. A pan Maniecki był naprawdę bardzo...

– ...bardzo miły – dokończył Sztymny. – Tak, wspominała już pani o tym, pani Kasiu. Proszę się nie obawiać, nic się nie stało.

– Ale na pewno?...

– Na pewno – potwierdził z całą mocą Mogiła, bo Szumski prawie poszatkował go wzrokiem, domagając się czynnego wsparcia. – Jak to wyglądało?

– Szczerze? Aż momentami robiło mi się wstyd, bo pan Maniecki orientował się o wiele lepiej niż ja w tych wszystkich procedurach, niuansach i tak dalej. A przecież to było moje zadanie, prawda? A on

tak po prostu usiadł, zadał kilka niezobowiązujących pytań, takich trochę „jakim kolorem tęczy jesteś” albo „jaką miałbyś moc, gdybyś był warzywem”, po czym od razu wskazał finałową trójkę.

– Chyba chciała pani powiedzieć piątkę? – zauważył Mogiła.

– A... a tak! Tak, ich łącznie wyszło pięcioro, ale mówił, że za tę trójkę osobiście ręczy. Za... jak on to ujął? O, za dynamikę charakterów. A z tymi dwiema pozostałymi osobami wyszło trochę zabawnie. Koniec końców wybraliśmy po nazwiskach, Mesjasz i Boligłowa. Tak, wiem, nie powinnam się śmiać z takich rzeczy, ale... Ale pan Maniecki sam stwierdził, że czasem warto wpuścić odrobinę chaosu, tak dla ożywienia.

– Chciałbym jeszcze wrócić do autorów, jeśli pani pozwoli. Czy może nam pani powiedzieć coś więcej na ich temat? Kim są, skąd przybyli... dokąd zmierzają?

– No jak to dokąd? Do sukcesu! – Kasia Grzymska zaśmiała się perliście, aż Sztywnemu nozdrza znowu stanęły dęba. – Więc z autorami to jest tak...

ROZDZIAŁ 20

– Bardzo dziękuję i jeszcze raz panią przepraszam, pani Kasiu. To się więcej nie powtórzy – obiecał Sztywny, kiedy Kasia Grzymska wszystko im już opowiedziała, i niezwłocznie zakończył połączenie.

– Pan kierownik tak nie dobija dziewczyny – mruknął Krawczyk. Uśmiechał się jak kot nad miską śmietany.

– Nie rozumiem.

– Oj... Jak to mawia sędzia na wakacjach? Nie sędzę, panie kierowniku, nie sędzę...

Przez następnych kilkanaście sekund Wojciech Szumski wpatrywał się intensywnie w sekretarkę, usiłując dojść, o co chodzi, jakie znowu wakacje, aż naraz zbladł jak ściana.

– Pani Grzymska, o ile mi wiadomo – zaczął, lecz nie przez zaciśnięte zęby, a gardło, jak gdyby z trudem dobywał z niego głos – pozostaje w stałym związku narzeczeńskim. Ze zmanierowanym, skąpym hipokrytą i żołądnym dupkiem, który nie ma dla niej za grosz szacunku, owszem...

– Pan Paragon jak żywy – westchnął sekretarka.

Wciąż z rozrzuwaniem wspominał tamto piękne letnie popołudnie, kiedy na drugim podwórku kierownik pecha i narzeczony Kasi wzięli się za łby. Kto wie, może gdyby nie obecność starszego posterunkowego, Pan Paragon byłby teraz trwałym elementem miejskiego krajobrazu... Ech. Miło pomarzyć.

– Jednakże pani Grzymska – kontynuował Szumski, ignorując ten ewidentny przejaw uznania ze strony sekretarki – jest kobietą dorosłą, inteligentną i decyzyjną, w związku z czym nie widzę powodu, żeby ktokolwiek jej mówił, co ma robić ze swoim życiem i godnością osobistą. A tym bardziej nie zamierzam pakować się klinem w jej związek.

– O proszę. – Z pozoru niewinne słowa zabrzmiały tak, że Mogiła aż cały się spał. Cała jowialność nagle uleciała z Arkadiusza Krawczyka, pozostawiając jedynie twarde mięśnie i jeszcze twardszą zajadłość. – Że pan kierownik niezłomny kieruje się w życiu różnymi zasadami, to wiedziałem. Ale że w miłości też?

– Kieruję, owszem. W przeciwieństwie do niektórych.

Mogiła miał dziwne wrażenie, że jeszcze chwila i zacznie się gubić w tym gąszczu aluzji i wzajemnych oskarżeń, za którymi już dawno

przestał nadążać. Krawczyk miał ewidentne pretensje do Sztywnego, o tym akurat wiedział od dawna, choć nie wypytywał o szczegóły, licząc, że prędzej czy później rozmowa sama zejdzie na ten temat, wszystko się wyjaśni, a Arek przestanie zjadać stres i doprowadzać swój plan żywieniowy do ruiny. Tyle że Sztywny najwyraźniej nie pozostawał mu dłużny i teraz skorzystał z okazji, żeby się odgryźć. I to jak! Wystarczyło jedno zdanie, żeby strzelić Krawczyka lepiej niż prawym sierpowym.

– Chwi... CHWILA! – Sekretarka wybałuszył oczy. – Że... że ja...?!
Że ja się nie kieruję?! Ja?!

– A nie? – zapytał Szumski, po czym bardzo wymownie powiódł wzrokiem od Krawczyka do Mogiły i z powrotem.

Teraz zdębieli już obydwaj.

– Że my?!

– A nie? – powtórzył Szumski twardo.

– A w mordę pan kierownik chce? – gładko wysunął propozycję Krawczyk.

– Arek, ty się opanuj...

– Opanuj?! OPANUJ?! Ja mam męża! Prawie! Prawnie prawie, bo emocjonalnie to w stu procentach! A ten mi tu... imputuje!!!

Mogiła przytomnie odciągnął wzburzoną sekretarkę nieco w tył i niezwłocznie stanął między nią a kierownikiem pecha.

– Skąd to panu w ogóle przyszło do głowy? – zwrócił się do Wojciecha Szumskiego. – Pańskim zdaniem romans to jedyne, co może łączyć policjanta stanu wolnego z zamężnym sekretarką? Serio?

– Skąd? – powtórzył Sztywny, unosząc brwi. – Pomyślmy, skąd u mnie ten pomysł... A, już pamiętam! O, Michaś! O, ustronna dwójeczka! O, ty to mnie znasz, o, za to cię kocham! *Kiss the cook*, Michaś!

– Okej... okej, to mogło zabrzmieć dość dwuznacznie – przyznał Mogiła. – Nawet bardzo dwuznacznie. Ale zapewniam pana, panie Wojtku, że nas dwóch łączy jedynie przyjaźń.

– I kampania przeciwko Kijanu!

– To też. Ale nic poza tym – przysięgł solennie starszy posterunkowy. – Wpadliśmy na siebie jakiś czas po śledztwie, jakoś tak... od słowa do słowa wyszło, że mamy sporo wspólnego, i zacząłem zachodzić do Arka na piwo, planszówki i takie tam. Zaprzyjaźniliśmy

się. A Patryk, znaczy mąż Arka, upiekł mi ostatnio sernik proteinowy i muszę przyznać, że smakował prawie jak normalny.

– Metoda małych kroczków. Może na siłkę też się kiedyś dasz wyciągnąć...

– Nie mówię, że nie, ale proszę mnie nie naciskać, bo się w sobie zamknę.

Aż żal było patrzeć, jak z każdym słowem policjanta Wojciech Szumski blednie coraz bardziej. W końcu zaczerpnął głęboko powietrza.

– Przepraszam – zaczął z widocznym trudem. – Możliwe, że źle zinterpretowałem pewne... Widzi pan, ja... mam pewien uraz na tle... na tym tle. Osobisty. Nie powinienem mieszać... to w ogóle... ta sprawa... nie moja. Absolutnie. To nie moja sprawa. Bardzo panów przepraszam.

Niewiele brakowało, by Mogiła przetaił oczy ze zdumienia. Pierwszy raz widział Sztynnego tak zmieszanego, że nie mógł sklecić przekazu. Co to miał w głowie ten człowiek, że nawet martwy redaktor na kiblu nie zrobił na nim takiego wrażenia jak wizja czyjś romansu? Chwila... nie no, niemożliwe, żeby to z tego powodu Szumski był ostatnio tak nerwowy. Chociaż...

Mogiła już miał o to zapytać, jakoś tak bardziej uprzejmie, żeby nie zaognić sytuacji na nowo, lecz uprzedził go Krawczyk, który nie zamierzał bawić się w szczególne ceregiele.

– I to cię tak w dupę gryzło? – zapytał.

Z tego oszołomienia zapomniał o sarkastycznym tytułowaniu jaśnie pana kierownika.

– Owszem. Widać pasuję do swojej ksywki bardziej, niż chciałbym to przyznać, ale naprawdę nie jestem taką gnidą, za jaką mnie masz.

– Powiadasz?

Komuś postronnemu ton Krawczyka mógłby się wydawać całkowicie niewinny, lecz w połączeniu z postawą wyrażał prosty komunikat – głęboką wątpliwość co do prawdomówności Wojciecha Szumskiego.

– No dobrze. – Kierownik pecha pokiwał głową, jak gdyby właśnie godził się z nieuchronnym. – Twoja kolej, proszę. Wyduś wreszcie, co ciebie w dupę gryzie. Bo że gryzie od dawna, to już zdążyłem parę razy zauważyć, ale zaczynam się martwić, że w końcu przejdzie na wylot.

– A proszę bardzo, panie kierowniku, chętnie wyduszę. Dwa. Lata.

– Arek, co ty, znowu o tym?... – próbował się wtrącić Mogiła, lecz Krawczyk nie zamierzał nikogo słuchać. Zamierzał mówić. Bez myślenia.

– Jesteś człowiekiem z zasadami, co? Z normalnej firmy zwijas się regulaminowo po dwóch latach. Ile jeszcze wytrzymasz u nas bez szkody na twoim pięknym kierowniczym CV, co? Miesiąc? Dwa? Na jak długo zatrzymają cię piękne oczęta zaręczonej Kasi? Bo wiesz, Kasia pewnie będzie tęsknić, ale jak dla mnie to możesz zwinąć manatki choćby i dziś. Czemu nie? Co ty tu masz do roboty? Co ciebie obchodzi, że pójdziemy na dno? Że ja drugi miesiąc zajadam stres cukrem i zaraz z sześciopaku zrobi mi się keg? Chcesz zwinąć żagle? No to zwijaj. Zwijaj, proszę bardzo, zostaw nas na pastwę ojca dyrektora, na pastwę rynku i pustych kalorii, ja ciebie wcale... a! – Machnął łapą. – Pierdołę taki interes...

Chciał odejść, lecz teraz to Sztywny doskoczył do niego jak atakujący wąż.

– Czekał, czy ja dobrze rozumiem? Boisz się, że za dwa miesiące rzucę robotę, dlatego mam odejść już teraz? Dlatego o wszystko się ciągle dosrywasz?!

– No pan kierownik wybaczy! A co?! Mam na ciebie liczyć, a potem gapić się całymi dniami na puste biurko i zachodzić w głowę, jak do tego doszło?! NIE WIEM!!!

Z tego natężenia dźwięków i emocji objawienie zstąpiło w tempie ponadprzeciętnym i rąbnęło Sztywnego mocniej niż grom z jasnego nieba.

– Ty się boisz... – powiedział cicho. – Ty się boisz, że cię zawiodę jak... jak Głazina.

– A żebyś wiedział, że jak Głazina!!! – ryknął Krawczyk pełną pierśią, a było czym. – Z nią byśmy jakoś się podźwignęli, nawet bez tych cholernych praw, co to je ojciec dyrektor przedymał beztrósko. ALE NIE! Musiała postawić na swoim i pokazać, że ona tu jest sterem, żeglarzem, okrętem! I co? I teraz bez niej to wszystko jebnie. A sorry, nie wiem, jak ty, ale ja nie umiem być Głaziną, a bez niej... beze mnie... bez... bez ciebie... A! – Poderwał rękę, jak gdyby chciał zakończyć tę dyskusję ciosem na odlew, lecz zamiast tego przejechał dłonią po twarzy i krasnoludzkiej brodzie. – Kurwa, nie wziąłem ciastek...

Nawet oszołomiony Sztywny wciąż wykazywał prawidłowe odruchy. Tak też było i teraz. Sięgnął za pazuchę do wewnętrznej kieszeni, skąd wyciągnął batonik energetyczny w rozmiarze XXXL i bez słowa wcisnął go roztrzęsionemu sekretarce do ręki. Przez następnych kilka minut starannie trzymał się z boku, podczas gdy Mogiła miarowo gładził przyjaciela między łopatkami, a Krawczyk na przemian to gryzł batonik, to mamrotał: „To nie na moje nerwy, to nie na moje nerwy...”.

– Nikt tego nie umie.

– Czo? – wymamrotał Krawczyk, plując okruszkami.

– Co: co? – powtórzył Sztywny, oschle, lecz z opanowaniem. – To chyba oczywiste. Żaden normalny człowiek nie umie być Głaziną, choćby sobie wypreparował układ nerwowy. Bo żeby być Głaziną, trzeba... cóż. Być Głaziną.

– Brzmi jak poezja.

– Czy możesz choć raz darować sobie kpiny i słuchać, co do ciebie mówię?! – huknął Wojciech Szumski. – Nikt od ciebie nie oczekuje, że staniesz się Głaziną! Ja też nie umiem nią być. Co ja gadam, ja nie zamierzam nią być. Jestem sobą i będę sobą, bo na tym się znam. Rozumiesz? I ty też masz być tym, kim byłeś, kiedy pierwszy raz przekroczyłem próg tego wydawnictwa. Arkadiuszem Krawczykiem, sekretarką z licencją na martwy ciąg i zabijanie. Biczem na telemarketerów, młotem na zdyszanych zboczeńców. Sam powiedz. Wydębiłeś od Głaziny hasła do kont?

– Wydębiłem... – przyznał Krawczyk, już nieco spokojniejszy. Zmiał w garści pusty papierek po batoniku.

– Potrafisz obcować z Mastalerczykiem?

– Potrafię.

– I przeżyć?

– Ledwo, ledwo, ale... potrafię!

– To i tak lepiej niż ja – wytknął Sztywny. – Po ostatnim spotkaniu z tym człowiekiem musiały minąć dwa dni, zanim łeb przestał mnie napięrczać.

– Tak tylko przypomnę, że zagoniłeś też Juchę do aktywności fizycznej na świeżym powietrzu – wtrącił Mogiła. – Słyszałem na jej temat wiele legend i plotek, ale czegoś podobnego chyba jeszcze nie grali.

– Czyli warunki wyjściowe masz – skwitował Wojciech Szumski. – Więc przestań skamleć jak szczeniak za matką i po prostu rób swoje.

Ogarniesz. A ja się nigdzie nie wybieram.

– Przysięgasz? – upewnił się sekretarka, marszcząc czoło.

– Przysięgam.

– Jak bonie dydy?

– Jak bonie dydy, cokolwiek to jest.

– To o co było to całe „mnie tu w ogóle nie powinno być”?

W pierwszej chwili Sztynny uciekł wzrokiem i spał się cały, ale potem chyba do niego dotarło, że był tu coś komuś winien.

– Bo gdyby nie choroba, te warsztaty prowadziłyby Daniela. Taki od początku był plan, nigdy nawet nie rozważaliśmy innej opcji, bo oboje doskonale wiemy, że ja się do czegoś takiego nie nadaję. Nie będę się wypierał, proszę bardzo. Nie znoszę pracować z ludźmi. Okej? Nie cierpię. Nie umiem obłaskawiać irracjonalnych lęków, koić urażonego ego czy podtrzymywać na duchu, bo tak trzeba czy... czy wypada. Zajmuję się zarządzaniem, analizowaniem faktów i szukaniem rozwiązań, a nie czułym trzymaniem delikatnych kwiatuśków za rączkę, żeby się nie pogubiły we własnych lękach. I też mi nie zawsze wychodzi, wiesz? Bo to wcale nie Daniela spieprzyła robotę, narażając nas na kolejną wpadkę, tylko ja. Ja. Ona może i popełniła błędy, ale to ja powinienem był przeanalizować regulamin, kandydaturę Manieckiego, zgłoszenia autorów, wszystko. A ja się tylko łaskawie pod tym podpisałem. Więc może ty nie umiesz być Głaziną, za to ja potrafię spierdolić nawet bycie Szumskim. I okej, przyznaję – dodał, widząc pełne politowania miny Krawczyka i Mogiły – mam kompetencje miękkie z betonu. Uzbrojonego. Tak. Ale jeszcze bardziej nie umiem siedzieć na dupie i pokazywać palcem, gdzie się pali. Jestem kierownikiem, do jasnej cholery, i kiedy wydawnictwo staje w płomieniach, moim zasranym obowiązkiem jest zapieprzać na pierwszej linii ognia!

– No, byłby z ciebie strażak, że nawet hydrant się rwie do akcji – wspominał Krawczyk z uznaniem.

– Dziękuję. Rozważę przekwalifikowanie, jak mi nie wyjdzie w tej branży.

– Tośmy się dobrali... – Mogiła aż oklapł pod ciężarem tego, co Sztynny z Krawczykiem zrzucili z serca. Próbował to jakoś uchwycić, ogarnąć, może niekoniecznie dosłownie, ale chociaż w przenośni, zaraz jednak zwiesił bezradnie ręce. – Ten nie umie w ludzkie emocje, tamten nie umie w ludzkie głazy, za to ja... ja nie umiem być

Pozgonnym. A powinienem, bo od tego tak jakby zależy życie ludzkie, co nie? Znaczący, trochę potrafię – sprostować, choć bez przekonania – ale czuję w środku, że powinienem jakoś tak bardziej. Pozgonny by już dawno znalazł Manieckiego, pouczył, że to nieładnie, i pokierował na nową drogę życia, a ja? Ja się kręcę jak gówno w przeręblu... czy tam w lesie.

– Michaś! Ty też?...

– A weź nic nie mów. Znam kilka ciekawych sposobów na obezwładnienie człowieka, posługuję się bronią palną jak ty ołówkiem, przesłuchuję groźnych przestępców, a poległem na rysowaniu. Rysowaniu! Że już nie wspomnę o... A, zresztą. Nieważne... Aż mnie w dołku ściska, o tutaj...

Przycisnął pięść do piersi i w tej samej sekundzie naraz coś cichutko piknęło. Tak cichuteńko, że gdyby akurat nie milczeli, ten dźwięk całkiem by im umknął.

– Co to było?

– Telefon.

– CZYJ?

Wszyscy trzej jednocześnie sięgnęli do kieszeni i niezwłocznie skontrolowali swoje komórki. Źródłem nieoczekiwanego piknięcia okazał się telefon starszego posterunkowego.

– Tutaj. – Sztywny wskazał ikonkę u góry ekranu. – Dostał pan powiadomienie z Instagrama.

– To ja mam włączone powiadomienia?...

– Nie ma pan ich wyłączonych, czyli na jedno wychodzi. O kur... – Urwał w pół słowa, lecz Mogiła z Krawczykiem dokończyli za niego:

– ...wa.

Otóż Instagram zawiadamił unizenie Michała Mogiłę, że użytkownik man_maniecki właśnie opublikował nowy materiał na swoim profilu.

– Michaś, nie upuść, Michaś, nie upuść, MICHASĆ, DO JASNEJ CHOLERY, NIE UPUŚĆ TELEFONU!!!

– PRZECIEŻ SIĘ STARAM!!! – odwrzasnął Mogiła, bo owszem, ręce mu się trochę trzęsły, kiedy usiłował sobie przypomnieć, gdzie to się włączało, do cholery, bo może nie pamiętał, może się dwa razy zgubił i raz prawie odinstalował to cholerstwo, ale to jeszcze nie był powód, żeby wywierać aż taką presję!!!

Zanim znalazł nagranie z powiadomienia, po plecach spływały mu już ciurkiem całe potoki potu, a sekretarka z kierownikiem pecha byli bliscy utraty przytomności z niedotlenienia, tak intensywnie wstrzymywali oddechy. Z duszą na ramieniu w końcu kliknął odtwarzanie.

Skończyło się kreowanie kontentu razem z wizerunkiem metodą starannie dobranego kąta i filtrów. Rafał Maniecki, brudny i potargany, cały w jakichś smugach i plamach, biegł przez las i dyszał ciężko, zwracając się do kamery, którą trzymał w dłoni:

„Dopadli mnie. Dopadli. Nie myślałem, że... że się do tego posuną. Próbowałem coś... coś wyjaśnić, ale... nie chcą słuchać. Nie chcą. To koniec. Jestem sam. Cholera... CHOLER...”

Tu nagranie się urywało.

Gorączkowe głosy Szumskiego i Krawczyka docierały do Mogiły jak przez gęstą mgłę, kiedy powtórnie odtwarzał ostatnie, najkrótsze nagranie. I jeszcze raz. I jeszcze. Gdy wiedział już, czego dokładnie szuka, puścił je znowu, odczekał chwilę i zatrzymał tak, żeby jak najlepiej widzieć postać blogera. Zapamiętał ten widok i natychmiast odnalazł w pamięci telefonu najpierw przypadkowy zrzut ekranu, po nim zaś inne zdjęcia, te, które zrobił pierwszego dnia pobytu, podczas obiadu z improwizowanymi warsztatami ran kłutych. Dobrze pamiętał – na kilku ujęciach widniał Rafał Maniecki w krzykliwej bluzie. Dokładnie tej samej, którą rzekomo spisał już na straty, i to jeszcze zanim...

– To wjechało teraz! – Słowa Sztywnego brutalnie wyrwały Mogiłę z zamyślenia. – Czy pan mnie słucha? TERAZ. Nie wczoraj, nie godzinę temu, tylko dosłownie teraz.

– Tak... tak. Znaczy, chyba tak, ja się na tym nie znam, ale...

– Ja się znam – przerwał mu Szumski. – To znaczy, że Maniecki ma włączony telefon i jest w zasięgu sieci!

Zanim Mogiła zdążył przetrawić tę informację, Sztywny już trzymał w dłoni komórkę i szukał na liście połączeń numeru blogera.

– Ale na co pan właściwie liczy? Że Maniecki odbierze i...

– CISZA! Słyszycie?

Wszyscy trzej znieruchomieli i nadstawili uszu.

Gdzieś tam, po lesie, niósł się echem jakiś wątyły dźwięk. Dziwny, jakby... zupełnie nie na miejscu pośród drzew i gór, bo zbyt rytmiczny,

jednostajny, zapętlony. A co więcej, Mogiła był pewien, że już go kiedyś tu słyszał...

Nie czekając na reakcję policjanta, Sztywny z komórką przy uchu zaczął biec wzdłuż strumienia. Dwoma susami po wystającym kamieniu przesadził płynącą wodę i sekundę później już gnał pod górę stoku z taką łatwością, jak gdyby śliskie i mokre od deszczu listowie wcale mu się nie osuwało spod stóp. „Skubany naprawdę ma formę. I dobre buty”, stwierdził z zazdrością Mogiła, próbując nie stracić Szumskiego z oczu i nie wypluć płuc.

Wspinali się bardziej w poprzek stoku niż pionowo w górę, aż wypadli spomiędzy drzew na dość szeroką gruntową drogę. Na jednym z pni widniały trzy poziome paski – dwa białe, a między nimi zielony, oznaczenie szlaku turystycznego. Chyba tego, przypomniał sobie Mogiła, który zaczynał się za trzecim budynkiem i mostkiem, a jeszcze przed granicą z Czechami.

– Jestem ciekaw, czy ten szlak prowadzi do jakichś zabudowań...

– Prowadzi – potwierdził Szumski. – Po drodze jest jedna wieś, a potem robi się takie kółko i schodzi do innej wsi, tej, przez którą przejeżdżaliśmy. Tyle że w samym centrum.

– To pan zna te strony, panie Wojtku?

– Nie znam, pierwszy raz tu jestem. Ale w przeciwieństwie do was...

– Jeździłeś na kolonie? – domyślił się Krawczyk, który właśnie rozważał, czy to, co czuje w piersi na wysokości mostka, to zawał, czy jednak wielki powrót śniadania. I kolacji. Człowiek z jego masą nie był stworzony do osiągnięcia takiej dynamiki...

– Słyszałem o czymś takim jak mapy. Sprawdziłem sobie wszystko przed wyjazdem, na wypadek gdyby coś się stało, szosa była nieprzejezdna, a trzeba było wyprowadzić stąd ludzi.

– O. Czyli jednak ma pan w sobie ciągoty do survivalu, panie Wojtku. Jak każdy urodzony kierownik.

– A pan bardzo chce, żebym się jednak na pana obraził.

Teraz byli już pewni, że to, co słyszeli, to dzwonek komórki. Przez następne minuty maszerowali szlakiem, co chwilę wybierając numer blogera i podążając za dźwiękiem. Maniecki nie odbierał, ale też nie odrzucał połączenia, więc za każdym razem mieli kilkanaście sygnałów, żeby ustalić kierunek i przebiec kawałek, po czym musieli dzwonić ponownie. Ktoś inny uznałby, że to szukanie igły w stogu siana, tyle że Mogiła był pewien, że jeśli Maniecki gdzieś tu się

ukrywał, to raczej bliżej szlaku niż w najgłębszej gęstwinie. Co innego, gdyby szukali Sztynnego – on pewnie zadekowałby się w najbardziej niedostępnej pieczarze, a potem pod osłoną ciemności przepelznął przez granicę i zniknął jak sen złoty.

Raz byli pewni, że coś im mignęło w polu widzenia, jakaś postać niby ludzka, lecz jakby nie do końca, co w sumie zgadzało im się z aktualnym wyobrażeniem blogera. Długo przepatrywali bezlistne zarośla w zasięgu wzroku, nikogo jednak nie dostrzegli. Tylko im się wydawało, że ktoś tam przemykał. Aż w końcu, może dwieście metrów w linii prostej od ośrodka, wypatrzyli między drzewami coś bezsprzecznie i nienaturalnie pomarańczowego.

W pewnym oddaleniu od szlaku, w niewielkim prześwicie, stał mały namiot. Chociaż określenie „stał” było w tym przypadku solidnym nadużyciem. Raczej przycupnął, uczeplił się kurczowo powierzchni ziemi i pomału chylił ku upadkowi, całkowicie wbrew intencjom producenta, a już z pewnością konstruktora, pokładającego wielkie nadzieje w koncepcji stelażu. Wokół panowała kompletna cisza, którą na moment przerwał donośny dźwięk dzwonka, kiedy Sztynny ten ostatni raz wybrał numer blogera. Rozłączył się po kilku sekundach.

Znaleźli go.

Od namiotu dzieliły ich ostatnie metry, gdy naraz Michała Mogiłę opadło bardzo nieprzyjemne wrażenie. Wysunął rękę w bok, zatrzymując pozostałych mężczyzn.

– Panowie, zostańcie tam, gdzie stoicie – powiedział spokojnie. Jednocześnie sięgnął do kieszeni po rękawiczki. – Proszę niczego nie dotykać, nie deptać...

– I nie rzucać naskórka – dokończyli jednym głosem.

– Właśnie tak. Grzeczni chłopcy.

Na moment opuścił wzrok. Mimo pewnej osłony, jaką dawały tu drzewa, przy tak intensywnych opadach deszczu ewentualne ślady stóp nie miały szans zachować się na dłużej. Na wszelki wypadek starał się jednak stąpać po kamieniach lub kępach trawy, żeby niczego przypadkiem nie zniszczyć. Bądź co bądź nie miał pojęcia, co właściwie zastanie na miejscu, chociaż dzwoniący gdzieś tam na próżno telefon Manieckiego stanowił dla niego pewną wskazówkę, że nie powinien się spodziewać happy endu w rózu i brokacie. Niewiele brakowało, żeby się w pewnym momencie poślizgnął, lecz zdołał odzyskać równowagę.

Usłyszał za sobą czyjeś pełne ulgi sapnięcie i musiał się z nim całkowicie zgodzić.

Namiot był zamknięty od zewnątrz na kawałek linki splecionej tak, że z powodzeniem zastępowała kłódkę. Nie dotykając niczego, Mogiła kucnął i przyjrzał się jej dokładniej. Węzły układały się we wzór, który chyba już gdzieś widział... Poniżej plecionki wystawały dwa końce linki. Jeden kończył się supłem, lecz ten drugi został przycięty – starannie, równiutko, bez żadnych wystrzępionych nitek. Ostrze, którym się posłużono, musiało być porządne.

Przesunął wzrokiem niżej i prawie stracił równowagę. Tuż nad ziemią w materiale namiotu widniało niewielkie rozcięcie. Nie miało więcej niż półtora centymetra, lecz to wystarczyło, żeby cienka strużka płynu wydostała się ze środka na zewnątrz i razem z deszczem spłynęła sobie ciurkiem do zagłębienia w miękkiej nawierzchni.

Świeżego zagłębienia w kształcie lewej podeszwy.

Powoli, celebrując każdą sekundę, Michał Mogiła nabrał powietrza do płuc, po czym wypuścił je przez nos. Spokojnie. Bez pośpiechu. „Wiesz, co robić. Na szczęście. Na nieszczęście... wiesz też, czego się spodziewać”.

– Panie Wojtku, pan zapewne ma przy sobie scyzoryk.

Sztywny wyciągnął rękę jak najdalej przed siebie, Mogiła zrobił to samo i przez moment wyglądali jak wzięci żywcem z fresku Michała Anioła, tyle że nieco bardziej w odzieży. Starszy posterunkowy uwiecznił na zdjęciu najpierw odcisk podeszwy, zanim deszcz zalał go doszczętnie, a następnie plecionkę. Rozłożył scyzoryk i ostrożnie rozciął linkę, żeby uwolnić zamek. Schował ją natychmiast do jednego ze strunowych woreczków, którymi miał wypchaną kieszeń. Znowu wykonał kilka spokojnych oddechów, szykując się na to, co czekało w środku. Dopiero potem wsunął palce w suwak tuż pod zapięciem i pchnął je w górę, otwierając namiot.

– Niech to jasna cholera...

Z wnętrza na starszego posterunkowego Michała Mogiłę spoglądał jednym okiem bloger, influencer i podróżnik Rafał Maniecki.

Jebaniutki...

ROZDZIAŁ 21

– Melduj, młody.

Starszy posterunkowy Michał Mogiła nawet nie odwrócił się w kierunku Juchy, którą na jego prośbę sprowadził Krawczyk. Czekając na jej przybycie, nieustannie przyglądał się zawartości namiotu i raz po raz analizował wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie trzy dni. Gdzie popełnił błąd? O czym zapomniał? Jaki drobiazg przeoczył? A może właśnie nie drobiazg, tylko coś oczywistego, coś, co od samego początku miał tuż przed nosem...

Otrząsnął się z tych myśli, odkaszlnął i zaczął meldować posłusznie, na bieżąco porządkując to, co udało mu się dotąd ustalić:

– Nasz denat to Rafał Maniecki, lat trzydzieści dwa, blogger zatrudniony przez wydawnictwo JaMas do obsługi medialnej warsztatów literackich. Zniknął w nocy z czwartku jedenastego na piątek dwunastego listopada, znaleziony... – sprawdził godzinę – ... dwadzieścia siedem minut temu w namiocie, z kijkiem od selfie wbitym w oczodół. Zważywszy, że mamy połowę listopada, w chwili znalezienia denat był jeszcze ciepły, a krew wewnątrz namiotu nie zdążyła zakrzepnąć, możemy przyjąć, że zginął niewiele wcześniej. Myślę, że w ciągu ostatniej godziny.

– Świeżynka. To miło. Przy tych deszczach nie chciałabym go znaleźć za tydzień.

– Nietypowy sposób zawiązania lewego buta oraz widoczny opatrunek wskazują – kontynuował Mogiła – że denat doznał niedawno kontuzji, prawdopodobnie skręcenia kostki. Raczej nie złamania. Wewnątrz namiotu ujawniono również rzeczy osobiste, w tym mały młotek, paczkę krótkich gwoździ, telefon komórkowy, sprzęt turystyczny oraz rozwiniętą linkę turystyczną typu paracord.

– Para... co?

– Paracord – powtórzył Szumski. – To taka linka.

– Rozumiem, że jakaś magiczna, skoro się tak fikuśnie nazywa?

– To w zasadzie linka spadochronowa – podjął Sztywny na znak dany mu przez Mogiłę. Bądź co bądź to on tu się znał na takich rzeczach. – Bardzo mocna i wytrzymała. Taką linkę jak ta, długości od dwóch do trzech, czterech metrów, splata się w bransoletkę

survivalową. Można ją wtedy wygodnie nosić na nadgarstku albo w kieszeni.

– Dla prestiżu czy urody?

– We właściwych rękach? Dla przeżycia. W zapięciu takiej bransoletki zazwyczaj kryje się krzesiwo, gwizdek i ostrze, czasem także kompas, czyli podstawowe rzeczy niezbędne do przetrwania. Kapitałna sprawa, zwłaszcza że taki paracord właściwie nic nie waży i nie zajmuje miejsca. Po rozwinięciu można go wykorzystać do różnych celów, na przykład coś nim związać, zabezpieczyć, wykorzystać do budowy schronienia, zrobienia smyczy dla psa albo powieszenia prania. Ale największą sztuką jest zapleść go z powrotem. Nie każdy to potrafi.

– Chyba możemy przyjąć, że denat tej sztuki nie posiadał. – Jucha wykonała głęboki skłon, żeby zajrzeć do wnętrza namiotu. Maniecki odwzajemnił jej zaciekawione spojrzenie z uprzejmą, wręcz chłodną obojętnością. – Wypadek?

– Bardzo chciałbym powiedzieć, że tak – przyznał Mogiła – ale... nie sądzę. Namiot był zamknięty od zewnątrz na fragment paracordu, odcięty od reszty, a następnie fachowo spleciony, co wskazuje na udział osób trzecich. Na zewnątrz przy wejściu widnieje odcisk lewej podeszwy, niepasujący wzorem i rozmiarem do podeszwy denata. Brak krwawych śladów palców na materiale namiotu wewnątrz bądź zewnątrz, brak też śladów stóp odcisniętych w kałuży krwi wewnątrz namiotu, chociaż ta rozlała się aż do wejścia i przesiąkła przez rozcięcie w materiale na zewnątrz. Odcięty koniec paracordu leży w głębi, na tyle daleko, że żaden z nas by do niego nie dosięgnął z zewnątrz. Wydaje mi się, że osoba trzecia weszła jedną stopą do środka, sięgnęła po paracord, odcięła kawałek i zamknęła nim namiot od zewnątrz, kiedy Rafał Maniecki dopiero zaczął krwawić. A skoro krwawił, to znaczy, że nadal żył.

– Osoba trzecia, powiadasz. Czyli sprawca?

– Sprawca, świadek... nie wiem. Nie wiem, co tu zaszło.

– Ciekawe. Bardzo ciekawe. A pan umie wiązać takie przydatne supełki? – Jucha łypnęła z zaciekawieniem na kierownika pecha.

– Węzły – poprawił ją skrupulatnie. – I owszem, umiem.

– Pan Szumski przez cały czas był ze mną i nie oddalał się na dłużej niż kilka sekund z zasięgu wzroku – poinformował była komendantkę starszy posterunkowy, zanim zdążyła się rozpędzić w niewłaściwym kierunku. – A denat jest świeży.

– Trochę szkoda.

– Wie pani co? Też żałuję – przyznał Sztynwy, po czym wspólnie z Mogiłą i Krawczykiem streścili Jusze, czego dowiedzieli się o aferach z udziałem Rafała Manieckiego.

– I ja się dopiero teraz o tym dowiaduję?! – ryknęła, aż dziw, że się igliwie z okolicznych drzew nie posypało. – Jestem autorką powieści erotycznych, ja się muszę wikłać w skandale! Do ciula pana, taka okazja przeszła mi koło nosa...

– Nie wiem, czy Maniecki uznałby panią za target, pani komendant. W jego typie były rudowłose kobiety po czterdziestce.

– No i? Jestem po czterdziestce!

– Cóż... cóż. No... Teoretycznie rzecz biorąc... no trudno zaprzeczyć.

– Czyli co? – Jucha wzięła się pod boki. – Facet najpierw nawywijał, a potem zniknął dwa dni temu, tak? Ktoś go w ogóle szukał?

Michał Mogiła poczuł krew napływającą do twarzy w takim tempie, że aż mu mroczone zatańczyły przed oczami. Chyba nadszedł ten moment, kiedy musiał się w końcu zmierzyć z własnym fakapem.

– Tak. Ja. Nie mieliśmy... nie miałem jednak powodu, żeby podejrzewać najgorsze. Nic nie wskazywało jednoznacznie na znamiona przestępstwa bądź udział osób trzecich. Za to istniały powody, by sądzić, że Rafał Maniecki żyje i kontynuuje swoją działalność zawodową z nieustalonego miejsca pobytu. Cóż. Istotnie, kontynuował ją... do czasu.

Odechrząknął i chwilę odczekał, zanim odważył się zerknąć na Juchę. Znał wiele legend, jakie krążyły na jej temat, ale nigdy nie miał okazji z nią pracować, nie wiedział więc, czego się spodziewać. W dodatku już raz jej przecież podpadł, czyniąc afront w obecności reszty kursantów. Potem swoje dołożył Sztynwy z właściwym sobie wdziękiem. A teraz, na zakończenie najbardziej niedorzecznych i nieudanych warsztatów w historii literatury, rynku wydawniczego i sił policyjnych, zafundowali jej jeszcze to – denata z zaskoczenia w pogiętym namiocie.

– I co teraz, pani komendant?

– A co na mnie patrzysz? Ja jestem na emeryturze. To twój trup.

Fantastycznie. Wprost... ech. Mogiła najchętniej wcisnęłaby się do namiotu razem z Manieckim i nadział na drugi koniec kijka.

– Pani komendant, bo pani tu przyjechała na bombach, prawda? – podjął nieco naokoło. – Zna pani miejscowych?

– Znam, znam. – Jucha pokiwała głową. Na nic jego podstępny, od razu wiedziała, do czego zmierzał starszy posterunkowy. – Chcesz załatwić po cichutku, co?

– Wolalbym, jeśli można – przyznał szczerze Mogiła. – Przez wzgląd na dobro osób postronnych oraz... cóż...

– Zluzuj, młody. Jestem świadkiem, że starałeś się działać w granicach prawa, ale okoliczności stanęły ci na drodze. Poza tym żona miejscowego komendanta nie wie o paru rzeczach i nigdy się nie dowie, o ile komendant nie będzie nierozsądny.

Odeszła na bok, żeby wykonać telefon w sposób możliwie dyskretny. Nie potrzebowała świadków swych działań na pograniczu uprzejmej prośby przez wzgląd na dawne czasy oraz szantażu, popartego dokładnie tym samym argumentem. A oni też nie musieli wiedzieć, co takiego nawywijał przedstawiciel tutejszej władzy w dziewięćdziesiątym szóstym, że nawet Jucha do tej pory pamiętała szczegóły i kręciła głowę z niedowierzaniem.

Mogiła na powrót przykucnął, żeby mieć lepszy widok na wnętrze namiotu z denatem w roli głównej.

– Chojnowski to jednak umarł jakoś tak z większym wdziękiem – skwitował Krawczyk po paru minutach kontemplowania Manieckiego.

– Bo Głazina nawet w zbrodniczych okolicznościach trzymała pewien poziom. A tu kogoś wyraźnie poniosła fantazja.

– Co fakt, to fakt, panie kierowniku. Chociaż... sam nie wiem. Naprawdę myślicie, że ktoś go tu dopadł i zaciukał tym kijaszkiem? Dlaczego nie próbował uciekać? Przecież to las, a nie wąski kibel.

– Obstawiam, że nie za bardzo miał jak. – Sztywny pochylił głowę. – Kupił za mały namiot i za duży materac, ledwo mógł tam usiąść. Do tego śpiwór jak na dwutygodniową wyprawę w Himalaje. Rany boskie, przecież on się w tym musiał gotować...

– No to... czemu nie walczył? Ja bym walczył.

– Arek, uwierz fachowcowi. W dziewięciu przypadkach na dziesięć najlepszą obroną jest dobry czas na sto metrów. – Mogiła obejrzał się na Krawczyka. – Czekał no. Mówiłeś, że jakiś pawian wyżarł ci słodycze? Gdzie dokładnie je trzymałeś?

– W jadalnianym. Na parapecie.

– Zewnętrznym czy wewnętrznym?

– Zewnętrznym, oczywiście. Czekoladki proteinowe lubią pływać, kiedy trzyma się je w ciepłku.

– To już chyba wiem, co pan słyszał wczoraj w nocy, panie Wojtku. Sądząc po papierkach, które się tam walają, Maniecki chyba nie uwzględnił prowiantu. Nie, przepraszam, zabrał... keczup. No cóż, to mu raczej na długo nie starczyło. W końcu zgłodniał i dobrał się do jedyne go źródła pożywienia, jakie pozostawało w jego zasięgu. Jak to pan wtedy ujął, panie Wojtku? Dużo kasy, za to mało rozumu.

– Michaś, no weź. – Krawczyk obruszył się delikatnie. – Z całym szacunkiem dla denata, to chyba trzeba być kompletnym baranem, żeby zaplanować obozowanie w lesie i nie zabrać prowiantu. Czystych gaci to jeszcze rozumiem, ale prowiantu?!

– A to by się akurat zgadzało – stwierdził Sztynwny po namyśle. – Gdyby głupota emitowała światło, ten gość mógłby śmiało robić za latarnię morską. Widzicie tamto urządzone? – Wskazał palcem. – Tam, w kącie namiotu, obok kurtki? To ultradźwiękowy odstraszacz na komary. Przypominam, że mamy listopad. Idę o zakład, że tamten filtr, który znaleźliśmy przy kranie, też należał do Manieckiego. Nie wiem, po co laźł z nim aż do budynku, skoro bliżej miał strumień, ale obstawiam, że się z tego wysiłku spocił, aż musiał ściągnąć polar i zostawił go jak ostatnia sierota. Nie wiem, po co rozplątał paracord, chyba z nudów, potem pewnie nie umiał go spleść z powrotem. Namiotu też nie potrafił rozstawić, a to się już naprawdę trzeba postarać. Prawdę mówiąc, nie wiem, jakim cudem on w ogóle trafił do lasu, nie zabijając się gdzieś po drodze!

„Chyba że on tego wszystkiego wcale nie zaplanował...”, pomyślał Michał Mogiła. Podczas gdy jego towarzysze roztrząsali wpadki i inne niedociągnięcia denata, on przyglądał się butom Manieckiego. Prawy był zasnurowany jak należy, w przeciwieństwie do lewego, który poza stopą w skarpecie musiał jeszcze pomieścić coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na bandaż albo inny rodzaj opatrunku. Lecz na tym nie koniec odkryć, jakie zdążył poczynić, odkąd rozpiął namiot. Maniecki leżał na plecach, z nogami ugiętymi w kolanach i rozrzuconymi tak, że przy odrobinie wysiłku dało się dostrzec jedną z podeszew. Mogiłę aż ścisnęło ze wzruszenia. Znał ten wzór jak własną kieszeń, osobiście go utrwalił w fińskiej owsiance. Musiał tylko sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

– Przepraszam, panie Wojtku, a czy mógłbym na moment zobaczyć...

Odczytując bezbłędnie intencje policjanta, Wojciech Szumski okręcił się na pięcie i zaprezentował podeszwę.

– Tak, to ten sam model – potwierdził. – I chyba ten sam rozmiar. Tyle że ja w moich chodzę, a nie chadzam dla picu.

Rzeczywiście, podeszwy w butach Sztywnego zdradzały intensywne użytkowanie. Tak starty bieźnik nie zostawiłby równie wyraźnego odcisku nawet w najbardziej miękkiej ziemi, nie mówiąc już o kilku uszczerbkach, widocznych gołym okiem.

– Jestem panu winien przeprosiny, panie Wojtku. Nie za to – dodał Mogiła, kiwając na obuwiu Sztywnego – tylko tak... ogółem.

– Owszem, jest pan. Coś tak czułem, że podejrzewa mnie pan o coś głupiego.

Starszy posterunkowy wstał i rozłożył ręce.

– Taka praca, cóż poradzić. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że od początku zachowywał się pan jak człowiek poddawany ogromnej presji. Choć teraz wiem, że wynikała ona z nieco innych przyczyn, niż zakładałem. Cóż. – Odetchnął głęboko. – Chyba każdy z nas zmierzył się przez ten weekend z jakimś demonem. Brak wiary w siebie, wiary w przyszłość...

– Czy naprawdę musimy omawiać nasze kryzysy egzystencjalne przy świeżych zwłokach?

– Jemu już gorzej nie będzie... – zauważył Krawczyk filozoficznie.

– Ale mnie tak.

– No może rzeczywiście... – Mogiła zgodził się ze Sztywnym. – Ale jedno należy podkreślić. Jak widać na załączonym obrazku, wiedza to naprawdę potężna broń. O czymś być albo nie być może przesądzić szczególnie znany tylko profesjonalistom. Nie tylko znajomość pułapek branży wydawniczej czy algorytmów rządzących social mediami, ale też coś tak prozaicznego jak umiejętność pokonania przeszkody terenowej bez odniesienia obrażeń.

– Albo powtórnego zawiązania paracordu w zgrabną plecionkę – dodał Sztywny. – CO? Co ja znowu takiego powiedziałem, że pan znów tak na mnie patrzy?

Rzeczywiście, Michał Mogiła wlepił w niego oszołomione oczy, aż wreszcie uśmiechnął się tak promiennie, jak gdyby wcale nie stał kilka metrów od świeżutkiego denata, który ciążył mu na zawodowym sumieniu. I z tym oto uśmiechem zwrócił się do Juchy, która właśnie wracała do nich, stąpając uważnie po kamieniach:

– Pani komendant, miałbym do pani jeszcze jedną prośbę.

ROZDZIAŁ 22

– Ale ja się muszę spakować! – protestowała Oleńka Kulczańska, kiedy Michał Mogiła przeszedł się po parterze i kazał czwórce autorów zebrać się natychmiast w pokoju warsztatowym.

Podczas gdy kierownik pecha oparł się o parapet jednego z okien i w milczeniu przyglądał się z góry wszystkim zebranym, starszy posterunkowy przyciągnął sobie krzesło, odwiesił kurtkę na oparcie, a sam rozsiadł się mniej więcej wygodnie. Na kolanach miał scenariusz Szumskiego, teraz uzupełniony o kolejną warstwę bardzo ciekawych notatek, oraz telefon komórkowy, w którym dyskretnie włączył dyktafon. Na jego prośbę dokładnie to samo za plecami autorów zrobił Sztynny.

– Zdąży pani, bez obaw – uspokoił Oleńkę policjant. – Transport powrotny przewidziano na szesnastą, a i to pod warunkiem, że środek tego transportu nie rozkraczy się gdzieś po drodze. Mamy czas, a ja chciałbym go maksymalnie wykorzystać w sposób możliwie pożyteczny.

– A pani Justynka?

Cóż, pani Justynka mierzyła się chwilowo z innym zadaniem. Razem z Krawczykiem dyskutowała zawzięcie nad fabułą kolejnej książki momentalnej, ponieważ przy okazji trzymając wartę przy zwłokach i czekając na przybycie miejscowych przedstawicieli organów ścigania. Mogiła uznał jednak, że autorzy nie są gotowi na ten przekaz.

– Z przyczyn niezależnych pani... Justynka idzie obecnie tokiem indywidualnym – wytłumaczył w wielkim skrócie, po czym śmiało przeszedł do sedna. Był teraz śledczym w trakcie śledztwa i stał pewnie na znajomym gruncie. – Proszę państwa, na zakończenie warsztatów chciałbym nie tyle omówić, ile zaprezentować na żywym przykładzie jeszcze jeden istotny element, który może się państwu przydać w trakcie prac nad waszymi opowiadaniem. Przesłuchanie. Przesłuchanie pozwala śledczym ustalić okoliczności przestępstwa, ewentualny motyw sprawcy oraz alibi. Panie Wojtku, co pan robił trzynastego października tego roku między godziną dwunastą a trzynastą czterdzieści?

Szumski nie spodziewał się ani samego pytania, ani tak nagłej zmiany tematu i w pierwszej chwili zaniemówił.

– Nie... nie wiem – wydusił wreszcie. – Skąd mam wiedzieć?

– Ano właśnie. Tu się kryje pułapka. Niewinny człowiek będzie się zasłaniał niewiedzą czy niepamięcią równie często co sprawca przestępstwa. A nawet częściej. No bo kto z nas zapamiętuje ze szczegółami, gdzie był i co robił każdego dnia? Nikt. Niewinny człowiek nie potrzebuje alibi, więc do głowy mu nawet nie przyjdzie, żeby je sobie wcześniej zapewnić i zapamiętać, prawda? No, chyba że sprawca. Albo pisarz.

Autorzy ochoczo przytaknęli, gdyż istotnie, oni też nie mieli w zwyczaju notować alibi na każdy możliwy dzień z myślą o potencjalnym śledztwie w sprawie potencjalnego przestępstwa.

– Pan Wojtek – mówił dalej Mogiła – zaprezentował nam również drugi istotny element przesłuchania, czyli efekt zaskoczenia. To zaskoczenie sprawiło, że zareagował bez zastanowienia. Odruchowo, czyli autentycznie. Teraz ja spróbuję zaskoczyć was.

– Och! – Oleńka Kulczańska wyraźnie się podekscytowała. – Będzie nas pan przesłuchiwał?

– Oczywiście! W końcu sama pani mówiła, że w literaturze najważniejsze są emocje, co nie? Dlatego trochę wam ich dostarczę tak... na pożegnanie. Musicie poczuć ten dreszcz, ten niepokój, trochę się w nim... jak to pan mówił, panie Tomaszu? Zanurzyć, potaplać i tak dalej. – Uśmiechnął się do nich serdecznie, po czym naraz klepnął się dłonią w udo. – Ach, ważna rzecz! Pamiętajcie jeszcze o jednym. Kiedy zostajecie wezwani na przesłuchanie, to znaczy, że przesłuchujący na sto procent już coś o was wie. Niekoniecznie ze wszystkim się zdradzi, ale coś wie na pewno. Co dokładnie? Co wygrzebał? Co pominął? Co przeoczył? O tym dopiero się przekonacie, ale każde kłamstwo, na którym zostaniecie przyłapani, będzie świadczyło przeciwko wam. No dobrze. W takim razie zacznijmy może... od pana.

Wskazany Xavier F. Wolf wyprostował się na krześle i wygładził kapy tweedowej marynarki. Był gotów do starcia!

– Pan Xavier... – Tu zapatrzony w kartkę Mogiła urwał i zmarszczył brwi. Milczał długo, po czym jak gdyby nigdy nic wypuścił pierwszy strzał, szybko i bezlitośnie. – Hm.

Gdyby starszy sierżant Jerzy Pozgonny siedział teraz w tym pomieszczeniu, nie zrobiłby tego lepiej. To było „hm” pełne znaczeń i sugestii, podtekstów i pytań. Wierciło dziurę w duszy i alibi, drażniło serce, budziło demony i dręczyło sumienie nieustającym płomieniem

niewypowiedzianych wątpliwości. To było „hm”, które wszystkie „hm” miało pod sobą.

– Xa... Xa... – Wolf początkowo próbował stawić opór tej nieznanej potędze, lecz szybko pojął, że był w tych usiłowaniach z góry skazany na porażkę. – Ksawery Grzybowski – wyrzucił w końcu z siebie. – Tak naprawdę nazywam się Ksawery Grzybowski... Ale formalnie rzecz biorąc, to ja nikogo nie okłamałem! To-to... to jest pseudonim artystyczny, nie żadne przestępstwo!

– O! – Mogiła pokiwał głową. – To ciekawe.

– Pan coś sugeruje? Przepraszam, czy pan coś sugeruje?! Ja protestuję, ja nie miałem na celu oszukania kogokolwiek, wykluczone! Absolutnie! To splot okoliczności, niefortunny splot, okoliczności i podłości ludzkiej, wskutek czego zostałem zwabiony podstępem i ograbiony, tak, nie boję się tego słowa, OGRABIONY! Wszechstronnie! Ograbiony z pieniędzy, życiowej szansy, poczucia bezpieczeństwa i godności, tak, godności! Bo pieniądze to akurat były mamy, choć ja też się czułem do nich przywiązany, nawet bardzo, natomiast godność miałem osobistą. I nie mogłem wprost znieść, że ktoś ją tak wziął i zszargał, a ja na dodatek za to zapłaciłem, sześć tysięcy dwieście osiemdziesiąt złotych zapłaciłem, jak gdyby moja godność była tyle warta! Tyle mojej winy, że zaufałem, że uwierzyłem, że wytrwale dążyłem do celu, dając swój talent, swoją pracę i swoje nazwisko, a w zamian co mnie spotkało? Oszustwo, grabież i bezradność organów ścigania wobec mojej utraconej godności! Więc proszę, proszę, może mnie pan zakuć w kajdany, ale ja nic nie poradzę, że po tym, co mnie spotkało z rąk tego blogera i jego współników, potrzebowałem świeżego startu, świeżego nazwiska, i może trochę odzieży! – zakończył z przytupem lakierka o zdarty parkiet, obciągnął poły marynarki i dramatycznym gestem splótł ręce na piersi. Jeszcze przez chwilę dyszał z wysiłku i słusznego oburzenia. – Przepraszam, jakie było pytanie?...

– Właściwie to... to żadne. Dziękuję panu bardzo.

– Ale... jak to?... – wybełkotał Wolf, podczas gdy jego powieki trzepotały raz po raz równie nerwowo, co chyba samoczynnie.

– No pan już powiedział wszystko, co chciałem wiedzieć. I nawet jeszcze trochę więcej. – Mogiła obdarzył Xaviera ostatnim uśmiechem, po czym wrócił do uważnego studiowania kartki, którą trzymał na kolanach. – Tomasz Troszczaniec, tak? Tu się nic nie zmieniło?

– Jeszcze na łeb nie upadłem... – mruknął Troszczaniec. Inaczej niż poprzednik nie sprężył się w oczekiwaniu na ciąg dalszy, tylko jeszcze bardziej rozlał na swoim krześle.

– Czyli deklaruje pan pełnię władz umysłowych. Doskonale. Pan był jednym z tych autorów, którzy wycofali się z antologii *Bezmiary*, prawda?

Drugi strzał – i drugi cel padł, zanim w ogóle się zorientował, że go namierzają.

– Co? Skąd... skąd pan...?

– Nie oceniam, skądże znowu – zaznaczył Mogiła, nie dając Troszczańcowi rozwinać pytania. – Sytuacja była zapewne trudna. Wybuchła afera nie wiadomo o co, zrobiło się paskudnie, tak kontrowersyjna publikacja mogłaby się obrócić przeciwko niewinnym autorom. Debiutantom bez machiny, która by ich wsparła w tym nierównym starciu. Chociaż koniec końców chyba nie wyszło tak najgorzej, co nie? Ktoś tam się nawet przebił... Nie żałował pan nigdy?

– A czego tu żałować? – Troszczaniec, zwykle tak wylewny w spluwaniu negatywnymi emocjami, nieoczekiwanie zamknął się w sobie niczym omulek. Niby mroczny, cuchnący mułem, pradawnym echem najgłębszych głębin, lecz w rzeczywistości skrywający swe delikatne, mizerne jestestwo w bardzo kruchej skorupce. – Że zamiast debiutować dobrym tekstem dwa lata temu, do tej pory się szarpie, żeby go gdzieś puścić, bo jakiejś sprzedajnej blogerskiej łajdzie chciało się obesrać pół internetu bzdurami wyssanymi z palca? W dupie to mam, proszę pana. A że mam pięćdziesiąt dwa lata i nadal tkwię na dnie literackiej kariery? No to tkwię. Prawdziwy talent się obroni. Prawdziwy talent, proszę pana, uczepli się pazurami byle czego i wypełźnie z każdego dna, z każdego bagna, choćby go tam próbowali utopić w gnojowicy.

– No właśnie. Skoro pan o tym wspomniał... – Palec Mogiły przesunął się szybko po kartce. – Olga Kulczańska, lat czterdzieści trzy.

– ILE?!

– Nie dodałaś sobie paru lat? – zapytał z niedowierzaniem Wolf vel Grzybowski. – Tak... ze dwudziestu?

– Przecież ty nie masz pół siwego włosa na głowie! – Margo Mesjasz dołączyła do protestu.

– Ale ja jestem cała siwa! Rude włosy naturalnie siwieją do blondu...

Michał Mogiła z nieokreślonym uśmiechem przyglądał się autorom i czekał, aż skończą roztrząsać tę zagadkę nieśmiertelności. Z tego poruszenia całkowicie im umknęło, że przeszedł gładko od gnojowicy do Oleńki.

– Kulczańska – podjął wreszcie, gdy na moment ucichli. – Z domu?

– No... no z domu. A skąd?

– Pytam o pani nazwisko panińskie.

– A! Też.

– Też Kulczańska?

– No... no chyba.

– Czym się pani zajmuje, pani Olgo?

– Wolalabym Oleńko, dziękuję. Jestem starszą asystentką w portalu kulturalnym. Mamy nawet newsletter!

– O proszę. I czym się pani tam zajmuje, pani Olgo?

– Oleńko – poprawiła z niezmaconą radością. – Zajmuję się trochę sprawami organizacyjnymi, trochę komunikacją. Lubię o sobie myśleć, że jestem takim naszym okienkiem na świat.

– To chyba nie jest łatwa praca, prawda? – zapytał z troską. – Pan Krawczyk zajmuje podobne stanowisko i często się skarży na różnego rodzaju natrętów.

– Och, ja się nie przejmuję, nawet jak ktoś jest nieuprzejmy.

– Nie do końca to miałem na myśli. Nie chcę oczywiście pani straszyć, pani Olgo, ale zdarzały się sytuacje z masowym prezentowaniem... organów. A przecież pan Krawczyk jest twardy i niejedno w życiu widział, a nawet udźwignął. Natomiast jego koleżanka, nieco delikatniejszej konstrukcji... – Mogiła urwał, westchnął i z ubolewaniem pokręcił głową. – Biedaczka była bez szans.

Kulczańska poruszyła się na krześle.

– No... no cóż, rzeczywiście, to przykre. Bardzo przykre, że zdarzają się i tacy osobnicy, którzy tylko czyhają na słodką, niewinną... och, jakże niewinną dziewczynę, spragnioną jedynie dobra, drugiego człowieka i tej miłości, od której serce trzepocze niczym motyl... A oni tylko czyhają, żeby to pragnienie wykorzystać i zbrukać, żeby schwycić tego motyla w garść, jak gdyby w drugiej nie ścisnął już innego, równie delikatnego, łkającego za muskaniem wiatru i ogromem przestworzy. Och, niech ona walczy, zaciekle, niech walczy, NIECH WALCZY, NIECH NIE POZWALA, ŻEBY JAKIŚ AROGANT, JAKIŚ... JAKIŚ...

JAKIŚ BAŁWAN, BUFON I OBLUDNIK ZNOWU GRASOWAŁ SOBIE W JEJ OKIENKU!!!

Dramatyczny okrzyk Kulczańskiej jeszcze długo rozbrzmiewał echem pośród czterech ścian, a Michał Mogiła siedział sobie i promieniował szczęściem niczym siedmiolatek na samą myśl o rzyganiu watą cukrową na najbardziej zakręconej kolejce w całymesołym miasteczku. Przypadkowo podsłuchane uwagi, dotąd niezobowiązujące i niezrozumiałe, które właściwie od pierwszych chwil padały z ust autorów pod adresem Manieckiego, teraz zaczynały nabierać sensu.

– Dziękuję, pani Oleńko.

– Teraz to Oleńko, tak?! Tak?! A TERAZ TO JA NIE CHCĘ!!!

Trzeci strzał i trzecia ofiara. Trafiona, zatopiona.

– Już, już, rany boskie, dziewczyno... znaczy, kobieto... – mamrotał Troszczaniec, ciągnąc Kulczańską za obfity rękaw ze sztucznego jedwabiu, żeby wróciła na krzesło, a najlepiej też do emanowania radością, życzliwością i ogólnym umiłowaniem świata.

Tymczasem Mogiła raz jeszcze skonsultował się bez pośpiechu ze swoją kartką, po czym podniósł wzrok na ostatni rząd. Margo zareagowała leniwym uśmiechem, jak gdyby od dawna czekała na ten moment.

– Małgorzata Mesjasz z domu Zawicka, lat czterdzieści siedem – zaczęła niepytana. – Z wykształcenia biologka, obecnie bezrobotna, o ile wychowywanie czwórki dzieci, w tym dziewięcioletnich bliźniąt, można określić brakiem roboty. I na swoje szczęście nie znałam Rafała Manieckiego... bo to przecież o niego nas pan pyta między wierszami, prawda? Z pozoru bloger, a z zawodu i natury najwyraźniej grabieżca, łajza i... jak to szło?

– Obludnik – burknęła Oleńka spod wianka.

– Ładny zestaw kompetencji. Ciekawi mnie tylko, dlaczego tak pana zainteresował, że aż pan odpalił hurtem trzy traumy w jednym pomieszczeniu?

– Tak się przykro złożyło, że Rafał Maniecki został znaleziony martwy.

Po tych słowach w pokoju warsztatowym zapanowało wielkie poruszenie, które Michał Mogiła czujnie obserwował.

Oto one, oto wypływały na powierzchnię – ostatnie strzępy informacji, te najbardziej autentyczne, instynktowne reakcje. Właśnie

na to liczył. Zdradzały to, co dawno temu przywarło do samego dna, chociaż inne emocje już dawno zdążyły wykipieć i rozlać się na wszystkie strony. Niedowierzanie podbite triumfem, złość ze szczyptą satysfakcji, przerażenie z cieniem uśmiechu... oraz jeszcze coś, coś jeszcze.

– Chwileczkę. – Grzybowski zwany Wolfem nagle jakby się zreflektował. – Czy pan... czy pan nas o coś podejrzewa? Czy to jest oficjalne przesłuchanie?

Mogila zachnął się teatralnie.

– Ależ skąd. Zwyczajne warsztaty. Choć rzeczywiście, w zaistniałych okolicznościach można by odnieść wrażenie, że są mniej skupione na literaturze, a bardziej... na przetrwaniu. Chciałem, żebyście się państwo zaangażowali i na własnej skórze poznali to uczucie, te autentyczne emocje towarzyszące człowiekowi, który ma coś do ukrycia, a tu nagle jest rozgryzany kawałek po kawałku. Sami się państwo przekonaliście, jakie to proste. Ja już wiem, że wy go znacie, przypominam sobie różne strzępki informacji, różne rzucone półgębkiem komentarze, ale wy jeszcze nie wiecie, że ja wiem... no i proszę. Ale gdyby ktoś z państwa chciał coś sobie przemyśleć albo coś dodać, to teraz jest dobry moment, żebyśmy... omówili i przećwiczyli jeszcze to i owo. Wiecie państwo. Przed przyjazdem policji, bo wtedy będę zajęty innymi czynnościami.

– Przecież... przecież pan jest policją.

– No fakt. Jestem policją. Jestem nią nawet na urlopie. – Naraz Mogila uniósł wyprostowany palec i zastygł, nasłuchując. Gdzieś w oddali stopniowo wzbierał znajomy dźwięk odpalonej syreny, na który czekał z utęsknieniem od tyłu już dni. – O proszę. Są i nasze bomby.

ROZDZIAŁ 23

– Hm? – przemówił starszy aspirant Jerzy Pozgonny, odebrawszy po pierwszym sygnale, jak gdyby czekał na ten telefon.

Starszy posterunkowy Michał Mogiła wziął głęboki wdech. Gdy ledwie kwadrans wcześniej siedział w pokoju warsztatowym i obserwował reakcje autorów na wieść o śmierci Manieckiego, z każdą chwilą i każdym okrzykiem docierało do niego coraz dobitniej, że przecież wszystkie kawałki tej układanki miał w rękach od dawna. Właściwie od samego początku. Leżały przed nim, na widoku, i czekały grzecznie, aż znajdzie sposób, żeby połączyć je w spójną, logiczną całość. O tak. Michał Mogiła wiedział już wszystko, co musiał wiedzieć. Od rozwiązania zagadkowej śmierci Rafała Manieckiego dzielił go teraz tylko ten jeden telefon.

– W środku nocy z czwartku na piątek zaginał mężczyzna.

Starszy posterunkowy Michał Mogiła zaczął swój monolog bez wdawania się w jakiegokolwiek wstępy. Robili tak przecież nieraz. Właściwie to robili tak za każdym razem, ale Michał dopiero teraz objął rozumem całość procesu. Pozgonny nigdy nie prowadził młodszego kolegi za rączkę, tak jak nigdy nie wypytywał o nic świadków i podejrzanych. Po prostu milczał, zostawiając rozmówcy przestrzeń na jego własne słowa i emanując oczekiwaniem, że zaraz zostanie zapełniona. Również i teraz nie musiał robić nic więcej. Milczał tak i milczał, aż naraz od tego jego milczenia Mogiła zwolniła się blokada i kolorowe kule faktów, domysłów i skojarzeń ruszyły w dziki tan, kłębiąc się w komorze, by jedna za drugą trafić w odpowiednie miejsca, ułożyć się w ostateczną odpowiedź.

– Rafał Maniecki, bloger, influencer, podróżnik. Rano jego pokój był zamknięty od środka na klucz, klucz tkwił w zamku. Jedyne okno zabite gwoździem. W szafie zostały ubrania. Razem z Manieckim zniknął jego telefon. Tyle że w okolicy w zasadzie nie ma zasięgu, bo to stary ośrodek wojskowy, chwilowo wynajęty do celów szkoleniowych. Wokół góry, lasy i bezludzie, nie licząc trzech osób z obsługi szkolenia, w tym mnie, oraz pięciorga uczestników. I Manieckiego.

– ...

– Powtórne oględziny pokoju wykazały, że cała rama okienna była zamalowana farbą – kontynuował Mogiła. – Starą, popękaną,

łuszczącą się farbą. Pokrywała wszystko z wyjątkiem jednego gwoźdźca. Gwóźdź był nowy i dobrze widoczny z daleka, bo aż błyszczał z tej nowości. Czyli ktoś go tam musiał wbić niedawno i zrobił to tak, że gwóźdź w ogóle nie blokował okna, choć mogłoby się tak wydawać. Tylko po co wbijać fałszywe gwoździe? Chociażby po to, żeby nie przyszło nam do głowy spojrzeć ZA okno, żebyśmy je z góry wykluczyli jako drogę ucieczki. Rozumiesz? Nikt nie wszedł do tego pokoju pod osłoną nocy. Ktoś z niego WYSZEDŁ. Zamknął drzwi od środka na klucz, klucz zostawił w zamku, a potem wyszedł przez okno. Nie musiał kombinować, wystarczyło najpierw w miarę łagodnie przyciągnąć skrzydło, a potem je domknąć jednym zdecydowanym ruchem, żeby haczyk sam opadł na swoje miejsce. I już. Zagadka zamkniętego pokoju gotowa.

– Ktoś był na dachu. Sądząc po śladach, prawdopodobnie poślizgnął się na mchu. Wojciech Szumski, pamiętasz Szumskiego? Otóż Szumski para się wspinaczką i twierdzi, że nie da się w tym miejscu wspiąć z poziomu ziemi na dach, ale nie wspomniał ani słowem o tym, czy da się zeskoczyć z dachu na ziemię. Oczywiście, istnieje wiele możliwości – przyznał Mogiła, po czym zaczął wymieniać: – Szumski się zna i ma rację. Szumski się nie zna i nie ma racji. Szumski kłamie. Ale na moje oko mówi prawdę. Zabezpieczyłem ślady butów turystycznych za pomocą odlewu z fińskiej owsianki. Nie pytaj.

Cisza w telefonie mogła sugerować, że Pozgonny w żadnym razie nie zamierzał.

– Podsumowując, ktoś pod osłoną nocy z czwartku na piątek zamknął pokój od środka, wyszedł przez okno na dach, po czym zeskoczył z wysokości pierwszego piętra na ziemię za budynkiem. I tym kimś według mnie był Rafał Maniecki.

– ...

– Tak, wiem, już tłumaczę. Część rzeczy Manieckiego została w szafie, prawda? Kosmetyki, ręcznik. No i ubrania, tyle że wszystkie nowe, część nadal z metkami, a w dodatku tanie i byle jakie. Za to zabrał ze sobą telefon, namiot, śpiwór, drogą odzież turystyczną i mnóstwo drobiazgów, takich jak filtr do uzdatniania wody czy ultradźwiękowy odstraszacz na komary. Profesjonalny sprzęt do przetrwania w lesie, kupiony za ciężkie pieniądze. Tylko powiedz mi jedno. Po co przyjeżdżać z własnym namiotem na imprezę z wyżywieniem i zakwaterowaniem? Przecież to nie ma sensu, prawda?

Ano ma, ale przy założeniu, że Maniecki planował upozorować swoje zaginięcie. A potem... no cóż. Potem planował upozorować swoją śmierć. I wiesz co? Wyszło mu lepiej, niż zakładał.

Mogile odpowiedziało krótkie sapnięcie.

– Oczywiście, że nie żyje! Inaczej bym nie dzwonił. Znaleźliśmy go w namiocie niespełna dwa kilometry od ośrodka. Zaplątał się w materac, paracord i... nie wiem, we własne ego i tak upadł, że wbił sobie kijek do selfie w oczodół. Nieszczęśliwy wypadek? No... – Mogiła skrzywił się przelotem. – Wiesz co, pewnie bym tak uznał, gdyby nie jeden szczegół.

– ...

– Maniecki zeskoczył z dachu, prawda? Pobieżne oględziny jego zwłok wykazały, że buty za półtora tysiąca trochę zamortyzowały ten upadek, ale nie do końca i Maniecki uszkodził sobie lewą kostkę na tyle mocno, że musiał zrewidować plany. Początkowo zamierzał przejść szlakiem przez góry do miejscowości kilka kilometrów stąd, tam wsiąść w PKS i zniknąć jak sen złoty. Nikt nie zwróciłby na niego szczególnej uwagi, w końcu wyglądał jak modelowy turysta w górach odwiedzanych tłumnie przez turystów, co nie? Tymczasem utknął w lesie i musiał wykorzystać sprzęt, który zabrał ze sobą wyłącznie dla zachowania pozorów. Czyli dla picu. Coś jak Jucha i jej incognito. A tak, zapomniałem ci wspomnieć. Jucha tu jest. No. Wiem.

Pozgonny poprzestał na krótkim chrząknięciu, które Mogiła bezbłędnie zinterpretował.

– Jasne, już mówię. Zanim tajemniczo zniknął z zamkniętego pokoju, Maniecki zdążył nakręcić kilka filmów. Za to mu generalnie płacili, miał tworzyć i publikować materiały promocyjne. Pierwszy film nie wzbudzał żadnych podejrzeń, chociaż już budował pewien klimat. Ale wszystko się zgadzało. Warsztaty kryminalne, autorzy przyjechali pisać o zbrodni, więc ta zbrodnia siłą rzeczy wisi w powietrzu. Za to potem... Potem Maniecki już był zaginiony, a mimo to na jego koncie pojawił się drugi film. Już bez udziału autorów czy przedstawicieli wydawnictwa, wyłącznie z nim samym w roli głównej. A potem trzeci, kręcony z ręki, coś jak tamten horror z lat dziewięćdziesiątych, w którym ludzie szli przez las, a potem uciekali w panice, bo ich coś zjadało.

– ...

– Jak wrzucał te filmy do internetu, skoro w całym ośrodku zasięg można złapać tylko w jednym, bardzo specyficznym miejscu, i to pod warunkiem, że się człowiek wygnie? Jak je tam wrzucał, skoro zaginął? Miał ze sobą telefon; czy to znaczy, że mógł się nim posługiwać? Okej, świetnie, tylko czemu nie odbierał, kiedy próbowaliśmy się do niego dozwonić? Czemu nie oddzwaniał? Czemu nie wezwał pomocy?

– ...

– Czekaj, to jeszcze nie wszystko. Na drugim filmie Maniecki miał na sobie tę samą bluzę, którą nosił w dniu przyjazdu. Bardzo charakterystyczną zieloną bluzę. Poplamiała mu się przy obiedzie, kiedy tłumaczyłem ludziom koncepcję ran kłutych na przykładzie lazanii, nie pytaj. Zrobiłem wtedy zdjęcia rozprysków, żeby mieć materiał do warsztatów, błagam, nie pytaj. Tyle że na tym drugim filmie bluza Manieckiego jest czyściuteńka, co oznacza, że musiał nagrać go PRZED obiadem. Jeszcze zanim w ogóle zniknął. Za to na trzecim filmie, ha! Na trzecim te plamy już widać doskonale, Maniecki specjalnie nie włożył do nagrania kurtki, żeby się nie dało ich przeoczyć. Dlaczego? Bo przez użyte filtry wyglądają jak krew. I na dodatek jest ich tam więcej, niż być powinno, porównałem ze zdjęciami, więc musiał co nieco dołożyć dla efektu. Co wyjaśnia tajemnicę zaginionego keczupu.

– ...

– Akurat tę zagadkę od ręki rozwikłała nam Daniela Majewska. Jej słowa potwierdził także Szumski, nasi technicy też to na bank sprawdzą. Maniecki musiał wrzucać te filmy na Instagrama za pośrednictwem specjalnej aplikacji, takiej już profesjonalnej, której normalni użytkownicy nie używają. I ta aplikacja pozwala między innymi zapisywać wersje robocze oraz planować publikację. Wiesz, ustawiać datę i godzinę, kiedy filmik wjedzie do sieci. Automatycznie. Rozumiesz, o co mi chodzi? On tych filmów nie wrzucał na żywo, choć nam mogłoby się tak wydawać. Nie, wróć, inaczej. Choć nam się MIAŁO tak wydawać. Nagrał je wcześniej, a potem zaplanował publikację na takie godziny, żeby dotrzeć do jak największej liczby odbiorców. To się nazywa algorytm. Prawdopodobnie ten ostatni filmik, dzięki któremu w ogóle udało nam się gościa odnaleźć, został opublikowany w tej samej chwili, kiedy Maniecki umierał. Bardzo możliwe, że to dlatego udało nam się go znaleźć, bo skoro umierał, to nie zdążył wyłączyć telefonu.

– ...

– Ale najbardziej niepokojące jest to, co on na tych filmach mówił – mówił dalej Mogiła. – Zaczął od sugestii, że nie czuje się bezpiecznie, że tu się coś dzieje i tak dalej. A potem, na ostatnim nagraniu, powiedział to już wprost. Że on się obawia o swoje życie, bo ktoś tu na niego czyha, że go dorwali. Początkowo sądziłem, że chodziło mu o złą sławę wydawnictwa JaMas. Pamiętasz, to ci od redaktora współpracującego na sedesie. Tak, wiem, wiem – przerwał Pozgonnemu jego wymowne milczenie. – Potem mnie ochrzaniś, teraz słuchaj dalej. Z takim wydawcą naprawdę nie musiał się starać, żeby coś zasugerować. Przecież wszyscy już wiedzą, że tam mordują niewygodnych współpracowników, no i proszę, znów to zrobili. Tymczasem Maniecki w swoich filmikach wyraźnie nakierowywał uwagę odbiorców na złe intencje autorów. Autorów. Dlaczego? Po co?

– ...

– Wystarczyło poskrobać, a jak warczy na ciebie Szumski we własnej osobie, to skrobiesz bardzo głęboko. Autorzy mieli motyw! Widzisz, Maniecki był w przeszłości zamieszany w kilka mniejszych lub większych afer w branży. Finansowych, obyczajowych, ogółem śliski typ, jeden z tych, co to zawsze łąduje na cztery łapy, tyle że na cudzej głowie. Wśród poszkodowanych było aż troje z czworga autorów, którzy biorą udział w warsztatach. Warsztatach zorganizowanych przez wydawcę, którego kluczowa pracownica wykończyła współpracownika, bo jej podpadł.

Pozgonny wciągnął powietrze mocno przez nos.

– Prawda? – przytaknął z ożywieniem Mogiła. – Facet zagiął. Wszystko wskazuje na to, że prawdopodobnie został zamordowany. Ale nie ma ciała! Nie ma w ogóle żadnych śladów biologicznych. Nie ma nic konkretnego. Za to jest prawdopodobieństwo, jest policjant w roli świadka oraz całe zatrzęsienie potencjalnych sprawców, w tym połowa z takim motywem, że śledczy od razu przybiliby sobie piątkę i poszli na zasłużone piwo. Tyle że żadnemu z nich niczego by nie udowodnili. No bo jak? Kręciliby się w kółko, aż śledztwo zostałoby umorzona z braku znamion przestępstwa. A gdyby Maniecki koniec końców gdzieś się objawił, cały i zdrowy? No cóż. Nikt nie zabroni dorosłemu człowiekowi porzucić dotychczasowego życia i zniknąć. Chyba że skarbówka.

– ...

– I tu dochodzimy do kluczowego pytania. Po co w ogóle miałyby zniknąć, na dodatek w taki sposób? Tu też wystarczyło poskrobać

w odpowiednich miejscach. Maniecki był spalony w środowisku blogersko-literackim, na amen, ale nie przyjmował tego do wiadomości. Czy inaczej – skorygował po namyśle. – Przyjmował i zamierzał to wykorzystać na swoją korzyść. Przecież o jego zaginięciu i domniemanej śmierci mówiłaby cała Polska. Wydawca z kryminalną przeszłością i trupem na koncie, autorzy żądni zemsty, kto z nich zabił Rafała Manieckiego? Głośna, medialna sprawa, niewyjaśniona zagadka, wszyscy o niej słyszeli, wszyscy o niej mówią, cały internet huczy od teorii spiskowych. I wtedy, zanim ktokolwiek by się zorientował, że tu warto kuć żelazo, póki gorące, zanim pierwszy seryjny autor kryminałów wzięłby tę sprawę na tapet, na rynek wjechałaby gorąca nowość. Skandalizująca książka oparta na prawie faktach. Gwarantowany bestseller.

– ...

– Właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Rafał Maniecki postanowił wydać pod pseudonimem książkę o własnym tajemniczym zaginięciu i zbić na niej kokosy. Kiedy zaproponowano mu obsługę medialną warsztatów i poznał nazwiska autorów, od razu dostrzegł okazję. Dopilnował, żeby w finałowej piątce znaleźli się odpowiedni ludzie. Wybadał temat, przygotował sobie grunt. Pracował już nad tekstem, rozumiesz? Miał go ze sobą w namiocie, widziałem wydrukowany fragment, w którym opisywał zbrodniczy spisek. Grafomania, że rany boskie, ale to nie literatura miała się tu sprzedawać, tylko skandal. A Maniecki sam o tym mówił! Powtarzał to od początku, miał wszystko dokładnie zaplanowane. Skandal nakręciłby mu sprzedaż do nieosiągalnego poziomu, bo nic nie sprzedaje się tak dobrze jak śmierć. Gdyby nie skręcił kostki, skacząc z dachu, wszystko poszłoby jak po maśle. Szukalibyśmy wiatru w polu, a on liczyłby wpływy. Tyle że Maniecki tę kostkę skręcił.

– ...

– Wiedza to broń. I to jaka. Widzisz, Maniecki nie był wcale podróżnikiem, chociaż tak się lubił przedstawiać. Widać to jak na dłoni po jego koncie na Instagramie. Największa wyprawa, jaką tam zarejestrował przez ostatnie pół roku, to festiwal foodtrucków na lokalnym boisku. Kupił sprzęt turystyczny za ciężkie pieniądze, żeby się z nim pokazać i zrobić na wszystkich odpowiednie wrażenie, ale nawet nie potrafił go użyć. Nic nie wiedział o survivalu czy turystyce pieszej. Chyba zdawał sobie z tego sprawę, bo z początku, kiedy się

okazało, że daleko nie zajdzie, próbował się włamać do pustego budynku na uboczu. Dopiero gdy mu nie wyszło, wtedy mniej więcej rozstawił namiot. Przypominam, miał ze sobą odstraszacz komarów, chociaż w listopadzie komary rzadko tu latają. Za to buty i kurtkę kupił jak na wyprawę w Himalaje. Śpiwór też wybrał tak ciepły, że pływał we własnym pocie i się wyziębił, a materac tak gruby, że się z nim ledwo mieścił w namiocie. Rozplątał paracord, ale nie umiał go spleść z powrotem, zgubił polar, zgubił filtr, którym uzdatniał do picia wodę z kranu. Z kranu! Za to nie zabrał ze sobą żadnego prowiantu, dlatego nocą podkradał Arkowi słodczyce proteinowe z parapetu, żeby nie umrzeć z głodu, a do tego jakimś sposobem wygiął jeden z prętów stelaża namiotu prawie pod kątem prostym. Cóż. Muszę się zgodzić z tezą postawioną przez Szumskiego. Maniecki był idiotą. I jak idiota zginął.

– ...

– No właśnie – odpowiedział na milczenie Pozgonnego. – I tu wracamy do teorii o nieszczęśliwym wypadku. Myślę, że to wcale nie był wypadek, wiesz? Przynajmniej nie tak do końca. Ktoś inny co najmniej skorzystał z okazji, a może nawet przyłożył rękę do śmierci Manieckiego. Bo widzisz, namiot też był zamknięty, tyle że od zewnątrz. Ktoś bardzo fachowo i bardzo starannie zawiązał paracord tak, żeby nikt postronny nie zajął przypadkiem do środka. Albo... żeby ktoś inny nie dał rady się z niego wydostać. I na przykład szukać pomocy.

– ...

– Moje pierwsze skojarzenie? Wojciech Szumski – odparł sam sobie bez wahania. – Facet na pewno potrafi zawiązać paracord. Nawet do kibla chodzi z latarką i scyzorykiem w kieszeni. Co więcej, jego buty pasują do śladów stóp pod oknem. Ten sam bieżnik, ten sam kształt podeszwy, ta sama szerokość śródstopia – wymienił gładko. – Do tego facet jest wysportowany, uprawia wspinaczkę. Więc może miał coś wspólnego ze sprawą już na etapie zaginięcia Manieckiego? Spokojnie zeskoczyłby z tego dachu na ziemię, myślę nawet, że dałby radę się na niego wspiąć, gdyby musiał. A do tego ma bardzo, ale to bardzo silny motyw, żeby w przyływie szału wykończyć podstępnego blogera. Bo gdyby plan Manieckiego się powiódł, wydawnictwo JaMas by upadło. A przecież Szumski męczy się tutaj po to, żeby temu upadkowi zapobiec, prawda? Za wszelką cenę. Jest motyw. Jest afekt. Jest trup. –

Zamilknął na moment, ujmując w słowa tę pewność, jaka się w nim wykrystalizowała. – Tyle że z dokładnie tego samego powodu Szumski by Manieckiego palcem nie tknął. O nie. Szumski nie znosi ludzi, nie rozumie ludzi, nie umie w ludzkie emocje. Za to umie w analizę i opanowanie. Ten facet może i ściera sobie szkliwo bardziej niż powinien, ale nie pęka w sytuacjach, w których ja odruchowo szukam drogi ucieczki. Albo broni. Nie. Szumski nie zamordowałby Manieckiego, a już z pewnością nie w afekcie. On by go spokojnie, metodycznie rozjechał na gruncie zawodowym.

– ...

– No i taki drobiazg – dodał. – Buty Szumskiego na pierwszy rzut oka pasują do zabezpieczonych odcisków. Dlaczego? Ano dlatego, że Szumski i Maniecki noszą ten sam model, bardzo popularny, na dodatek w tym samym rozmiarze. Ale jeśli się dobrze przyjrzeć, to para Szumskiego jest o wiele bardziej zużyta niż para, którą ma na stopach martwy Maniecki. Bo Szumski nie kupił tych butów na pokaz, tylko chodzi w nich intensywnie od kilku lat. I właśnie to zużycie obuwia, te drobne różnice powstałe wskutek długotrwałego oddziaływania takich czynników jak masa ciała, długość kroku czy przeróżne indywidualne nawyki, to wszystko do kupy dowodzi, że Wojciech Szumski nie miał nic wspólnego ani ze zniknięciem, ani ze śmiercią Rafała Manieckiego.

Starszy posterunkowy Michał Mogiła uśmiechnął się do siebie.

– Ale nie kto inny, jak właśnie Wojciech Szumski przez czysty przypadek naprowadził mnie na właściwy trop. Naprowadził mnie na Stalówkę.

ROZDZIAŁ 24

Po raz pierwszy od kilku dni starszy posterunkowy Michał Mogiła nigdzie się nie spieszył. Zamiast gonić i węszyć po chaszczach za zaginionym Manieckim, mógł usiąść spokojnie, złożyć ręce na kolanie i po prostu czekać na dalszy rozwój wypadków. Przy drzwiach stał miejscowy mundurowy w roli najbardziej oczywistego sygnału, że oto warsztaty dobiegły końca, pora na prawdziwe śledztwo. „Zabawne”, pomyślał Mogiła. „Przecież zwykle od śledztwa się wszystko zaczyna, a tu wyszło jakoś tak na odwrót. Długo, długo nic, a tu proszę. Wtem denat”.

– To może ja pierwszy – zaproponował wobec przedłużającej się ciszy. – Nagrania, które Rafał Maniecki zamieścił w sieci, zwróciły naszą uwagę na trzy konkretne osoby: na Wolfa vel Grzybowskiego, Troszczańca i Kulczańską. Dlaczego właśnie na tę trójkę? Ponieważ każde z nich знаło wcześniej Rafała Manieckiego, do czego wszyscy się już przyznali, oraz, co jeszcze istotniejsze, miało doskonały powód, żeby za nim nie przepadać. Bo umówmy się. Pieniądze, ambicje i seks to najpotężniejszy zestaw motywów w długich dziejach zbrodni. – Mamy więc motyw – ciągnął, jak gdyby konwersował sobie przy herbatce i ciasteczku. – Teraz sposobność. Xavier F. Wolf vel Ksawery Grzybowski wstawał przed wszystkimi, niby żeby pisać, ale jakoś tak bez wymiernych rezultatów. Tomasz Troszczaniec z kolei lubi snuć się po nocach, chociaż pan Szumski bardzo starał mu się to uniemożliwić. Olga Kulczańska zaś... cóż, jest osobą dość emocjonalną w swoich reakcjach. Przez te cztery dni nikt ich nie pilnował ani nie śledził, cieszyli się pełną swobodą, a nawet byli wręcz zachęceni do poruszania się po ośrodku. Podsumowując zatem: każde z nich miało powód, każde z nich miało okazję, żeby zabić Rafała Manieckiego. Za to żadne nie miało niepodważalnego alibi na moment jego śmierci. I co teraz? – zapytał i zawiesił głos, udając, że czeka na odpowiedź. – Ano nic. Na szczęście nie potrzebują ani alibi, ani świadków, którzy by je potwierdzili, bo nasz domniemany morderca zdradził się z posiadaniem pewnej charakterystycznej umiejętności.

Mogiła uniósł przed sobą woreczek strunowy z kawałkiem paracordu, tym samym, który własnoręcznie odciął z zapięcia namiotu.

– Bardzo ciekawa rzecz. Ot, takie nic, kilka sprytnie zaplecionych węzłów. Ale jak zaplecionych! Nie każdy tak potrafi. Podliczmy szybko. Pięcioro uczestników plus czterech członków obsługi, czyli razem dziewięć osób przebywających w ośrodku wojskowym na kompletnym zadupiu między czwartkiem jedenastego listopada a niedzielą czternastego. Całkiem spora populacja, prawda? Ale spośród tych dziewięciu osób tylko dwie wiedziały, jak fachowo zawiązać taki paracord i cóż, niestety nie był to denat. Wojciech Szumski, który na swoje szczęście w okolicach śmierci Rafała Manieckiego przebywał w towarzystwie dwojga świadków i nijak nie miał sposobności, choć zapewne znalazłby się motyw. – Mogiła opuścił rękę z woreczkiem. – Oraz pani.

Gdyby liczył na jakąś reakcję, to właśnie srodze by się zawiódł. Margo Mesjasz przysłuchiwała mu się w niewzruszonym milczeniu. Lecz starszy posterunkowy Michał Mogiła nie urodził się wczoraj. Doskonale wiedział, co robi – tak jak to wiedział wcześniej, kiedy po kolei rozgryzał troje autorów, a każde z nich inaczej, tak, żeby pękło w mgnieniu oka i obnażyło miękkie wnętrze. Bądź co bądź obserwował ich z bliska przez ostatnie cztery dni.

– Pewnie bym tego w ogóle nie skojarzył – przyznał bez ociągania – gdybym nie obserwował zmagania pani komendant z robótką. A, no tak, zapomniałem, że pani przecież nie wie. Pani Justyna Boligłowa jest emerytowaną komendantką policji. Zabawne, prawda? Warsztaty literackie o fikcyjnej zbrodni kończą się prawdziwą zbrodnią, chociaż powinny prawdziwą literaturą, a wszystko to pod samiotkim nosem dwojga autentycznych mundurowych. W tym jednego incognito.

Stanowczo odepchnął od siebie nadciągające z furkotem wspomnienie owego incognito, gdyż ostatnie, czego mu było trzeba podczas konfrontacji, to pastelowa Jucha przed oczami.

– Panią też obserwowałem, i to od samego początku – zauważył, bo Mesjasz wciąż milczała. – Ot, zawodowy odruch, obserwuję, zapamiętuję, analizuję. I długo mnie zastanawiało, skąd u pani to ciągle zamiłowanie do spacerów. Przy tej pogodzie? – Wzdrygnął się teatralnie. – Ja szukałem zaginionego człowieka, a ledwo mi się chciało wyściubiać nos z budynku! A pani, proszę, spacer za spacerem, dzień w dzień. Po co? Jako jedyna nie prowadziła pani żadnych social mediów, więc nie zależało pani tak na zasięgu, jak całej reszcie. Pani nie ma followersów wymagających regularnego karmienia. A potem

o czymś sobie przypomniałem. Tylko pani telefon nie eksplodował powiadomieniami po odkryciu cudownego głazu z zasięgiem. I nie mówię o powiadomieniach z aplikacji. Tylko pani nie musiała przeglądać nieprzeczytanych esemesów, nieodebranych połączeń. Jak to możliwe? – Też bym tego nie rozumiał, gdybym parę miesięcy temu nie obserwował pewnego młodego ojca w akcji. Wokół koniec świata. Trup, policja, śledztwo, przesłuchania, chaos, a on nic. Nic. My go bierzemy na przesłuchanie, a on jasne, byle szybko, bo musi przewinać dziecko. Ogarnięty? Jasne. Znieczulony? Być może. Zupełnie jak pani. Zachowuje pani kamienny spokój w sytuacjach, kiedy innym kompletnie odwala, zna pani dziwne sztuczki, gry i zabawy, odruchowo wiąże pani szaliczki, wyciera nosy i wszędzie nosi pani torebkę pełną przydasiów. Matka. Po prostu matka. Ale dlaczego nie rzuciła się pani na swój telefon? – Przerwał na chwilę dla lepszego efektu. – Bo znalazła pani zasięg, zanim w ogóle ktokolwiek zauważył, że go tu nie ma.

Mesjasz nie przerywała milczenia.

– Zostawiła pani w domu czworo dzieci w wieku od, jeśli mnie pamięć nie myli, lat czterech do trzynastu. Musiała pani być z nimi w kontakcie, bo choć w wolnych chwilach myśli pani o zbrodniach, to jest pani matką z krwi i kości. Dlatego chodziła pani tyle po okolicy. I przy okazji dokonała pani co najmniej jednego odkrycia. Na pewno znalazła pani polar Manieckiego na murku, sama nam pani o tym powiedziała. Ale czy coś jeszcze? Czy natknęła się pani na jakieś inne ślady? Może na samego Manieckiego? Może słyszała pani, jak nagrywał te swoje filmiki, zorientowała się, że coś knuje kosztem inicjatywy, w której pokładała pani nadzieje? Kosztem ludzi, którzy również brali w niej udział? Zorientowała się pani, że Maniecki to pozer, szuja i egocentryk? Moim zdaniem bardzo możliwe. W końcu sama mi pani mówiła, że zna się na ludziach.

– Jak to szło? – Margo Mesjasz uniosła na moment wzrok ponad głowę Mogiły, jak gdyby tam, na ścianie za jego plecami, widniała odpowiedź, której teraz poszukiwała. – Research, kwerenda, śledztwo, tak? Ja bym ten proces nazwała jeszcze inaczej. Lekcją do odrobienia. Zawsze powtarzam moim dzieciom, że lekcje się odrabia przede wszystkim dla siebie. I daję im najlepszy przykład, bo żywy. I stąd wiem, że za nieudzielenie pomocy grozi kara pozbawienia wolności do lat trzech. A co to są trzy lata? Ja nie śpię od trzynastu.

– Więc taka jest pani wersja, dobrze rozumiem? – upewnił się Mogiła. – Maniecki potknął się i upadł tak pechowo, że zmarł wskutek odniesionych obrażeń, a pani tylko... co właściwie pani tam robiła? Przechodziła z tragarzami?

– A nie? Ciasna przestrzeń, śliska nawierzchnia, sznurek płaczący się pod nogami. Dla mnie to brzmi jak gotowy przepis na nieszczęście. Dlatego zawsze powtarzam moim dzieciom, do znudzenia, żeby patrzyły pod nogi. Nie popatrzą, upadną, no cóż. – Wzruszyła ramionami. – Ostrzegałam. Było słuchać matki.

– Nie sądzę.

– Cóż ja mogę na to poradzić? Nie zabiłam Rafała Manieckiego. Nawet palcem nie dotknęłam narzędzia zbrodni. A co najważniejsze, przynajmniej zdaniem pewnego policjanta, który prowadził tu niedawno szkolenie, nie miałam najmniejszego powodu, żeby go zabić.

Michał Mogiła uśmiechnął się przelotnie.

– Ano właśnie. To mnie też zastanawiało. Mógłbym wskazać od ręki co najmniej cztery osoby, które miałyby doskonałe powody, żeby zabić Rafała Manieckiego. Co ja gadam, pięć! I żadną z nich nie byłaby pani! Z ręką na sercu – zapewnił solennie. – Tylko pani, pani komendant i ja sam byliśmy poza wszelkimi podejrzeniami. Więc... jak to się mogło stać?

– No niestety, nie pomogę.

– Och, do wszystkiego dojdziemy, proszę się tym nie martwić. Choć osobiście nie sądzę, żeby zaplanowała to pani z premedytacją – przyznał. – Wtedy nie oddałaby pani Oldze Kulczańskiej polaru, bo on łączy panią z denatem. Jeśli już, obstawiałbym afekt, impuls, taką, powiedzmy, potrzebę chwili. A być może Maniecki potknął się i upadł, jak pani twierdzi, być może wystraszył się na pani widok i upadł, być może upadł, zanim się pani tam zjawiała. Ustalimy i to. Ale bez względu na to, który scenariusz przyjmujemy, jedno jest pewne ponad wszelką wątpliwość. I nawet się pani zdążyła do tego przyznać – dodał z naciskiem. – Stała tam pani beczynnienie i patrzyła, jak Rafał Maniecki umierał z kijkiem do selfie w oczodole. Nie pomogła mu pani. Nie wezwała pani pomocy. Uznała pani, że zasłużył? Bo wykorzystywał ludzi do własnych celów? Bo było słuchać matki, kiedy ostrzegała, że jak będziesz niemiły dla innych, to ci inni nie będą potem chcieli się z tobą bawić? – Odchylił się na krześle i omiółł Mesjasz sceptycznym spojrzeniem. – Tego jednego nie potrafię ogarnąć rozumem. Z całą

resztą daję radę, ale to? Jak pani mogła tak po prostu stać i patrzeć? A może nie mogła pani? To dlatego zapięła pani ten namiot?

Margo Mesjasz na moment odwróciła głowę w stronę okna. Kiedy zaczęła mówić, jej głos był równie pełen emocji co ten krajobraz rozmyty listopadowym deszczem.

– Nie ma pan dzieci, więc pewnych rzeczy pan nie wie. Na przykład jak to jest, kiedy twoje dziecko spotyka dokładnie to, przed czym je chwilę wcześniej ostrzegalesz, a jedyne, co ci się wtedy ciśnie na usta, to: „A nie mówiłam?”. – Przy tych słowach w jej oczach nie było nawet cienia emocji. – Ale myślę, że doskonale zna pan to poczucie zimnej satysfakcji, kiedy człowiek mija szczątki szybkiego, dynamicznego samochodu owiniętego wokół latarni i myśli sobie: „Jednego debila mniej i świat od razu jakiś taki bezpieczniejszy”. Mam rację?

– To mówi pani, że nie miała powodu, żeby zabić, tak? – Teraz to Mogiła uciekł wzrokiem gdzieś w bok, żeby się lepiej skupić. – Myślę, że to nieprawda. Miała go pani, tylko... to nie jest powód tak oczywisty. Widoczny jak na dłoni. Zwłaszcza dla kogoś, kto nie ma dzieci. Ale da się go poskładać z okruchów. Pani nie traci czasu. Ani na rytuały, ani na bezcelowe powtarzanie w kółko tego samego przekazu. Pani po prostu robi swoje. I ewentualnie patrzy potem, jak świat płonie, dokładnie tak, jak pani ostrzegła.

– Nie odpowiadam za świat, proszę pana. Jak sam pan powiedział, nie tracę czasu. Nie tracę też sił na byle co lub byle kogo, bo nauczyłam się je szanować. Dlatego chyba jako jedyna kończę te warsztaty, mając na dysku laptopa gotowy tekst.

– Oraz trupa na sumieniu. – Mogiła oparł splecione ręce na kolanie i nachylił się w stronę kobiety. – Szczerze? Trzeba było na tym poprzestać. Na tej, jak to pani ujęła, zimnej satysfakcji. Ale pani to nie wystarczyło. Pani chciała go ukarać, i to tak, żeby był tego świadomy. Chciała pani pokazać Manieckiemu, że niemili chłopcy nie mogą liczyć na pomoc i muszą się zmierzyć z konsekwencjami swoich czynów, choćby to była śmierć wskutek głupiego upadku. Dlatego przecięła pani paracord i zamknęła namiot od zewnątrz. I tu właśnie popełniła pani błąd. Bo odcisk pani buta, owszem, dowodzi niezbitcie, że była pani na miejscu przestępstwa, ale nic więcej. Kiedy? Po co? W jakich okolicznościach? Nie wiemy. Chyba że... Chyba że znajdziemy pani odciski na namiocie i na paracordzie, a coś znajdziemy, proszę nie mieć co do tego złudzeń. I wtedy brak jasnego motywu stanie się kwestią

drugorzędną, bo odciski palców to twarde dowody rzeczowe. Takie zero-jedynkowe. Ale jeśli autopsja wykaże, że ten kijek nie uszkodził mózgu Manieckiego, że Maniecki nie zginął natychmiast, tylko się tam powolutku wykrwawił, a pani na to patrzyła... no cóż. To będzie coś więcej niż tylko nieudzielenie pomocy. A ja osobiście dopilnuję, żeby wyszło z tego więcej niż trzy lata.

ROZDZIAŁ 25

Trzydzieści siedem minut po szesnastej czerwony bus odjechał z ośrodka wojskowego, uwożąc troje autorów wraz z ich bagażami, dręczącymi pytaniami o sens pracy twórczej, egzystencji i innych takich oraz stanowczym nadmiarem doświadczeń na wielu polach – w tym takich, których w żadnym razie nie mieli w planach, kiedy przyjeżdżali tu przed zaledwie paroma dniami.

Arkadiusz Krawczyk kończył właśnie pakować minivana i pomachał im wesoło na pożegnanie.

Blask latarni oświetlał szutrowy podjazd przed bliźniaczymi budynkami, na którym roilo się od ludzi. Z daleka było widać, że Sztynny bardzo się starał nie oszaleć, tylko zdać w końcu klucze wraz z obiektem miłej żołnierce, czując na sobie baczne spojrzenia przedstawicieli policji oraz żandarmerii wojskowej. Ci z kolei usiłowali ustalić podział kompetencji, w czym nie pomagał im fakt, że ani jedni, ani drudzy nie mieli szczególnej ochoty przejmować tego śledztwa, w związku z czym głównie szukali powodów, żeby się wykręcić. Najbardziej zadowoleni z całego towarzystwa byli technicy kryminalni, którzy mieli już za sobą chwile czystej ekstazy w pomarańczowym namiocie Rafała Manieckiego i teraz szykowali się do oględzin jego pokoju, jak gdyby to była wyprawa do Disneylandu.

Nic dziwnego, że na twarzy starszego posterunkowego Michała Mogiły malowała się ulga, kiedy wyrwał się na moment z tego kotła i pospieszył na parking, by dołączyć do sekretarki.

– Sztynny już idzie, możecie jechać. Tylko błagam, nie zabij go gdzieś po drodze. Pamiętaj, że Sztynny w trumnie, a ty w pierdlu z Głazną to ostatnie, czego trzeba wydawnictwu, tak? Tak. No. Nie mówiąc o tym, że będzie ci potem przykro.

- Niby z jakiej paki? – burknął Krawczyk podejrzliwie.
- Bo lubisz go bardziej, niż chciałbyś przyznać.
- Michaś, tobie gorzej?

Mogiła zaśmiał się krótko, po czym przystąpił do wyłuszczeń:

– Bez zastanowienia rzucił ci się na pomoc, kiedy myślał, że cię krzywdzę. Jest zakochany po uszy w dziewczynie, ale nawet nie mrugnie w jej stronę, ponieważ ta dziewczyna ma narzeczonego. Przekroczył wielokrotnie granice prywatnego komfortu i prywatnego

budżetu, żeby ratować firmę, w której pracuje. Dbą o swojego ojca i swojego psa. Ma zasady moralne i się ich trzyma bez względu na wszystko. Krótko mówiąc, to Wojciech Szumski w gruncie rzeczy jest porządnym facetem, a ty dobrze o tym wiesz, tylko uparcie nie chcesz tego przyznać, żeby wyszło jednak na twoje. No i co tu kryć – dodał po zastanowieniu. – Do kompletu jest cholernie przystojny.

– Oj, Michaś, Michaś. Jak ty się marnujesz po tamtej stronie mocy.

– To prawda. Sztywnego też się da lepiej zagospodarować, tylko musisz mu dać szansę.

Jak na zawołanie Wojciech Szumski, wyrwawszy się wreszcie spomiędzy mundurowych, sprężystym krokiem pomaszerował w ich kierunku, niosąc najświeższe wieści.

– Aresztowali ją! Właśnie aresztowali Mesjasz.

– A tak. Istotnie. – Mogiła potwierdził doniesienia. – Poszlaki to jedno, ale w kurtce Mesjasz znaleźliśmy ostrze od paracordu. Zakładamy, że tego należącego do denata, ale to już potwierdzą nasi dzielni kryminaliści. Tylko wiecie, to tak między nami...

– Po jakiego grzyba Mesjasz je ze sobą zabrała? – Krawczyk zrobił wielkie oczy. – Na pamiątkę czy jak? Nie, ja nie rozumiem kobiet...

– Może chciała je gdzieś ukryć, ale nie zdążyła – zasugerował Mogiła. – Może nie miała jak usunąć odcisków. Albo ten sam odruch, przez który matki chowają papierki po kieszeniach, kazał jej zrobić to samo z ostrzem, kiedy zaplatała paracord. Nasze nawyki i reakcje mówią o nas więcej, niż byśmy tego czasem chcieli.

– No coś w tym jest – przyznał Wojciech Szumski, przypominając sobie własny odruch, przez który bezrefleksyjnie posądził sekretarkę i starszego posterunkowego o płomienny romans, z wszelkimi tego konsekwencjami. Na wypadek gdyby ich znowu naszło, żeby zgłębić tę kwestię, szybko zmienił temat. – Jeśli dobrze zrozumiałem, pan jeszcze zostaje, panie Michale?

– A tak. Pomogę trochę miejscowym ogarnąć wstępnie ten bałagan, a potem wrócę razem z Juchą. Jak się ładnie uśmiechniemy, to nas odwiozą na bombach pod samiutki drzwi. Albo może lepiej nie... No nic. – Michał Mogiła odsunął się od minivana i wyciągnął rękę do kierownika pecha. – Dziękuję za tę ciekawą przygodę i jeszcze raz pana przepraszam, panie Wojtku. Ale sam pan rozumie.

– Praca.

– Praca. A gdybyście ponownie potrzebowali policyjnego wsparcia, to... to ja bym bardzo prosił, żeby mnie nie angażować, dobrze? Mam dość obcowania z kulturą na całe życie.

– Co racja, to racja – zgodził się z nim Krawczyk. – Z jakiegoś powodu ta branża wyzwala w ludziach najgorsze instynkty.

Jeszcze przez chwilę obaj, kierownik pecha i sekretarka, stali na parkingu i patrzyli, jak mundurowi w dwóch kolorach rozpełzli się za Mogiłą i Juchą po ośrodku, żeby prześledzić w terenie wydarzenia ostatnich czterech dni. Może namacalne dowody pomogą im uwierzyć w ogrom tego obłędu, który się tu wydarzył, a w który wciąż zdawali się nie dowierzać.

– Czyli co, panie kierowniku? – zagaił wreszcie Krawczyk, podrzucając w dłoni kluczyki do samochodu. – Zostaliśmy tylko my dwaj na placu boju.

– Najwyraźniej.

– I co pan na to?

Sztywny wzruszył ramionami.

– A to zależy. Możemy się dalej dziobać jak dwa koguciki, aż jeden z nas padnie, a drugi obejmie niepodzielne rządy w kurniku. I chrzanić, że ten kurnik zawali się pod ciężarem guana, które się tam nawarstwiło. A możemy... Możemy też uznać, że obydwo nam zależy trochę bardziej, niż się do tego głośno przyznajemy, chwycić tego ciamkającego gamonia za nabiół i porządnie ścisnąć, zanim będzie za późno. Bo jak nie my, to kto, do jasnej cholery?

Na przekór aurze i okolicznościom twarz sekretarki aż pojaśniała od uśmiechu, który rozlał się na niej pomału, sięgając od skrytych w gęstym zaroście ust aż po doskonale widoczne oczy.

– Święte słowa, panie kierowniku. Święte słowa.

Listopadowe chmury ponad ich głowami raz jeszcze siąpięły deszczem, kiedy kierownik pecha i krasnoludzka sekretarka wsiedli w końcu do minivana, po czym ruszyli w drogę powrotną.

Mieli coś do zrobienia.

Koniec tomu drugiego
(jeszcze nie ostatniego)

PODZIĘKOWANIA

Żywot autora ciężkim jest...

Na przykład takie natchnienie, element bądź co bądź istotny, nieodzowny wręcz w procesie twórczym, przynajmniej w teorii. Tymczasem w praktyce – gorzej jak z dzieckiem! Bez natchnienia ani rusz, ale z natchnieniem wcale nie jest łatwiej. A skąd. Najpierw napada człowieka i ładuje mu głupie pomysły szuflą prosto do głowy, a kiedy przychodzi ten moment, że nic tylko usiąść i pisać – gdyż na tym wszak polega pisanie, że się siedzi i pisze, prawda? – wtedy rozkłada bezradnie odnóża i idzie w zaparte, że ono nic nigdy, w życiu! Książka? Jaka książka? Ono pierwsze słyszy! A potem wcina popcorn i patrzy, jak człowiek typu autor w akcie rozpaczony blokuje pół internetu, kombinuje z fontami i smarka bliskim w mankiet, bo nie czuje już ani rąk, ani półdupków od tego siedzenia, oczka mu kapią na klawiaturę, a on i tak nie może sobie przypomnieć, co to są słowa i co się właściwie z nimi robi...

Co poświadczam, niniejszym kończąc książkę pisaną... nie, nie Comic Sansem. No gdzie, tym razem nie byłam aż tak zdesperowana.

Błękitnym fontem na czarnym tle.

Wbrew obietnicom, jakie składała mi szkoła, nigdy nie zostałam Pitagorasem, ale przynajmniej wiem, do kogo się zwrócić w potrzebie. Dlatego w pierwszej kolejności z całego serca dziękuję Anecie Jadowskiej i jej mężowi Rafowi oraz Marcie Kucharz i Agu Czajkowskiej za cierpliwość i fachowe wsparcie w co najmniej dwóch dziedzinach, w których moja wiedza plasuje się bliżej ciemnej tabaki w rogu niż bystrej wody w klozecie. A było mnie zablokować...

Ich poświęcenie zdałoby się jednak na nic, gdyby nie Milena Wójtowicz, która przybyła z odsieczą niczym dzielny mały buldożer, kiedy to padłam pod ciężarem oczekiwań i trzeba mnie było wydobyć spod tej hałdy. Biję pokłony przed Twoimi fluidami zaprawionej HR-ówki, bo bez tamtej rozmowy utknęłabym na amen i nawet Comic Sans by nie pomógł.

Osobne podziękowania składam mojemu sabatowi w komplecie, czyli Anecie Jadowskiej, Milenie Wójtowicz i Magdalenie Kubasiewicz, za potrójne ramię do wypłakania, za wspólny śmiech i całodniowe rozmowy o rynku wydawniczym. No i za Hardena, oczywiście!

A za nieprzebrane oceany nadludzkiej cierpliwości dziękuję Agnieszce Trzeszkowskiej-Berezie, która już nawet nie wzdychała, kiedy drżącym głosem pytałam o deadline, „ale wiesz, Aga, taki najostatniejszy”, oraz mojemu mężowi, Łukaszowi, który jakimś cudem nie zapomniał jeszcze, jak wyglądam odklejona od biurka.

Gdyż żywot autora ciężkim jest, owszem. Ale chyba jeszcze cięższe jest życie z autorem.

Marta Kisiel